

OBCY 8 PASAŻER NOSTROMO

Alan Dean Foster
OBCY 8 PASAŻER NOSTROMO

Tłumaczył Jan Kraśko
Wydawnictwo ALFA Warszawa 1992

Tytuł oryginału
ALIEN
(Screenplay by Dan O'Bannon
Story by Dan O'Bannon and Ronald Shusett)
Copyright © 1979 by Twentieth Century-Fox Film Corporation
All rights reserved

Wydanie 1
Warner Books, Inc., New York 1979

Opracowanie graficzne
Janusz Oblucki

Ilustracja na okładce
Na podstawie slajdu udostępnionego przez Warner Books, Inc.

Redaktor
Marek S. Nowowiejski

Redaktor techniczny
Elżbieta Suchocka

For the Polish edition Copyrights © 1992 by Wydawnictwo ALFA
For the polish translation Copyrights © 1992 by Jan Kraśko

ISBN 83-7001-637-5

*Jimowi McQuade
Dobremu przyjacielowi i towarzyszowi
w badaniach granicy poznawalnego*

1.

Siedmioro śniących.

Musisz zrozumieć, że nie zajmowali się snem zawodowo, nie. Zawodowcy to ludzie dobrze opłacani, szanowani, to talenty bardzo poszukiwane. Jak większość z nas, tych siedmioro śniło swe sny bez żadnego ukierunkowanego wysiłku, bez wewnętrznej dyscypliny. Śnić tak, żeby sen twój można było zarejestrować, a później odtworzyć ku uciechu i rozrywce innych, to o wiele ambitniejsze wyzwanie. Wymaga ono umiejętności regulowania podświadomych impulsów twórczych i kontrolowanego stratyfikowania wyobraźni, co łącznie bardzo trudno osiągnąć. Zawodowiec to artysta maksymalnie zorganizowany i spontaniczny zarazem, to człowiek snujący subtelny nić rozmyślań, a nie facet toporny i prostoliniowy jak ty czy ja. Albo jak tych siedmioro śpiących.

Z nich wszystkich namiastkę owego specjalnego, acz ukrytego daru posiadała tylko Ripley. Tylko ona miała wrodzony talent do tworzenia marzeń sennych i górowała nad resztą załogi elastycznością wyobraźni. Ale brakowało jej prawdziwego natchnienia i tej wielkiej dojrzałości myśli, która cechuje zawodowców.

Dawała sobie znakomicie radę z segregowaniem zapasów i rozmieszczaniem ładunku. Wiedziała, że taka to a taka skrzynia musi stać w takim to a takim miejscu i potrafiła wykazać to w odpowiednich wykazach opisujących zawartość magazynów *Nostromo*. Ale własnego umysłu, zasobów własnych myśli, posegregować już nie umiała - tu jej talent organizacyjny ulegał wypaczeniu. Nadzieje i obawy, spekulacje i nie dokończone twory imaginacji hasały na chybił trafił po wszystkich komórkach jej mózgu.

Tak, Ripley brakowało opanowania, brakowało samokontroli. Rozbuchane, iście rokokowe myśli kłębiły się w jej głowie niczym piwo w beczce i tylko czekały, aż ktoś wybije szpunt. Trochę więcej pracy, trochę więcej wysiłku i sierżant Ripley mogłaby przejść na zawodowstwo. A przynajmniej tak czasami myślała.

Teraz kapitan Dallas. Kapitan Dallas wyglądał na skończonego lenia, był tymczasem człowiekiem najlepiej z nich wszystkich zorganizowanym. Nie brakło mu też wyobraźni, o nie! Dowodem na to była broda. Jego broda. Nikt nie kładł się do hibernatorów z brodą. Nikt oprócz Dallasa. Kiedy go pytano, dlaczego idzie spać z brodą - a wielu ciekawskich go o to pytało - odpowiadał, że broda jest częścią jego osobowości. I przenigdy nie rozstałby się ze swoim niemodnym, kędzierzawym zarostem, tak jak nie pozwoliłby sobie odciąć ręki czy nogi. Prawdziwy z niego pan i dowódca: dowódca holownika *Nostromo*, pan własnego ciała. Dbał o całość i jednego, i drugiego, i podczas snu, i na jawie.

Jak widać, Dallas umiał sobą kierować, posiadał umiejętność samoregulacji i tę niezbędną odrobinę wyobraźni. Ale wyobraźni zawodowiec-śniący musi mieć znacznie więcej niż odrobinę. Tak, bo dla zawodowca odrobina wyobraźni to uszczerbek, którego nie da się wyrównać nieproporcjonalnie wielką dawką samokontroli i opanowania. Dlatego, summa summarum, trudno by w nim szukać materiału na zawodowca wyższej klasy niż sierżant Ripley.

Spójrzmy na Kane'a. Kane nie umiał sobą sterować tak jak Dallas, ani swymi myślami, ani poczynaniami, i miał o wiele mniejszą wyobraźnię. Na pierwszego oficera nadawał się znakomicie, ale na kapitana...? Nie, na kapitana się nie nadawał. Kapitan to skumulowana energia, to umiejętność rozkazywania, a dobry Bóg nie obdarzył Kane'a ani jednym, ani drugim. Jego sny były namiastką snów Dallasa. Przezroczyste, bezkształtne, były ich dalekim echem tak, jak dalekim, stłumionym echem Dallasa był Kane. Ale nie znaczy to, że Kane nie dawał się lubić, przeciwnie. Jednak żeby śnić zawodowo, trzeba mieć w sobie pewną specyficzną energię, a Kane'owi starczało jej ledwie na codzienną wegetację.

Przypatrzmy się snom Parkera. Sny Parkera to sny może nie agresywne, ale zdecydowanie mniej sielankowe niż sny Kane'a. Prawie wcale nie grzeszyły wyobraźnią. Były zbyt specjalistyczne i rzadko kiedy dotyczyły ludzi. Trudno spodziewać się czegoś więcej po głównym inżynierze *Nostromo*.

Bo Parker śnił sny jednoznaczne i czasami ohydne. Kiedy nie spał, plugawe myśli wijące się niczym robactwo wypełzały czasami na wierzch, ale tylko wtedy, gdy inżynier wpadał w gniew lub kiedy był poirytowany. Lecz spychał je szybko w głąb swojej duszy, gdzie niczym w wielkiej kadzi fermentował wszelki brud i szlam pogardy. Nie, załoga tego nie widziała, o nie. Parker zawsze pokazywał kolegom czyste, wydestylowane oblicze i nigdy nie pozwalał im sprawdzić, co kipi, co bulgoce na dnie jego psychicznego kotła.

Lambert. Lambert nie śniła snów, które interesowałyby innych. Była już raczej natchnieniem dla śniących. Podczas tego bardzo, ale to bardzo długiego snu jej niespokojne myśli krążyły nieustannie wokół schematów międzyzespołowych i podzespołowych oraz wokół charakterystyk nośności i obciążalności statku, które ulegały ciągłym korektom ze względu na zużycie paliwa. Od czasu do czasu w jej sny wkraczała prawdziwa wyobraźnia, ale nigdy tak, żeby poruszyć innych.

Parker i Brett często sobie wyobrażali, co by to było, gdyby systemy i zespoły, za które odpowiadali, połączyć z zespołami i systemami leżącymi w gestii Lambert. Problem nośności i obciążalności *Nostromo* oraz kwestię zestawień przestrzennych rozważali w sposób, który doprowadziłby ją do istnej furii. Ale Lambert nie zdawała sobie sprawy, że Parkera i Brettę brały takie pokusy. Bo ci dwaj nie zdradzali się z niczym, swoje myśli trzymali tylko dla siebie, zakuwając je w solidne kajdany marzeń sennych i marzeń na jawie. Byłoby kiepsko, gdyby

Lambert się zdenerwowała. Jako nawigator *Nostromo* odpowiadała przede wszystkim za ich bezpieczny powrót do domu, a w kosmosie nic tak nie łączy i nie ekscytuje ludzi jak wizja upragnionego, prawdziwego Domu.

Oficjalnie Brett pełnił na statku funkcję inżyniera-technika. To bardzo eleganckie określenie. Oznaczało, że Brett jest równie inteligentny i uczony jak Parker, ale stoi niżej w hierarchii służbowej. Ci dwaj tworzyli dziwną parę. Dla postronnego, obserwatora zdawali się być ludźmi o kompletnie różnym statusie i całkowicie różnych charakterach. A jednak Brett i Parker przyjaźnili się z sobą i znakomicie współpracowali. Udało się to przede wszystkim dzięki Brettowi. Otóż inżynier-technik nigdy nie wkraczał w kompetencje inżyniera-szefa i nigdy nie podważał jego koncepcji. Z wyglądu i z usposobienia inżynier-technik był człowiekiem poważnym i flegmatycznym, podczas gdy inżynier-szef miał charakter bardzo zmienny i lubił sobie kwieciście ponarzekać. Wysiadł jakiś obwód? Parker potrafił o tym gadać całymi godzinami, wygłaszać istne tyrady, w których przeklinał wszystkie generacje wadliwej części do ziemskiego krzemu włącznie. A Brett? Brett komentował to cierpliwym: "Racja."

"Racja." Dla Bretta to coś znacznie więcej niż opinia, to afirmacja własnego "ja." Bo milczenie to według Bretta najszlachetniejsza forma porozumienia między ludźmi. W gadatliwości kryje się szaleństwo.

I był jeszcze Ash, badacz i naukowiec. Ale wcale nie dlatego miał zabawne sny. Nie śmieszne. Zabawne, zabawne na sposób bardzo specyficzny. Z całej załogi on właśnie miał najbardziej profesjonalnie zorganizowane sny. I tylko jego sny stanowiły prawie idealne odbicie rozbudzonej osobowości. Bo w snach Asha nie znalazłbyś ani ułudy, ani zafałszowań.

Nie dziwiłbyś się temu, gdybyś znał Asha, gdybyś dobrze go znał. Lecz tak naprawdę to nikt z załogi *Nostromo* nic o nim nie wiedział. Za to Ash wiedział o sobie wszystko. Jak byś go spytał, może by ci zdradził swoją tajemnicę i wyjaśnił, dlaczego nigdy nie chciał śnić zawodowo. Ale nikogo z członków załogi najwyraźniej to nie interesowało, choć sny, sny profesjonalne, fascynowały Asha niewątpliwie bardziej niż jego towarzyszy z *Nostromo*.

Aha, i był jeszcze kot, wielki żółty kocur o niepewnym rodowodzie. Wołali na niego Jones. Jones to zwyczajny, najzwyczajniejszy kot domowy, w tym wypadku raczej okrętowy. Miał silny, nieugięty charakter, przywykł do długich podróży i zdawał się rozumieć nieobliczalne odruchy ludzi, którzy przemierzali kosmos. On też spał. Pograżony w zimnym śnie, śnił sny proste i niewyszukane, sny o przytulnych, ciemnych zakamarkach, o myszkach płasających w stanie nieważkości.

Choć trudno by go nazwać niewiniątkiem, z całej załogi śniącej na pokładzie *Nostromo* tylko Jones był ze wszystkiego zadowolony.

Szkoda, że nikt z nich nie zajmował się snem zawodowo. Szkoda, gdyż w trakcie swej pracy mieli okazję śnić znacznie więcej niż kilkunastu zawodowców razem wziętych. Bo konieczność sprawiła, że sen stał się ich głównym zajęciem, sen i śnienie, i nic to, że hibernacja proces snu wydatnie spowalniała. Spać, spać, spać i śnić - przed osiągnięciem celu podróży załoga statku kosmicznego dalekiego zasięgu nie może robić nic więcej. To prawda, amatorzy z nich, amatorami pozostać mieli do końca, życia, ale już od dawna ocierali się o próg fachowości.

Siedmioro ich było. Siedmioro spokojnie śpiących ludzi. Siedmioro ludzi zmierzających w otchłań kosmaru.

A *Nostromo*? *Nostromo* nie śnił, chociaż tak, dysponował swego rodzaju świadomością. Nie śnił, bo tego nie potrzebował, tak jak nie potrzebował zbawiennych efektów hibernacji. Gdyby śnił, jego marzenia senne byłyby zapewne krótkie i ulotne, gdyż *Nostromo* nigdy nie spał. *Nostromo* pracował, pracował i utrzymywał ludzi przy życiu, dbając o to, żeby istoty, nad którymi przyszło mu sprawować opiekę, zawsze w swym śnie wyprzedzały o krok wszechobecną śmierć. Bo trop w trop za lodowatym snem szła śmierć, bo śmierć płynęła za nim jak olbrzymi szary rekin za okrętem na morzu.

Dowody potwierdzające nieustanną, mechaniczną czujność *Nostromo* widoczne były wszędzie, w każdym sektorze uspionego statku. Cichutki szum, delikatne szmery, przyćmione światełka, - to oznaki, że instrumenty i urządzenia *Nostromo* bez spoczynku trzymały straż. Macki czujników wnikały w samą tkankę kadłuba, w każde spojenie, w najmniejszy, w najmniej ważny obwód elektroniczny. Sięgały również na zewnątrz, badając tętno kosmosu. Te właśnie zewnętrzne czujniki. wychwyciły jakąś elektromagnetyczną anomalię.

Część mózgu *Nostromo* specjalizowała się w analizowaniu i rozszyfrowywaniu wszelkich odchyień od normy. Owa część i tę anomalię dokładnie przeżyła, stwierdziła, że rodzaj impulsu raczej jej nie w smak, przestudiowała wyniki obliczeń i podjęła decyzję. Uspiona aparatura została obudzona, drżącymi dotychczas obwodami znów popłynął kontrolowany strumień elektronów. Jak gdyby dla uczczenia tej doniosłej chwili na pokładach rozbłysły feerie jaskrawych świateł. Elektroniczny mózg *Nostromo* tchnął w statek nowe życie.

Rozległo się charakterystyczne popiskiwanie elektronicznych sygnałów, chociaż jak na razie słyszeć je mogły i rozpoznawać tylko i wyłącznie uszy sztuczne. Był to dźwięk od dawna na statku nie słyszany i oznaczał, że zdarzyło się coś, co nieczęsto się zdarza.

Delikatny trzask przełączników, rozbłyski budzących się do życia ekranów, światła, szum rozprawiających z sobą urządzeń - to wszystko nie ominęło również pewnej sali wyłożonej białym metalem, sali niezwyklej. W sali tej znajdowało się siedem kokonów z śnieżnobiałej stali i plastyku.

Tu do symfonii dźwięków dołączył dźwięk nowy. W komorze hibernacyjnej rozległ się odgłos jakby gwałtownego wydechu i salę wypełniła świeżo spreparowana, zdatna do oddychania atmosfera. Ludzie nader chętnie powierzali swój los małym, kruchym bóstwom w rodzaju *Nostramo* ufając, że kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, bóstwa owe ich wyręczą i tchną w ciała nowe życie.

Dlatego teraz czujniki na wpół rozbudzonego już *Nostramo* przeanalizowały skład dostarczonego przed chwilą powietrza i orzekły, że człowiek, ta drobna, słabowita istota, może nim z powodzeniem oddychać. Zapłonęło jeszcze więcej lamp, zamknęło się jeszcze więcej obwodów. Nie było fanfar, nie było werbli. Skorupy siedmiu poczwarek pękły, z siedmiu kokonów zaczęły wynurzać się ludzie, niczym gąsienice pełznące do światła.

Odarci z marzeń sennych, członkowie załogi *Nostramo* wyglądali nawet mniej imponująco niż podczas hibernacji. Po pierwsze dlatego, że wszyscy ociekali ochronnym kriohydratem, który przez długi czas wypełniał i otaczał ich ciała. Choć antyseptyczny, wzmacniający, śluz to zawsze śluz i człowiekowi wybitnie w nim nie do twarzy.

Po drugie, wszyscy byli nadzy, a kriohydrat nie daje tak wyszczuplającego efektu jak sztuczna skóra zwana ubraniem.

- Chryste... - mruknęła Lambert, dotykając ze wstrętem swych ramion i boków.
- Jak tu zimno!

Wyszła z trumny chroniącej życie miast śmierci i poszperała w skrytce na rzeczy. Znalazła ręcznik i zaczęła wycierać nogi, śliskie od przezroczystego syropu.

- Szlag by to... - burczała. - Dlaczego Mamuśka nie może ogrzać statku, zanim nas obudzi? - Teraz wycierała stopy, próbując sobie przypomnieć, gdzie zostawiła ubranie.

- Dobrze wiesz dlaczego. - Parker był zbyt zajęty swoim lepkim, umęczonym ciałem, żeby gapić się na nagą Lambert. - Polityka ekonomiczna naszego Towarzystwa, ot co. Oszczędność energii, innymi słowy zwykłe, cholera, sknerstwo. Po co marnować prąd na ogrzewanie komory hibernacyjnej, jeśli można poczekać do ostatniej chwili? No a poza tym, jak się stąd wyłazi, zawsze człowiekowi zimno. Sama wiesz, do ilu stopni spada wewnętrzna temperatura podczas snu.

- Taa, wiem. Ale i tak zimno tu jak w grobie... - Nie chciała mu przyznać racji, chociaż Parker znał się na rzeczy; nigdy jej specjalnie nie zależało na głównym inżynierze *Nostramo*.

Do jasnej cholery, Mamuśku! pomyślała widząc, jak na jej przedramieniu robi się gęsia skórka. Daj czadu! Do diabła, ogrzej nas w końcu!

Dallas osuszał ciało z resztek śluzowatego kriohydratu. Starał się nie patrzeć na coś, czego pozostali członkowie załogi nie mogli widzieć. Dzięki inteligencji *Nostramo* zauważył to już wcześniej, zanim wstał z hibernatora.

- Robota nas szybko rozgrzeje - rzucił.

- Lambert mruknęła coś pod nosem.

- Wszyscy na stanowiska - rozkazał Dallas. - Pamiętajcie chyba, za co bierzecie forszę. Nie płacą wam za spanie i przesypianie własnych kłopotów.

Nikt - się nie uśmiechnął, nikomu nie chciało się na tę uwagę odpowiadać.

Parker zerknął na Bretta, który wciąż jeszcze siedział w hibernatorze.

- Sie masz - powiedział. - Żyjesz?

- Ano.

- Szczęściarze z nas - rzuciła Ripley. Przeciągnęła się, a zrobiła to estetyczniej niż pozostali. - To miło, że pierwszy krasomówca *Nostramo* jest gadatliwy jak zwykle.

Brett tylko się uśmiechnął, nie powiedział ani słowa. Był tak rozmowny jak maszyny, które obsługiwał, to jest nie odzywał się prawie wcale. Jego milczkowatość była dyżurnym dowcipem wśród załogi, ale nie, nie naśmiewali się z niego - śmiali się razem z nim.

Dallas zgął ręce w łokciach, uniósł je na wysokość mostka, równoległe do podłogi, i zaczął wykonywać skręty tułowia; długo nie używane mięśnie zdawały się z lekka poskrzypywać. Jego myśli koncentrowały się wyłącznie na jednym: na pomarańczowożółtym migającym świetelku, które zauważył z hibernatora. Takie cyklopowate, iście diabelskie świetelka były wymowniejsze niż słowa i znaczyły, że nie dotarli jeszcze do kresu podróży, że *Nostramo* obudził ich z jakiegoś innego powodu. I Dallas już łamał sobie głowę z jakiego.

Ash usiadł i rozejrzał się wokoło. Twarz miał bez wyrazu i można było sądzić, że wciąż jeszcze śpi.

- Jestem trup... - mruknął i popatrzył na Kane'a.

Pierwszy oficer wciąż zmagał się ze snem i akurat ziewał. Według naukowej opinii Asha tak naprawdę to Kane przepadał za hibernacją - niewykluczone, że cierpiał na senność napadową - i gdyby mu tylko pozwolili, chętnie spędziłby w zimnym kokonie całe życie. Nieświadom podejrzeń badacza, Parker zerknął na Asha i powiedział grzecznie:

- I wyglądasz jak trup, Ash.

Wiedział, że sam nie wygląda lepiej, gdyż hibernacja zmiękczała skórę i osłabiała mięśnie. Spojrzał na lodowatą trumnę Kane'a.

Pierwszy oficer w końcu usiadł.

- Jak to dobrze znów być pośród żywych... - powiedział i zmrużył oczy.

- Naprawdę? Budzisz się tak długo, że trudno w to uwierzyć.

Kane był urażony.

- To potwarz, Parker, cholerna potwarz! Po prostu wolniej się ruszam i tyle.

- No pewnie, no pewnie... - Główny inżynier nie kontynuował tematu i obrócił się w stronę kapitana, którego pochłaniało coś, czego Parker ze swojego miejsca nie widział. - Nim zacumujemy, może byśmy tak pogadali o premii, co? - zaproponował.

- Racja. - Po raz pierwszy od chwili przebudzenia Brett okazał słabe oznaki zainteresowania otoczeniem. Parker zaczął nakładać buty i mówił dalej:

- Uważamy z Brettem, że należy się nam pełna dola. Sto procent premii za udaną misję plus pensja i odsetki od udziałów, co nie, Brett?

Przynajmniej inżynierów szlag mi podczas snu nie trafił, pomyślał ociężałe Dallas. Ledwie kilka minut temu odzyskali przytomności, a już narzekają.

- Dostaniecie tyle, na ile opiewa kontrakt. Ani mniej, ani więcej. Jak pozostali.

- Pozostali dostają więcej niż my - powiedział cicho Brett.

Jak na Bretta, to było istne przemówienie. Ale na kapitanie elokwencja inżyniera-technika nie wywarła żadnego wrażenia. Dallas nie miał czasu ani na drobiazgi, ani na rozmowy pół żartem, pół serio. Jego całą uwagę przykuwało owo mrugające światełko. Pochłaniało go do tego stopnia, że nie mógł myśleć o niczym innym.

- Bo na to zasługują - odparł. - Idźcie na skargę do zarządu Towarzystwa, wolna droga. A teraz na stanowiska.

- Na skargę do zarządu Towarzystwa, do Towarzystwa... - mruczał nieszczęśliwie Parker, patrząc jak Brett wychyla się z hibernatora, żeby osuszyć nogi. - To tak, jakby iść na skargę do samego Pana Boga.

- Racja - zgodził się z nim Brett, majstrując przy lampce we wnętrzu hibernatora; dawała słabe światło. Brett należał do tego rodzaju ludzi, którzy mogą przekuśtykać dziesięć kilometrów ze złamaną nogą, ale którzy nie potrafią przejść obojętnie obok zepsutej spłuczki od sedesu.

Dallas ruszył do sali informatycznej.

- Dowcipnisie, niech któreś z was sięgnie do trumny po ten koci zewłok - rzucił przez ramię.

To Ripley wydobyła z hibernatora żółtawe, bezwładne ciało Jonesa.

- Nie musisz go tak nazywać, kapitanie. - Przybrała urażony wyraz twarzy i czule pogłaskała ociekającego kriohydratem kocura. - Jones to nie jakaś tam maszyna, to członek załogi jak każdy z nas.

- Fakt, i bardziej karny niż inni - odrzekł Dallas patrząc, jak Parker i Brett, już ubrani, idą w kierunku siłowni. - Kiedy wyłażę z hibernatora, Jones nie zawraca mi przynajmniej głowy narzekaniem na pensję i premię.

Ripley zawinęła kota w gruby suchy ręcznik i odeszła. Jones czyścił z godnością swoje futerko i pomrukiwał niezdecydowanie. Nie pierwszy raz spał w hibernatorze i chwilowa tolerował fakt, że go niesiono, co zwykle poczytywał za hańbę.

Dallas skończył osuszanie się i wcisnął guzik u podstawy swej trumny. Zaszemrały niemal beztarciowe łożyska i spod spodu wysunęły się szuflada z ubraniem i osobistymi drobiazgami kapitana.

Ubierając się, Ash podszedł bliżej, stanął o krok od Dallasa i zapiąwszy świeżą koszulę, szepnął:

- Matka chce z tobą gadać kapitanie. - Skinął głową w stronę żółtawego światła migoczącego na podwieszanej konsoli tuż obok.

- Wiem, zauważyłem natychmiast po przebudzeniu. Dallas nakładał czystą koszulę. - Żółte. Stan podwyższonej gotowości, na szczęście nie alarm. Nie mów innym. Jak to coś poważnego, sami niedługo się dowiedzą. - Narzucił na siebie wymiętą kurtkę, nie zapiął guzików.

- Nie, to nie może być nic groźnego - pocieszał się Ash, wskazując ruchem głowy monotonnie mrugające światło. - Żółte, nie czerwone.

- Na razie żółte. - Dallas nie należał do optymistów. - Wolałbym obudzić się przy zielonym, przy ciepłym, wiosenno-zielonym światełku. - Wyruszył ramionami. - Może to tylko nasz kucharz, co? - zażartował dostosowując się do nastroju Asha. - Chce nam dać jeść i mruga. Żarcie, stary, istne błogosławieństwo!

Spróbował się uśmiechnąć, ale uśmiech zgasł mu na ustach tak szybko, jak się pojawił. *Nostromo* nie był człowiekiem, nie robił załódze kawałów i nie obudziłby ich ot tak sobie, bez uzasadnionego powodu. A usterki w elektronicznie sterowanej kuchni powodu takiego na pewno nie stanowiły.

A zresztą, co tam! dumął kapitan. Po kilku miesiącach snu nie mam prawa narzekać, że będę musiał trochę popracować...

Główna sala informatyczna *Nostromo* różniła się nieco od innych pomieszczeń na statku. Wielobarwny kalejdoskop palących się tu światel, światełek, ekranów i wskaźników sprawił, że wyglądała tak, jakby nawiedził ją gęszcz pijanych choinek bożonarodzeniowych.

Sadowiąc się w prostym ale miękkim fotelu, Dallas zastanawiał się, jakie podjąć działania. Ash usiadł przy konsoli głównego banku danych i manipulował pokrętkami z taką szybkością i pewnością siebie, jakby wyszedł z hibernatora dziesięć dni, a nie dziesięć minut temu. Fakt, nikt nie radził sobie z komputerami tak jak Ash...

Dallas zazdrościł mu tej umiejętności. Wciąż zamroczony snem, wystukał na terminalu prośbę o dane. Na ekranie śmignęła ulotna mozaika zakłóceń, z której

szybko uformowały się pierwsze rozpoznawalne słowa. Dallas sprawdził, czy wydał poprawną komendę. Nie, nie zrobił żadnego błędu.

STAN FUNKCJI KONTROLNEJ DLA INFORMACJI I MENU.

Statek też uznał, że polecenie jest do przyjęcia i Matka dała natychmiastową odpowiedź. STAN REJESTRU ADRESOWEGO. Pod tym lapidarnym nagłówkiem komputer wyświetlił długą listę komend menu.

Dallas przyjrzał się jej, znalazł tę, której szukał i wcisnął odpowiednie klawisze: STAN PODWYŻSZONEJ GOTOWOŚCI.

FUNKCJA KONTROLNA GOTOWA DO ODPOWIEDZI, padło z ekranu. Komputerów nie programowano na konkursy krasomówcze i Matka nie należała do wyjątków.

Z czego Dallas był w sumie zadowolony. Nie miał nastroju do pogaduszek. Wystukał krótkie: CO SIĘ DZIEJE, MAMUŚKU? i czekał...

Nie można powiedzieć, że mostek kapitański *Nostromo* był pomieszczeniem przestronnym. Może raczej mniej klaustrofobicznym niż inne miejsca na statku, ale różnica nie rzucała się w oczy. Na przybycie ludzi czekało tu pięć foteli. Liczne pulpity sterownicze, ekrany najrozmaitszych rozmiarów i kształtów mrugały cierpliwie dziesiątkami świateł i światełek i też czekały, aż człowiek powie im, co mają robić. Tak, duży mostek kapitański byłby kosztownym pomysłem, gdyż załoga spędzała większość czasu w hibernatorach. Dlatego zaprojektowano go jako miejsce przeznaczone tylko i wyłącznie do pracy. Odpoczynek, rozrywka nie miały tu wstępu. I ludzie, i maszyny doskonale o tym wiedzieli.

Hermetyczne drzwi wsunęły się cicho w ścianę. Do środka wszedł Kane, tuż za nim Ripley, Lambert i Ash. Podeszli do swoich stanowisk i usiedli za pulpitemi z taką rutyną i z taką swobodą, jak gdyby witali się ze starymi, dawno nie widzianymi przyjaciółmi.

Na piątym fotelu nie zasiadł nikt i nikt w nim nie miał zasiąść do czasu, aż Dallas wróci ze swego tete-a-tete z Matką, komputerem, który był mózgiem-bazą *Nostromo*. „Matka.” Tak go nazywali, i to wcale nie dla żartu, nie, imię było jak najbardziej odpowiednie. Kiedy mowa o urządzeniu odpowiedzialnym za ludzkie życie, żarty człowiekowi nie w głowie. A komputer zaakceptował przydomek z równą powagą i chyba nawet z dozą swego rodzaju wzruszenia.

Ludzie na mostku byli odprężeni i rozluźnieni. Ubrania - istna parodia mundurów pokładowych - wisiały na nich niedbale i odzwierciedlały osobowość członków załogi *Nostromo*. Koszule, spodnie - wszystko wygniecione i nadszarpnięte zębem czasu, latami przechowywania. Jak ciała, które się pod ubraniami kryły.

Pierwsze od wielu lat dźwięki wydane przez żywą istotę na mostku stanowiły podsumowanie uczuć wszystkich obecnych, choć dźwięków tych nikt nie

zrozumiał. Kiedy Ripley postawiła Jonesa na podłodze, kocur zaczął głośno miauczeć. Później Ripley usiadła w wysokim fotelu, a Jones ocierał się zmysłowo o kostki jej nóg i pomrukiwał donośnie, po kociemu.

- No to podłączcie nas - rzucił Kane.

Sprawdzał swoją konsolę, pieścił wzrokiem ekrany, wypatrując niebezpiecznych kontrastów i tajemniczych niewiadomych, a Lambert i Ripley pstrykały przełącznikami i wciskały odpowiednie klawisze.

Wielkie poruszenie. Na monitorach i wskaźnikach odczytu zamigotały gorączkowo światła, wykwitły świeże kolory. Zasiadający przy stanowiskach odnieśli nieodparte wrażenie, że komputery się cieszą, że są zadowolone. Oto znów pojawili się ich organiczni towarzysze, oto pierwsza po latach okazja, by zademonstrować ludziom swój elektroniczny talent.

Na ekranach przed Kanem ukazały się nowe słowa i liczby. Pierwszy oficer porównał je z danymi, które dobrze pamiętał, które wypaliły w jego umyśle niezatarte piętno.

- Jak dotąd wszystko w normie... - skonstatował. - Teraz wrzucić na ekran jakiś widoczek.

Palce Lambert wystukały na klawiaturze skomplikowane arpeggio. Na mostku rozjarzyły się monitory, z których większość wisiała pod sufitem, gdyż tam były lepiej widoczne. Lambert wbiła wzrok w dwa ekrany najbliższe miejsca, gdzie siedziała, i natychmiast zmarszczyła brwi. Zobaczyła to, czego się częściowo spodziewała, ale reszta... Z reszty nie rozumiała nic - ten fragment nieba był jej zupełnie obcy. Co najistotniejsze, nie znalazła na ekranie Słońca, a przecież Sol, jak je nazywali, winno teraz wprost rzucać się w oczy. To, że go nie widziała, było szokująco ważne, bowiem mogła tym samym stwierdzić, że sytuacja, w jakiej się znaleźli, jest kompletnie nienormalna.

- Gdzie jest Ziemia?

Kane przyjrzał się uważnie ekranowi swojego monitora, ale dostrzegł na nim tylko czerń kosmosu upstrzoną maleńkimi punkcikami odległych gwiazd. Czyżby wyszli z nadprzestrzeni za wcześniej? Możliwe, ale w takim razie na ekranach powinni zobaczyć przynajmniej Układ Słoneczny. Tymczasem nie widzieli ani oczekiwanej Ziemi, ani też Sol.

- Ty tu jesteś nawigatorem, Lambert, ty nam powiedz.

Tak, jakieś słońce tam świeciło, tam, dokładnie pośrodku ekranu. J a k i e ś, bo to nie było Sol. Nie zgadzała się ani jego barwa, ani wielkość, ilość i kształt okrążających go punkcików; tak wyglądały planety w interpretacji komputera.

- To nie nasz system... - stwierdziła Ripley i słowa uwieźły jej w gardle. Wypowiedziała na głos to, co było oczywiste dla wszystkich.

- A może to z nami coś nie tak, nie z gwiazdami. Kane sam nie wierzył w to, co mówił. - Może wyszliśmy z nadprzestrzeni rufą naprzód, co? Takie cuda się zdarzają, a wtedy wszystko jest odwrotnie. To coś przed nami może być na przykład Alfa Centauri w maksymalnym powiększeniu, nie? A Sol jest z tyłu, za dziobem. Bez paniki, najpierw trzeba się rozejrzeć. - Zapomniał tylko dodać, że system, który, obserwowali na ekranach monitorów, przypominał Alfę Centauri w takim samym stopniu co i Sol.

Kamery wbudowane w spękany pancerz *Nostromo* drgnęły i zaczęły lustrować bezkresną próżnię kosmosu w poszukiwaniu ciepłej Ziemi. Wspierały je dodatkowe kamery zainstalowane na monstrualnej wielkości ładunku, jaki statek za sobą holował. Ów ładunek - spiętrzona, zbita masa gigantycznych form i kształtów z metalu - zdziwiłby ludzi żyjących w XX wieku. Była to całkowicie zautomatyzowana, nieustannie pracująca rafineria, która w drodze między gwiazdami przerabiała miliony ton ropy naftowej.

Kiedy *Nostromo* dotrze na orbitę wokół Ziemi, w przepastnych cysternach spoczywać będą gotowe produkty procesu przetwarzania. Takie metody były niestety konieczne. Cywilizacja wciąż żyła, wciąż kwitła, gdyż człowiek odkrył wspaniałe i wydajne substytuty ropy naftowej, odkrył je już dawno temu. Ale odkryć tych dokonano dopiero wtedy, gdy ludzka zachłanność wycisnęła z ziemi ostatnie krople ropy.

Wszystkie maszyny i urządzenia pracowały w oparciu o energię słoneczną i energię pochodzącą z syntezy jądrowej. Ale ani Słońce, ani atom nie mogły zastąpić produktów wytwarzanych z ropy naftowej. Żaden reaktor, żaden silnik jądrowy nie wyprodukuje plastiku, a tworzyw sztucznych świat potrzebował tak samo jak energii. Stąd mozolnie pracująca rafineria, stąd cuchnąca, czarna ciecz, stąd cały ładunek, ładunek jakże cenny, choć z historycznego punktu widzenia nieco archaiczny.

Jedynym systemem słonecznym, jaki wychwyciły kamery, był system tkwiący teraz dokładnie pośrodku wszystkich ekranów. System ów składał się z wypłowiałej gwiazdy centralnej i pierścienia planet gwiazdę okrążających. Podobnie jak Lambert, Kane wyzbył się już wszelkich wątpliwości. *Nostromo* skierował ich tutaj celowo. *Nostromo* zmierzał do tego właśnie systemu, nie gdzie indziej.

Chociaż z drugiej strony... Z drugiej strony istniała jeszcze możliwość, że komputery popełniły błąd w orientacji czasowej, nie przestrzennej. Ziemskie słońce mogło znajdować się na przykład w pewnej odległości na lewo albo na prawo od gwiazdy, którą oglądali na monitorach. Był sposób, żeby to sprawdzić, sposób niezawodny.

Kane zagryzł dolną wargę.

- Spróbuj nawiązać łączność z nadzorem ruchu - polecił. - Jeśli odpowiedzą, jesteśmy w domu. Powinniśmy usłyszeć jakąś stację przekaznikową z wysuniętego sektora. To znaczy, jeśli Sol gdzieś tutaj jest.

Lambert musnęła palcami odpowiednie klawisze.

- Tu statek handlowy dalekiego zasięgu *Nostromo* rzuciła w mikrofon. - Tu holownik *Nostromo*, rejs numer jeden, osiem, zero, dwa, cztery, sześć. Kurs - Ziemia. Holujemy ładunek ropy naftowej i rafinerię. Wzywam Centralny Nadzór Ruchu na Antarktydzie, wzywam Centralny Nadzór Ruchu na Antarktydzie. Czy mnie słyszycie? Odbiór.

Z głośników odpowiedział jej tylko monotony szum odległych gwiazd. Wtórował mu Jones, mrucząc po kociemu u stóp Ripley.

Lambert spróbowała jeszcze raz.

- Holownik dalekiego zasięgu *Nostromo* wzywa Centralny Nadzór Ruchu, *Nostromo* wzywa Centralny Nadzór Ruchu. Mamy kłopoty z nawigacją, powtarzam, mamy kłopoty z określeniem pozycji statku. Sytuacja awaryjna. Odbiór.

I znów nikt nie odpowiedział na wezwanie. Z głośników dobiegały ich nerwowe trzaski zbłąkanych fal radiowych.

Lambert zaniepokoiła się.

- S.O.S, S.O.S. Holownik *Nostromo* wzywa Centralny Nadzór Ruchu lub jakikolwiek statek znajdujący się w pobliżu. S.O.S, powtarzam, S.O.S. Odbiór.

Niczym nie usprawiedliwiony sygnał S.O.S (Lambert wiedziała, że jak na razie nie grozi im niebezpieczeństwo) przeszedł bez echa, bez żadnego odzewu. Zniechęcona, trzasnęła przełącznikiem radiostacji. Nie wyłączyła jednak odbiornika i wszystkie kanały były na nasłuchu; mógł koło nich przelatywać jakiś statek i chcieli natychmiast odebrać ewentualne sygnały.

- Wiedziała, że to nie Sol - mruknęła Ripley. Znam nasz sektor. - Ruchem głowy wskazała monitor zawieszony nad jej stanowiskiem. - Diabli wiedzą, gdzie to jest. I gdzie my jesteśmy.

- Próbuj dalej - rozkazał jej Kane i zwrócił się do Lambert: - No to właściwie gdzie my jesteśmy? Masz już te namiary?

- Chwila. To nie takie łatwe. Zagnało nas na jakieś odludzie...

- Próbuj, próbuj.

- A co ja robię?

Kilka minut intensywnych poszukiwań przy współpracy komputera i na twarzy Lambert wykwitł nikły uśmiech samozadowolenia.

- Mam, zlokalizowałam - oświadczyła. - Wiem, gdzie jesteśmy. Zagnało nas w okolice Zety II w gwiazdozbiorze Sieci. Nie dotarliśmy nawet w pobliże zewnętrznego pierścienia Układu Słonecznego, dlatego nikt się nie odzywa. Za

daleko, żeby wychwycić wiązkę fal elektromagnetycznych, nie wspominając już o nawiązaniu łączności z Centralnym Nadzorem Ruchu.

- Co my do diabła tutaj robimy? - zastanawiał się głośno Kane. - Skoro statek jest w porządku, skoro domu jeszcze nie widać, to dlaczego Matka nas rozmroziła...?

Jakby w odpowiedzi na pytanie pierwszego oficera - tak naprawdę był to tylko czysty przypadek - w tej właśnie chwili odezwał się alarmowy buczonek. Zabrzmiął donośnie i stanowczo...

Koło rufy *Nostramo* znajdowała się olbrzymia komora wypełniona potężną acz skomplikowaną aparaturą. Tu żyło serce statku, tu pracował zadziwiający system napędowy, który grając na nosie panu Einsteinowi, umiał zakrzywiać przestrzeń, oszukiwać czas, i który jakby mimochodem, od niechcenia, dostarczał energię urządzeniom podtrzymującym kruchą egzystencję istot ludzkich.

W przedniej części tego zwartego, z cicha mruczącego kompleksu widać było przeszkloną kabinę, taki maleńki przezroczysty wyprysk na gigantycznym cielsku atomowego potwora. W kabinie, na fotelach, siedziało dwóch mężczyzn. Dbali o zdrowie i nieustanną sprawność systemu napędowego. Troszczyli się o aparaturę, aparatura troszczyła się o nich - taka sytuacja jak najbardziej im odpowiadała.

Ponieważ *Nostramo* z reguły sam się o siebie z powodzeniem troszczył, mężczyźni mieli dużo czasu na zajęcia o wiele bardziej kształcące i ekscytujące, jak na przykład picie piwa i opowiadanie pikantnych historyjek. Właśnie przyszła kolej na Parkera. Po raz setny powtarzał opowieść o młodym inżynierze i o burdelu w stanie nieważkości. Opowieść była naprawdę niezła. Należała do tych, które sprawiały, że jak zawsze milczkowaty Brett wydawał z siebie powściągliwy chichot, a sam Parker zanosił się donośnym rechotem.

- No i ten, rozumiesz, wariat - prawil główny inżynier - wpada na mnie. Zły jest jak jasna cholera, a przy tym czegoś zdenerwowany. Wpada na mnie i chce, żebyśmy szli ratować tego nieszczęsnego dupka. Chyba, biedaczyna, nie wiedział, w co łapska pakuje! - rzucił i jak zwykle ryknął śmiechem, ciesząc się z gry słów. - Pamiętasz, jak tam jest, nie? Wszystkie ściany, podłoga i sufit wyłożone lustrami. I nie ma łóżka, bracie, tylko hamak z aksamitu na środku pokoju, żebyś się mógł czymś okryć w trakcie rypania, i żebyś się przy tym nie poobijał o ściany, bo nieważkość tam pełna. - Pokręcił głową, wspominając nieporadność młodego inżyniera. - To nie miejsce dla amatorów, o nie, brachu! Ten pacan albo się wstydził, albo kumple go w to wrobili. Z tego co inni później opowiadała ta dupcia, ta kurewka - myła się, rozumiesz, i opowiadała - na początku wszystko szło jak należy. Ale potem zaczęli się obracać i młodzian musiał spanikować. Obracali się i obracali, nie mogli przestać. Babka mówi, że próbowała, ale w nieważkości żeby z

tego wyjść, trzeba próbować we dwoje, nie? Dookoła lustra, brachu, no i, biedak, kompletnie stracił orientację, nie wiedział gdzie góra, gdzie dół. Do tego te obroty, więc co? Rzygać zaczął, ot co! Rzygał i rzygał. Parker pociągnął kolejny łyk piwa.

- Jezu, w życiu nie widziałem, żeby ktoś tak napaskudził jak ten tam. Do dzisiaj chyba czyszczą te lustra.

- Taa... - Brett uśmiechnął się ze zrozumieniem. Parker zastygł w bezruchu, delektując się resztkami umykających wspomnień. Pozostawiały w umyśle przyjemny, lubieżny osad. Machinalnie sięgnął ręką do konsoli i pstryknął jakimś przełącznikiem. Nad pulpitem zapaliło się ciepłe, łagodne światło. Ani mrugnęło.

- Jak tam u ciebie? - spytał.

- Zielone - odparł Brett, powtórzywszy test na swojej aparaturze.

- U mnie też.

Parker wpatrywał się w lekko musujące piwo. Minęło ledwie parę godzin, odkąd wyszedł z hibernatora, a już doskwierała mu nuda. Siłownia doskonale obydwała się bez niego, pracując cicho i wydajnie. Oprócz Bretta nie było do kogo gęby otworzyć, a przecież trudno nawiązać interesującą dyskusję z kimś, kto gada, jakby nie umiał gadać, z facetem, dla którego wypowiedzenie pełnego zdania jest pracą ponad siły.

- Tak sobie myślę, że Dallas celowo ignoruje nasze skargi - rzucił "na rybkę". - Może i nie ma wpływu na to, czy dostaniemy pełną premię czy nie, ale to przecież kapitan, co nie? Gdyby tylko chciał, mógłby szepnąć słówko komu trzeba i się za nami wstawić. To by nam pomogło, i to jak.

Spojrzał na odczyt. Świetlista pionowa linia określająca równowagę stosu przebiegała dokładnie przez "0". Na lewo od niej jarzył się szereg liczb ujemnych, na prawo dodatnich. Stos pracował idealnie.

Parker gadałby bez wątpienia dalej, przeplatając pieprzne historyjki wiecznie tymi samymi narzekaniami. Gadałby, gdyby nie sygnał alarmowy, który nagle zabuczał monotonnie nad ich głowami.

- Chryste, co znowu? Nie zdąży człowiek wygodnie usiąść, a tamtym już coś odbija!

- Racja. - Brett wyciągnął szyję, żeby lepiej słyszeć.

W głośniku ktoś delikatnie odchrząknął, po czym usłyszeli głos sierżant Ripley.

- Zgłoszcie się do mesy.

- Ani obiad, ani kolacja... - Parker był wyraźnie zbity z tropu. - Albo ogłoszą gotowość do rozładunku, albo... - Zerknął pytająco na swego towarzysza.

- Zaraz się dowiemy - rzekł Brett.

Szli korytarzem "C" w stronę mesy, a Parker spoglądał z niesmakiem na brudne ściany.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego nikt z dowództwa nigdy tutaj nie schodzi. Zobaczyliby, w jakich warunkach tu harujemy.

- Bo nasz czas to ich czas. Tak na to patrzą. Dlatego dostają pełną działkę, a my tylko pół.

- Wiesz co, Brett? Coś mi tu mocno śmierdzi. - Ton, z jakim to wypowiedział, nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że Parkerowi chodzi o coś zupełnie innego niż o zapaszek bijący ze ścian korytarza "C"...

2.

Nie można powiedzieć, żeby mesa grzeszyła wygodą, co to, to nie. Ale była na tyle duża, by pomieścić całą załogę. Ponieważ razem jadać mieli rzadko kiedy (automatyczny i jak zawsze doskonały kucharz starał się wyrobić w nich indywidualne upodobania kulinarne), nie zaprojektowano jej tak, by podczas posiłków wszyscy siedzieli jak w drogiej restauracji. Rozpychali się więc przy stole, potracali, kopali i próbowali przy tym nie drażnić sąsiadów.

Parker i Brett byli w ponurym nastroju i wcale tego nie ukrywali. Pocieszali się tylko tym, że system napędowy Nostromo pracował bez zarzutu i tym, że powód, dla którego wyciągnięto ich z hibernatorów - jakkolwiek by nie był oznaczał kupę roboty dla kogoś innego, nie dla nich; Ripley zdążyła już ich wprowadzić w sytuację, więc wiedzieli, że do Ziemi jeszcze daleko.

Parker przypuszczał, że będą musieli znów włączyć do hibernatorów, a ponieważ był to, najdelikatniej mówiąc, proces mało estetyczny i nader skomplikowany, kłął pod nosem jak szewc; główny inżynier czuł wstręt do wszystkiego, co oddalało moment, kiedy poczuje w kieszeni upragnioną wypłatę.

- Kapitanie, to nie nasz system, to nie Sol - zaczął Kane, mówiąc w imieniu pozostałych. Pozostali wpatrywali się z wyczekiwaniem w Dallasa. - Jesteśmy daleko od domu, a mimo to komputery wyciągnęły nas z hibernatorów. Pora, byśmy dowiedzieli się dlaczego.

- Fakt, pora - zgodził się natychmiast Dallas. - Jak wiecie, Matka jest zaprogramowana tak, że może przerwać podróż i obudzić załogę, jeśli zaistnieją ku temu określone przyczyny. - Dla większego efektu zawiesił głos, po czym dodał: - Te przyczyny właśnie zaistniały.

- To musi być coś cholernie, ważnego - zauważyła Lambert, obserwując Jonesa, który trącał łapką jeden z mrugających wskaźników. - I dobrze o tym wiesz. Rozmrożenie całej załogi to niełatwa sprawa. W dodatku ryzykowna.

- Jezu, ależ ta baba pieprzy... - mruknął Parker tak cicho, że słyszał go tylko Brett.

- Z pewnością ucieszy was wiadomość - mówił Dallas - że powód, dla którego nas obudzono, nie ma związku z Nostromo. Matka twierdzi, że statek jest w idealnym stanie.

Ktoś wyszeptał z ulgą: "Amen", ktoś inny podziękował z głębi serca Bogu.

- Przyczyna alarmu leży gdzie indziej - kontynuował Dallas. - Chodzi mianowicie o układ słoneczny, w którego rejon trafiliśmy, a konkretnie o jedną z jego planet. - Zerknął na Asha. Ash potwierdził słowa kapitana skinieniem głowy. - Odebraliśmy stamtąd ciąg sygnałów. Sygnały są bardzo zniekształcone i

skomplikowane, i komputer miał trudny orzech do zgryzienia. Rozgryzł go wreszcie i doszedł do wniosku, że jest to sygnał S.O.S.

- Bez sensu... - Wyglądało na to, że teraz Lambert ma trudny orzech do zgryzienia. - Ze wszystkich standardowych przekazów radiowych sygnały S.O.S są najmniej skomplikowane i najłatwiejsze do odcyfrowania. I Matka miała z tym kłopoty?

- Matka twierdzi, że sygnał, który odebraliśmy, odbiega od standardu. To po prostu wiązka impulsów akustycznych powtarzających się co dwanaście sekund. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że według komputera sygnału tego... nie nadał człowiek.

Obcy sygnał. Obcy sygnał !

Ściszone głosy, szmerek niedowierzania. Kiedy pierwsza fala podniecenia opadła, Dallas kontynuował wyjaśnienia.

- Matka się waha. Tego właśnie nie mogę zrozumieć. Nigdy dotąd nie spotkałem się z wypadkiem, żeby komputer nie był czegoś pewien. Owszem, komputer może czegoś nie wiedzieć, to się zdarza, ale z taką reakcją nie miałem jeszcze do czynienia. Cóż, zawsze jest ten pierwszy raz. Najważniejsze w tym wszystkim jest to, że według Matki odbieramy sygnał S.O.S. Prawie na pewno.

- No i co z tego? - Brett sprawiał wrażenie człowieka kompletnie nie zainteresowanego sprawą.

- Rusz łepetyną, Brett - rzucił odrobinę poirytowany Kane. - Znasz regulamin czy nie? Zgodnie z rozdziałem B2 rozporządzenia dotyczącego ruchu tranzytowego, w takiej sytuacji jesteśmy zobligowani do udzielenia wszelkiej możliwej pomocy. I to bez względu na to, czy pomocy wzywają ludzie, czy ktoś inny, jasne?

Parker był oburzony. Tupnął nogą i powiedział:

- Jak rany, przykro mi o tym mówić, ale Nostromo to nie statek ratowniczy, do cholery! To zwykły holownik, w dodatku holownik wlokący za sobą gigantyczny, piekielnie niewygodny do manewrowania ładunek. Tego rodzaju zabawy nas nie dotyczą, w kontrakcie nie ma o nich ani słowa! Nagle twarz mu się rozjaśniła. - Pewnie, jeśli za tę robotę dostaniemy ekstra szmal, to...

- Przeczytaj dokładnie umowę, Parker - rzekł Ash i wyrecytował niczym komputer, z którego był tak dumny: - "Każdy regularny sygnał wskazujący na to, że nadały go istoty inteligentne, musi zostać zbadany." Tak, Parker, pod karą przepadku całej wypłaty i wszystkich premii. I nie ma tu ani słowa na temat ekstra szmalu za udzielenie pomocy.

Parker znów tupnął nogą, ale już się nie odezwał. Ani on, ani Brett nie uważali się za bohaterów, a przecież jeśli coś - albo ktoś - uziemiło tego obcego na nieznanej planecie, dlaczego nie miało uziemić i Nostromo? Nie było co prawda

dowodów na to, że obcy musiał tam lądować, ale jako realista Parker na pewno nie należał do optymistów.

A Brett? Dla Bretta cała sprawa oznaczała wyłącznie jedno: opóźnienie wypłaty, nic więcej.

- Musimy to zbadać - oznajmił Dallas, mierząc wzrokiem inżyniera i jego pomocnika.

Miał ich dosyć. On też nie chciał zbaczać z drogi, on też chciał jak najszybciej rozładować statek i wrócić do domu, ale postawa tych dwóch zaczynała być groźna. Niezadowolenie często przeradzało się w otwarty bunt.

- Racja. - Brett wykrzywił wargi w sardonicznym uśmiechu.

- Co racja?

Inżynier-technik nie należał do głupców. Ton głosu Dallasa i jego mina nie zapowiadały niczego dobrego. Brett uznał, że czas się wycofać.

No, więc zbadamy... - Dallas nie spuszczał z niego oczu, więc gett szybko dodał:

- ...panie kapitanie. Dallas przeniósł gniewny wzrok w Parkera, ale inżynier, pocziwina, nagle złagodniał.

- Da się na tym wylądować? - zapytał kapitan Asha. - Ktoś tam przed nami wylądował.

- O to właśnie chodzi - zauważył z powagą Dallas. Mówisz "lądowanie" i masz na myśli miękkie lądowanie, lądowanie jako szereg następujących po sobie faz przyziemienia, które - jeśli wszystko się uda - sprowadzą statek bezpiecznie na powierzchnię. Odbieramy sygnał S.O.S., tak? To by sugerowało, że tamci nie wylądowali miętko i bezpiecznie. Trzeba sprawdzić, co się dzieje. Ale musimy to zrobić spokojnie, cichutko, na paluszkach, jasne?

Na mostku był podświetlany stół do map. Dallas, Kane, Ripley i Ash obstąpili go z czterech stron, a Lambert usiadła przy swoim stanowisku.

- To tam. - Kapitan wskazał palcem punkt jarzący się na szklistym blacie i powiódł wzrokiem po zebranych. Chcę, żebyście tego wysłuchali. Uważajcie.

Wszyscy usiedli, a Dallas dał znak Lambert. Palce nawigatora zawisły w pogotowiu nad jakimś przełącznikiem. - Dobra, zaczynamy - rzucił kapitan. - Obserwujcie poziom głośności.

Lambert pstryknęła przełącznikiem.

Najpierw usłyszeli tylko szum i trzaski. Później zakłócenia ustały i z głośnika popłynął dźwięk tak niesamowity, że Kane poczuł na grzbiecie ciarki, a Ripley nieprzyjemne, zimne mrowienie. Dźwięk trwał dwanaście sekund. Potem nastąpiła cisza, przerywana szmerem złąkanych fal elektromagnetycznych.

- Jezu... - Na twarzy Kane'a malowało się najwyższe napięcie.

Lambert wyłączyła odbiornik. Nastrój grozy prysnął. - Co to, u diabła, jest? - Ripley zadała pytanie takim tonem, jakby podano jej na talerzu zdechłego szczura. W życiu czegoś podobnego nie słyszałam. I to ma być S.O.S.?

- Matka twierdzi, że tak - odparł Dallas. - Nazwała go "sygnałem obcym", ale to chyba zbyt łagodne określenie.

- Może to... czyjś głos? - Lambert urwała, przemyślała swoje słowa i doszła do wniosku, że niosą z sobą niemiłe skojarzenia. Udała, że pytania nie było.

- Niedługo się dowiemy. Masz już pełne namiary?

- Prawie zlokalizowała sektor. - Lambert obróciła się z ulgą do pulpitu, dziękując Bogu, że znów może zająć się matematyką i odpędzić niespokojne myśli.

- To niedaleko.

- Gdyby było inaczej, Matka nie wyciągnęłaby nas z hibernatorów wymamrotała Ripley.

- Rozwijanie wstępujące impulsów sześć minut, dwadzieścia sekund. Odchylenie magnetyczne trzydzieści dziewięć stopni i dwie sekundy.

- Rzuć źródło na ekran.

Lambert przebiegła palcami po klawiaturze komputera. Jeden z ekranów zamigotał i pojawił się na nim jasny punkcik.

- Wysokie albedo. Możesz podejść bliżej?

Nie. Ta odległość musi wam wystarczyć. Ale zrobię coś innego - odparła Lambert.

Obraz na ekranie powiększył się jak w obiektywie zmienno ogniskowym i natychmiast zyskał na ostrości. Ujrzeni przed sobą nijaką, lekko spłaszczoną planetę zawieszoną w kosmicznej pustce.

- Ta przynajmniej myśli głową... - mruknął Dallas bez cienia złośliwości w głosie. - Pewna jesteś, że to ta? Sporo tu takich.

- Absolutnie. To nawet nie planeta, raczej planetoida. Najwyżej tysiąc, tysiąc dwieście kilometrów.

- Obraca się?

- Tak. Pełny obrót wokół osi trwa około dwóch godzin, dokładnie nie wiem. Rozpracowuję dane wstępne. Za dziesięć minut powiem ci coś więcej.

- Jak na teraz wystarczy. Grawitacja? Lambert rzuciła okiem na wskaźniki.

- Zero osiemdziesiąt sześć. Całkiem sporą gęstość ma to maleństwo.

- Nic nie mów Parkerowi i Brettowi - wtrąciła Ripley. - Pomyślą, że znaleźliśmy wielką bryłę wolframu i nim zdążymy zbadać, kim jest nasz obcy, sprzedadzą go razem z planetą.

Uwaga Asha była bardziej prozaiczna: - Można po tym chodzić - stwierdził. Zajęli się procedurą wejścia na orbitę.

Holując za sobą olbrzymie cysterny z ropą i gigantyczną rafinerię, Nostromo zbliżał się do granic maleńkiego świata.

Zaraz wejdziemy na apogeum. Uwaga. Dwadzieścia sekund. Dziewiętnaście, osiemnaście...

Lambert odliczała upływający czas, a jej koledzy bez pośpiechu robili swoje.

- Zwrot na sterburtę. Dziewięćdziesiąt dwa stopnie rzucił spokojnie Kane.

Nostromo wraz z ładunkiem wykonał w bezkresnej próżni monstrualny piruet. Silniki sterujące odpaliły i na rufie statku rozbłysły na chwilę jasne światła.

- Na orbicie równikowej - zameldował Ash. - Tak trzymać.

Pod nimi wirował obojętnie miniaturowy glob. - Ciśnienie bezwzględne na EC?

Ash zerknął na wskaźniki i nie odrywając od nich oczu, głośno przeliczał:

- Trzy przecinek czterdzieści pięć łamane na kwadrat. Około pięciu funtów na cal kwadratowy, kapitanie. - Krzycz, jak się zmieni.

- Martwisz się, że kiedy tam zejdziemy, to redundancja spieprzy nam redoks na CMGS, tak?

- Uhm.

Redoks na CMG załatwimy przez DAS/DCS. To go wyhamuje.

Dalej zmodulujemy resztę TACS-em i będziemy kontrolować przez ATMDC i interfejs. Teraz ci lepiej?

- O wiele.

Z Asha był zabawny faceta taki przyjazny na dystans, ale niezwykle kompetentny. Nic go nie ruszało. Dallas czuł się przy nim pewniej. Lubił, kiedy naukowiec wspierał jego decyzje.

- Przygotować się do manewru rozłączenia. - Kapitan pstryknął przełącznikiem telefonu wewnętrznego. - Siłownia, przygotować się do rozłączenia.

- Osiowanie w el-kę na rucie i sterburtę w porządku. Świeci na zielono.

- Łącze główne gotowe do oddzielenia. Jest zielone światło - dodał Brett.

- Przekraczamy terminator. Wchodzimy w strefę nocy - zameldowała Lambert.

Pod nimi ciemna linia rozcinała gęste chmury nad planetoidą. Lewa burta Nostromo lśniła teraz niczym brylant, a prawa tonęła w nieprzeniknionych, grobowych ciemnościach.

- Do rozłączenia siedemnaście sekund - oznajmiła Lambert. - Uwaga. Szesnaście sekund... - Wcisnęła klawisz za klawiszem. - Piętnaście... Dziesięć... Pięć... Cztery, Trzy, Dwie, Jedna. Zamek odbezpieczony. - Rozłączyć - rozkazał krótko Dallas.

Miedzy rufą Nostromo i wielką, nieruchawą platformą rafinerii wykwitły obłoczki gazu. Dwa zbudowane przez człowieka obiekty - jeden z załogą na pokładzie, drugi bez śladu życia - zaczęły się od siebie wolno oddalać. Dallas w skupieniu obserwował manewr na ekranie numer dwa.

- Łącze główne puściło. Gładko - zameldowała po chwili Ripley.
- Precesja w normie. - Kane usiadł wygodniej, pozwalając sobie na kilka sekund odpoczynku. - Poszło jak po maśle. Rozłączenie na piątkę. U mnie wszystko gra.

- U mnie też - dodała Lambert. - I u mnie - rzuciła z ulgą Ripley.

Dallas zerknął na nawigatora.

- Jesteś pewna, że nie zejdziesz z orbity? - spytał. - Nie chciałbym, żeby dwa miliardy ton ropy wyciekło z cystern, zapaliło się i spadło nam na łeb. To maleństwo na dole ma niezbyt gęstą atmosferę. Nic nas nie uratuje.

Lambert jeszcze raz sprawdziła odczyt.

- Nie zejdziesz - powiedziała. - Utrzyma się na niej przez co najmniej rok.

- Dobra. Dopóki forsa jest bezpieczna, w domu nas nie zabiją. Schodzimy w dół. Przygotować się do wejścia w atmosferę.

W skupieniu rozpracowywali przydzielone zadania. Kot Jones siedział na pulpicie sterowniczym przy lewej burcie. Śledził gęstniejące w dole chmury.

- Opadamy: - Lambert skoncentrowała się teraz na wysokościomierzu. - Pięćdziesiąt tysięcy metrów... Niżej, jeszcze niżej... Czterdzieści dziewięć tysięcy... Wchodzimy w atmosferę.

Dallas wbijał wzrok we wskaźniki, próbując zapamiętać dziesiątki zmieniających się nieustannie danych. Lot kosmiczny dalekiego zasięgu to kwestia zawierzenia skomplikowanym urządzeniom i ufność, że Matka odwali najtrudniejszą robotę. Lot w atmosferze to zupełnie inna sprawa. Tu pierwsze skrzypce grał pilot, nie komputery.

Brzuch statku musnął brązowo szare chmury. - Ostrożnie. Paskudnie mi to wygląda.

Cały Dallas... pomyślała Ripley. Gdzieś tam, na dole, w tym mrocznym piekle nieznaną statek nadaje regularny, przerażająco nieludzki sygnał S.O.S. Planeta nie figuruje w żadnych katalogach, co znaczy, że wszystko trzeba zaczynać od zera: zbadać skład atmosfery, konfigurację terenu i tak dalej. A dla Dallasa to po prostu "paskudnie wygląda" i tyle! Chryste, co taki wspaniały facet robi na zwyczajnym, nikomu nie znanym holowniku?

Tak, często nad tym dumiała. Gdyby umiała czytać w jego myślach, gdyby знаła odpowiedź, niepomiarne by się zdziwiła. Otóż Dallas najzwyczajniej w świecie to lubił.

- Trajektoria schodzenia pionowego obliczona i wprowadzona do komputera. Przeprowadzam lekką korektę kursu... - meldowała Lambert. - Na kursie. Namierzam się na cel... Cel namierzony. Lecimy jak po sznurku.

Dobra. Utrzymasz kurs w tych warunkach atmosferycznych? Bez głównych silników?

Tego jeszcze nie wiem. Jak na razie dobrze nam idzie, kapitanie. Kiedy zejdziemy pod powłokę chmur, sprawa się wyjaśni.

- W porządku. - Dallas zerknął na jakiś wskaźnik, zmarszczył brwi i wcisnął klawisz. Cyferki na odczycie zamigotały i ułożyły się w o wiele sympatyczniejszy ciąg. Daj znać, jeśli wyskoczy coś nagłego.

- Tak jest.

Nostromo uderzył brzuchem w niewidzialną zaporę. Niewidzialną, dla oka, ale nie dla urządzeń pokładowych. Statek odbił się od niej raz, drugi, trzeci, a później osiadł łagodnie w grubej warstwie czarnych chmur. Łatwość, z jaką weszli w atmosferę planetoidy, była zasługą Lambert, która doskonale wyliczyła kurs, oraz Dallasa, który siedział za sterami.

Niestety, spokój trwał krótko. W powietrznym oceanie grasowały silne prądy. Opadający statek został gwałtownie zaatakowany.

- Turbulencje. - Ripley zmagala się z dziesiątkami przełączników.

Włącz światła pozycyjne i reflektory główne. - Dallas nie spuszczał wzroku z monitora. Pośród szalejących na ekranie wirów usiłował doszukać się choćby odrobiny sensu. - Może coś tam zobaczymy.

- Nie da rady - powiedział Ash. - W tej zawieszinie nic nie zastąpi elektroniki.

- I nic nie zastąpi nam głównego ciągu - odparł kapitan. - Tak czy siak, chcę sobie popatrzeć.

Pod brzuchem Nostromo zapaliły się potężne reflektory. Ale strugi światła nie przeniknęły skłębionych obłoków i tymczasem musieli sobie radzić bez kontaktu wizualnego, którego Dallas tak bardzo pragnął. Światło nie przeniknęło chmur, ale odbiwszy się od ich warstwy, rozjaśniło ciemne dotychczas ekrany, a tym samym wnętrze mostku. Wszyscy poczuli się rażniej. Lambert również, bo dotychczas miała wrażenie, że nurkują w gęstym, atramentowym oceanie.

Parker i Brett nie widzieli powłoki chmur, ale odczuwali jej obecność. Komora siłowni nagle zadrżała, coś targnęło nią silnie w lewo, potem w prawo.

Parker zaklął pod nosem. - Co to było? Słyszałeś?

- Ano. - Brett przyglądał się nerwowo jakiemuś wskaźnikowi. - Spadek ciśnienia na wlocie silnika numer trzy. Chyba poszła osłona. - Wcisnął kilka guzików. Ano, poszła. Trójkę diabli wzięli. Zasysamy pył.

- Wyłącz go, wyłącz! - A co ja robię?

- No, to mamy w turbinach parę ton piachu. Wspaniale.

- Żaden kłopot. Tak sądzę... - Brett pstryknął przełącznikiem. - Ominiemy trójkę, odwrócimy ciąg i wydmuchamy to świństwo.

- Uszkodzenia nie wydmuchasz. - Parker wołał nie myśleć, jak piach podział na aerodynamikę wlotu powietrza. - W co nas, do diabła, zagnało? W chmury czy

w jakieś skały? Jeśli się nie rozwalimy, spiecie masz jak w banku. Spiecie i pożar. Gwarantuję.

Nie słysząc dosadnych przekleństw niosących się po całej siłowni, pięciu astronautów na mostku próbowało osadzić statek w pobliżu źródła sygnałów S.O.S. Robili wszystko, żeby osadzić go cało.

- Dwadzieścia pięć kilometrów do punktu docelowego. - Lambert obserwowała odległosciomierz. - Dwadzieścia... Dziesięć... Pięć...

- Zwalniam. Zwrot. - Dallas pochylił się nad sterem. - Korekta kursu o trzy stopnie, cztery minuty. - Kapitan zastosował się do wskazówek nawigatora. - Tak trzymać.

Pięć kilometrów do centrum sektora poszukiwań.

Jak po sznurku.

- Teraz trochę gorzej... - Dallas poruszył delikatnie sterem.

Trzy kilometry... Dwa... - Lambert była lekko podekscytowana. Kapitan nie wiedział dlaczego. Może to niebezpieczeństwo tak na nią działało, może bliskość źródła tajemniczego sygnału.

Jesteśmy praktycznie na miejscu, kapitanie. Krążymy. Pod nami centrum sektora.

- Dobra robota, Lambert. Ripley, jakie tam mamy ukształtowanie terenu? Szukaj lądowiska.

- Tak jest.

Poszukała wzrokiem odpowiednich wskaźników. To, co na nich zobaczyła, napawało ją coraz większą odrazą. Dallas trzymał statek w ryzach i Nostromo krążył dokładnie nad środkiem sektora. Ripley robiła wszystko, żeby rozszyfrować konfigurację niewidocznego terenu.

- Kontakt wzrokowy niemożliwy.

- To widzimy - wymamrotał Kane. - A raczej nie widzimy : rzadkie i niedokładne dane na temat ukształtowania ziemi, jakie pojawiały się na ekranie, nie wprawiały go w dobry nastrój. Mówiły, że krążą nad światem wrogim i jałowym, nad nieprzystępnym pustkowiem.

- Na radarze zakłócenia. - Ripley żałowała, że wiązki elektronów nie reagują na przekleństwa jak ludzie. - Na podczerwieni też zakłócenia. Chwila, spróbuję nadfioletu. Widmo w nadfiolecie jest chyba dobre, nie powinno być kłopotów...

Kilkanaście sekund później na ekranie zjawił się wreszcie szereg bardziej optymistycznych cyferek, a potem tak długo oczekiwany i jakże istotny, komputerowy szkic terenu ze świetlistą legendą.

- Jest! Nareszcie!

- Możemy tam wylądować?

Ripley była teraz całkowicie odprężona.

- Tak, z tego, co tu widać, prawie wszędzie. Lecimy nad równiną, nad idealną równiną.

Dallas wyobraził sobie gładki jezior lawy, lawy na wierzchu chłodnej, pod której cienką, zastygłą skorupą czai się zdradziecka, rozżarzona otchłań.

- Tak, ale co jest p o d tą równiną? - spytał. - Woda? Roztopiony bazalt? Piasek? Kane, bierz się do roboty. Zejdę jak najniżej, żeby wyeliminować zakłócenia. Skoro to równina, o nic się nie roztrzaskamy.

Kane włączył odpowiednie urządzenia.

- Analizator uruchomiony. Na razie same trzaski. Dallas sprowadził statek niżej.

- Nadal zakłócenia, ale trochę mniejsze - meldował Kane.

Nostromo opadł jeszcze niżej. Lambert obserwowała wysokościomierz. Wciąż znajdowali się na wysokości bezpiecznej, ale przy tej szybkości lotu wszystko mogło ulec gwałtownej zmianie. Gdyby zawiodły silniki, gdyby natknęli się na silny prąd zstępujący, byłoby po nich. Zredukowanie szybkości nie wchodziło w grę. Przy tym wietrze groziło to katastrofalną w skutkach utratą panowania nad sterami.

- Zakłócenia mniejsze, mniejsze, coraz mniejsze... Czysto! - Kane wbił wzrok w monitor, gdzie migotały cyferki namiarów i konturowy szkic terenu, nad którym lecieli. - To bazalt. Analizator twierdzi, że jeszcze niedawno płynny. Teraz całkowicie zastygły i bezpieczny. Tak, głównie bazalt, trochę liparytu, tu i tam nacieki zimnej lawy. Lądowisko twarde i pewne. Nie ma śladów aktywności tektonicznej. - Włączył inny detektor, żeby poznać tajemnice warstw geologicznych położonych głębiej. - Żadnych rozpadlin skalnych. Ani bezpośrednio pod nami, ani w najbliższej okolicy. Wygląda na to, że znaleźliśmy idealne miejsce do lądowania.

Dallas zawahał się.

- Jesteś pewien co do składu warstwy nawierzchniowej? - spytał.

- Bazalt. To nie może być lnic innego. Od dawna zastygły. - Pierwszy oficer był lekko rozdrażniony. - Umiem porównać wiek skały z jej składem, przerabiałem to w szkole podstawowej. Myślisz, że posadziłbym statek w kraterze czynnego wulkanu?

- Dobra, już dobra, przepraszam. Chciałem się tylko upewnić. Będziemy lądować bez map i bez naprowadzania. Dawno tego nie trenowałem, dlatego jestem trochę zdenerwowany.

- My też - wyznała szczerze Lambert. - To co? Gotowi?

Nikt nie powiedział "nie".

- No, to lądujemy. Spróbuję zejść jak najciaśniejszą pętlą i usiąść maksymalnie blisko celu. Nieźle tam dmucha, uważaj, Lambert. Nie chciałbym wylądować na

grzbiecie tego obcego. Jak podejść za blisko, wrzeszcz. - Kapitan był lekko spięty, choć mówił głosem silnym i zdecydowanym.

Wyregulowano niezbędne urządzenia, wydano rozkazy, wierne i zawsze posłuszne komputery zabrały się do pracy.

Wolno, metr po metrze, Nostromo schodził w dół, zataczając regularne kręgi, walcząc z chaotycznymi prądami i horrendalnymi podmuchami bocznego wiatru.

- Odległość piętnaście kilometrów. Zmniejsza się meldowała spokojnie Ripley.
- Dwanaście... Dziesięć... Osiem...

Dallas musnął palcami pokrętła steru.

- Zwalniamy. Pięć... Trzy... Dwa... Kilometr. Kapitan zmniejszył prędkość opadania jeszcze bardziej. - Teraz wolniej... - donosiła Ripley. - Uruchomić silniki hamujące.

- Silniki grają - rzucił Kane znad swojego pulpitu. Siadamy na komputerach.

Od ziemi dzieliło ich ledwie kilkaset metrów. Kabinę wypełnił charakterystyczny, delikatny szum. Kontrolę nad ruchami Nostromo przejęła teraz Matka. Ona umiała poprowadzić statek z precyzją, z jaką nie poprowadziłby go żaden człowiek.

- Silniki hamujące chwyciły - zameldował Kane. - Wyłączyć silnik główny.

Kane sprawdził prawidłowość ostatniej fazy lądowania i ustawił kilka przełączników w pozycji OFF.

- Silnik główny wyłączony. Wspomaganie amortyzatorów prawidłowe.

Nostromo zadygotał.

- Dziewięćset metrów do powierzchni. - Ripley nie odrywała wzroku od ekranu.

- Osiemset... Siedemset... Sześćset... - Podawała wysokość w setkach metrów. Chwilę potem już w dziesiątkach.

Na wysokości pięciu metrów, wisząc nad mrocznym, dzikim światem, Nostromo jakby się zawahał.

- Wysunąć łapy - rozkazał Dallas.

- Łapy wysunięty - Kane wykonał polecenie, zanim kapitan ostatecznie je sformułował.

Usłyszeli cichy, metaliczny jęk. Spod brzucha statku wysunęło się kilka złożonych po owadziemu nóg, które zatańczyły niebezpiecznie blisko wciąż niewidocznej powierzchni.

- Cztery metry... Trzy... Ufff! - Ripley zastygła w bezruchu.

Nostromo również. Jego łapy zetknęły się z twardą nawierzchnią lądowiska, potężne amortyzatory złagodziły towarzyszący temu wstrząs.

- Siedzimy.

Coś trzasnęło. Spalił się najpewniej jakiś mało znaczący układ, może z powodu nagłego wzrostu napięcia, przeciążenia, którego w porę nie zneutralizowano. Kadłubem statku wstrząsnął potężny dreszcz. Blachy poszycia zawibrowały, Nostromo jęknął przejmująco, strasznie.

- Awaria na styku! Na styku! - wrzasnął Kane. Elektroniczny układ nerwowy statku przekazał wiadomość o awarii do tysięcy czujników, a te, działając na zasadzie sprzężenia zwrotnego, wysłały odpowiednie impulsy do komputerów. Komputery rozkrzyczały się, sygnalizując niebezpieczeństwo.

Na mostku zgasły wszystkie światła.

W chwili gdy kadłub Nostromo zadygotał od potwornego wstrząsu, Parker i Brett sposobili się do otwarcia kolejnych puszek z piwem. Przeszkodziła im eksplozja zwartego szeregu przewodów ułożonych na suficie. Zapaliły się też trzy pulpity, a jeden z zaworów ciśnieniowych spuchł, a potem również eksplodował.

Zgasły światła, więc natychmiast zaczęli szukać przełączników oświetlenia awaryjnego. Jednocześnie Parker próbował wymacać wyłącznik generatora zapasowego, który miał zasilać sterownię w wypadku awarii prądnicy współpracującej z silnikami.

Piątka astronautów na mostku usiłowała nie poddawać się panice. Kiedy krzyk zamarł, kiedy przebrzmiały chaotyczne pytania, Lambert wypowiedziała na głos to, o czym myśleli wszyscy:

- Zapasowy generator powinien już dawno zaskoczyć. - Postąpiła krok naprzód i uderzyła się kolanem o krawędź pulpitu.

- Ciekawe, dlaczego jeszcze nie zaskoczył...?

Kane przesunął się do ściany i pomacał wokoło rękami. Przełączniki lądowania awaryjnego... Tutaj. Przebiegł palcami po znajomych przyciskach. Trzpień zamka rufowego... Jest. Zaraz obok powinien być... Dłoń zacisnęła się na włączniku oświetlenia awaryjnego. Nikła poświata wyłoniła z mroku pięć upiornych sylwetek.

Wykorzystując światło, które zapalił Kane, Dallas i Lambert odszukali odpowiednie przełączniki przy swoich stanowiskach. Przy trzech lampkach można już było jako tako pracować.

- Co się stało? Dlaczego zapasowy nie zaskoczył? I skąd ten wstrząs?

Ripley połączyła się z siłownią.

- Siłownia, co się stało? Jak wygląda sytuacja? - Parszywie.

Głos Parkera sugerował, że główny inżynier jest piekielnie zajęty, jednocześnie wściekły i zmartwiony. W tle słyszeli oszalałe brzęczenie, jakby do siłowni wpadł jakiś gigantyczny owad i tłukł skrzydłami po ścianach. Słowa Parkera to ginęły w tym brzęczeniu, to rozbrzmiewały wyraźnie, jak gdyby inżynier miotał się po całej sterowni, wychodząc z zasięgu wszech kierunkowego mikrofonu.

- Pył, ten cholerny pył w silnikach! - wrzasnął. - To się stało. Nałapaliśmy go przy schodzeniu. Chyba nie wyłączyliśmy silników na czas i nie przedmuchaliśmy. Teraz mamy tu pożar, cholera...

- Duży - uzupełnił wymownie Brett; jego głos brzmiał cicho, jakby z oddali.

W rozmowie nastąpiła chwila przerwy. Z głośnika wyłowili tylko szum gracujących gaśnic.

- Zapchały się wloty powietrza - wykrztusił w końcu Brett, a piątka na mostku zamarła w napięciu. - Mieliliśmy ostre przegrzanie, chyba poszły ogniwa. Chryste, coraz większy ogień...

Kapitan zerknął w lewo.

- Ripley, do roboty. Parker i Brett nie mają teraz czasu. Chcę znać odpowiedź na zasadnicze pytanie. Coś na statku poszło w drzazgi. Mam nadzieję, że tylko w siłowni, ale nikt tego nie wie na pewno. Chcę wiedzieć, czy poszycie kadłuba nie jest naruszone. - Wziął głęboki oddech. Jeśli jest, melduj w którym miejscu i jak mocno.

Ripley sprawdziła błyskawicznie wszystkie wskaźniki hermetyzacji, potem prześledziła wykresy ciśnienia w poszczególnych sektorach statku i dopiero wówczas zyskała pewność co do swojej oceny.

- Nic nie widzę. We wszystkich sektorach mamy normalne ciśnienie. Jeśli jest gdzieś rozdarcie, to minimalne. Wskaźniki nie reagują, bo warstwy samouszczelniające dawno się z nim uporały.

Ash nie odrywał wzroku od swego pulpitu sterowniczego. Podobnie jak inne, w wypadku awarii zasilania głównego, a taka awaria właśnie nastąpiła, stanowisko czerpało prąd z niezależnego źródła.

- Skład powietrza normalny, we wszystkich sektorach - zameldował. - Nie ma śladu obcych zanieczyszczeń. Sądzę, że poszycie nie puściło, kapitanie.

- To najlepsza wiadomość od sześćdziesięciu sekund, Ash. Kane, włącz monitory zewnętrzne. Te, które są jeszcze pod napięciem.

Pierwszy oficer przesunął trzy dźwignie. Na ekranach coś lekko błysnęło, dostrzegli mgliste zarysy jakichś formacji geologicznych, a potem monitory zgasły.

- Nici z tego. Ciemno jak w grobie, a raczej jak na mostku. Bez generatora awaryjnego jesteśmy ślepi, kapitanie. Akumulatory są za słabe, żeby dać nam choćby zamazany obraz z zewnątrz.

Czujniki foniczne potrzebowały mniej prądu i na mostku zagościły odgłosy obcego świata. Szalejący wiatr omiatał nieruchome sensory, które przesyłały do środka dziwaczne, urwane dźwięki przypominające popiskiwanie kłócących się ryb.

- Szkoda, że nie siadaliśmy za dnia. - Lambert rzuciła okiem za czarny iluminator. - Przynajmniej byłoby coś widać, bez kamer i komputerów.

- Co jest, Lambert? - dogadywał Kane. - Boimy się ciemności?

Nie odwzajemniła uśmiechu.

- Nie boję się ciemności, którą znam. Przeraża mnie ciemność, o której nic nie wiem. Zwłaszcza wtedy, jeśli w tej ciemności rozlega się obcy sygnał S.O.S. - Obróciła twarz do iluminatora.

Szczerść, z jaką wypowiedziała dręczące wszystkich obawy, nie poprawiła atmosfery na mostku. Atmosfera była zła, a przytłaczający mrok sprawił, że stawała się coraz gorsza. Milczenie, jakie między nimi zapadło, też na nią dodatnio nie , wpływało.

Dlatego z ulgą przyjęli słowa Ripley.

Znów mamy połączenie z siłownią. - Manipulowała przy wzmacniaczu, a Dallas i reszta wpatrywali się w nią w napięciu. - To ty, Parker?

- Taa, to ja. - Sądząc po tonie głosu, inżynier był zbyt zmęczony, żeby odpowiedzieć ze zwykłą sobie zgryźliwością.

Co z siłownią? - Dallas zacisnął w myśli kciuki.

Ugasiliście pożar?

- Ugasiliśmy, wreszcie. - Parker westchnął; westchnienie zabrzmiało jak podmuch wiatru. - Ogień dotarł do tych starych przewodów smarowych na ścianach pokładu "C". Przez chwilę myślałem, że dym zeżre nam płuca, cholera. Na szczęście warstwa tego świństwa była cieńsza, niż zakładałem, i szybko się wypaliła. Wygląda na to, że filtry nieźle sobie radzą. Tlenku węgla ani śladu.

Dallas oblizwał nerwowo wargi.

- Jakie szkody? Daruj sobie te mniejsze. Chodzi mi o manewrowość statku .i funkcjonowanie najżywotniejszych systemów.

- Szkody... - powtórzył wolno Parker. - Kompletnie zniszczony pulpit sterowniczy numer cztery... - Oczyma wyobraźni Dallas widział, jak inżynier wylicza uszkodzenia, zaginając kolejno palce. - Dalej, szlag trafił zespół awaryjnego doładowania i przynajmniej trzy ogniwa w module dwunastym. Wiecie, co się z tym wiąże. - Odczekał, aż wiadomość do nich dotrze i rzucił: - O drobiazgach na razie nie wspomnę. Dajcie mi godzinę, a przedstawię całą listę.

- Oduść sobie listę. Czekaj. Ripley, spróbuj teraz włączyć monitory.

Włączyła, ale nadal nie działały. Wciąż były ślepe, puste jak umysł księgowego z ich Towarzystwa.

- Jakiś czas musimy radzić sobie bez nich - powiedział kapitan.

- Parker, Brett; jesteście pewni, że to wszystko? - rzuciła w mikrofon. Współczuła im; po raz pierwszy od chwili, kiedy zostali członkami załogi. A raczej

od chwili, kiedy to ona została członkiem załogi, gdyż Parker latał na Nostromo już przedtem.

- Jak na razie. - Odkasznął. - Próbuje naprawić zasilanie, główny generator. Dwunasty moduł zapieprzył całą sprawę. Dam wam znać, jak stoimy, kiedy rozeznamy się w szkodach, jakie wyrządził ogień. Co z naprawą? Dacie radę?

Dallas analizował w duchu krótki meldunek inżyniera. Z większością uszkodzeń powinni sobie poradzić, gorzej z ogniwami, bo ich naprawa wymagała czasu. O niesprawnym module dwunastym wolał nawet nie myśleć.

- Wszystkiego tutaj za Chiny nie naprawimy - odrzekł Parker.

- To jasne, wcale tego od was nie oczekuję. Pytam, co m o ż e c i e naprawić.

- Możemy zesztukować przewody i poprawić zniszczoną obudowę wlotów powietrza. Musimy się skoncentrować na poważnych uszkodzeniach. Te przewody trzeba wymienić, a poza stoczną remontową, bez doku, nie damy rady tego zrobić. Pójdziemy na prowizorkę, innego wyjścia nie ma.

- Rozumiem. Co jeszcze?

- Już mówiłem. Dwunasty moduł. Nic nie ukrywam, sprawa jest cholernie poważna. Ogniwa szlag trafił.

- Jakim cudem? Pył?

- Częściowo. - Parker zamilkł na chwilę, wymienił kilka słów z Brettem, astronauta na mostku nie słyszeli, o czym rozmawiają, po czym kontynuował: - We wlotach powietrza część pyłu aglutynowała. To świństwo zapiekło się na amen i spowodowało przegrzanie obudowy. Stąd pożar. Wiecie, jakie delikatne są te wykładziny ochronne. Ogień przepalił je błyskawicznie, no a potem diabli wzięli cały system.

- Zrobicie coś z tym? - spytał Dallas. Wiedział, że muszą ten system naprawić, muszą, bo wymienić go nie byli w stanie.

- Chyba tak. Brett też tak sądzi. Trzeba wszystko odskrobać, jeszcze raz uszczelnić próżniowo i sprawdzić, jak trzyma. Jeśli będzie trzymać przy nowych uszczelkach, to w porządku. Jeśli nie, damy stalową łatę. Ale jeżeli się okaże, że dukt, ten z przewodami, jest pęknięty na całej długości, to... - urwał znacząco.

- Na razie nie mówmy o kwestiach ostatecznych - zaproponował Dallas. - Skupmy się na sprawach najpilniejszych. Mam nadzieję, że dalszych kłopotów już nie będzie.

- Zgoda, bierzemy się za, sprawy najpilniejsze - powiedział Parker.

- Racja - dodał Brett; sądząc po kierunku, z jakiego dobiegał głos, inżynier-technik krzątał się nieco dalej, po lewej stronie Parkera.,

- To na razie tyle, Parker. - Trzymajcie się tam.

Ripley pstryknęła przełącznikiem interkomu i spojrzała wyczekująco na kapitana.

Dallas milczał i nad czymś rozmyślał.

- Ile czasu zajmie nam przywrócenie pełnej sprawności najżywotniejszych systemów, Ripley? - spytał w końcu. Zakładając, że Parker, prawidłowo oszacował straty i że uszkodzenia dadzą się skutecznie naprawić.

Ripley zastanawiała się chwilę, spoglądając na wskaźniki.

- Jeżeli uda im się zesztukować przewody, wyremontować dukt i zreperować moduł dwunasty, sądzę, że około piętnastu, dwudziestu godzin.

- Nieźle. U mnie wyszło osiemnaście. - Kapitan poczuł się o wiele raźniej, chociaż niczym tego po sobie nie okazał. - Co z urządzeniami pomocniczymi? Kiedy Parker i Brett skończą, musimy być gotowi.

Dziesięć minut później z głośnika przy stanowisku Kane'a dobiegła ich seria głośnych sygnałów. Kane sprawdził jakiś wskaźnik, a potem włączył interkom.

- Mostek. Kane z tej strony.,

Z drugiego końca statku odezwał się Parker. „Był wyczerpany, ale wyraźnie z siebie zadowolony.

- Nie wiem, jak długo wytrzyma... Chyba schrzaniliśmy kilka spawów. Jeśli wszystko zaskoczy, potem je poprawimy, żeby było na cacy. Powinniście już mieć prąd.

Pierwszy oficer włączył moc. Na mostku rozbłysły światła, ciemne dotychczas ekrany zamigotały i ożyły. Towarzyszył temu pomruk zadowolenia i westchnienia ulgi.

- Jest światło. Urządzenia pod prądem - zameldował Kane. - Odwaliliście kawał dobrej roboty, panowie.

- My się nigdy nie opieprzamy - odpowiedział Parker. - Racja. - Sądząc po monotonnym szumie, jaki słyszeli przez interkom, pomocnik Parkera musiał stać obok silników, tuż koło mikrofonu. Szum generatora stwarzał niezwykle eleganckie tło dla kunsztownej wypowiedzi Brettta.

- Nie obiecujcie sobie zbyt wiele - ostrzegł główny inżynier. - Te nowe zwornice powinny wytrzymać, ale głowy za to nie daję. Ot, połataliśmy, co się dało, i tyle. A u was? Jest coś nowego?

Kane pokręcił przecząco głową i zreflektował się, że Parker go nie widzi.

- Ni cholery - mruknął zerknąwszy w iluminator. Przez szybę sączyła się na zewnątrz nikła poświata. Kane dostrzegł tylko bezkształtny zarys jakichś kamieni czy głazów, nic więcej. Byli na pustkowiu. Od czasu do czasu wichura szalejąca wokół statku ciskała koło nich niewielkimi odłamkami skał, które rozbłyskiwały na chwilę w świetle z iluminatora.

- Skała, goła skała, Parker. Widoczność praktycznie zerowa. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że siedzimy o krok od jakiejś pięknej oazy.

- Marzyciel... - Parker krzyknął coś do Bretta i wyłączył się, rzucając: - Odezwe się, gdyby wyskoczyło coś nagłego. Wy też nas o wszystkim informujcie.

- Pocztówkę ci pošlemy... - mruknął Kane i pstryknął przełącznikiem interkomu.

3.

Dla spokoju ducha całej piątki byłoby lepiej, gdyby alarmu nie odwołano. Na mostku paliło się światło, wszystkie urządzenia były pod prądem, a oni nie mieli nic do roboty. Z minuty na minutę stawali się coraz bardziej rozdrażnieni i poirytowani.

Odprężyć się? Rozprostować kości? Ale gdzie? Zwykły chodnik spacerowy zająłby cały pokład. Więc obijali się przy swoich stanowiskach, pili bez umiaru kawę, której automatyczny kucharz nie skąpił, i robili wszystko, żeby tylko nie myśleć o niezbyt przyjemnym położeniu. I nie spekulowali głośno, co też może na nich czyhać na zewnątrz, niewykluczone, że w bezpośredniej bliskości statku.

Jedynie Ash sprawiał wrażenie człowieka względnie zadowolonego. Martwił się tylko o stan psychiczny koleżanek i kolegów. Ośrodkiem rekreacyjnym tu nie dysponowali, więc z rozrywkami było kiepsko. Nostromo to holownik, statek handlowy, nie zaś luksusowy krążownik turystyczny. Po wykonaniu przewidzianych zadań załoga wchodziła do hibernatorów i resztę czasu spędzała w głębokim, zimnym śnie. Dlatego rzeczą zupełnie normalną było to, że kiedy nagle czasu mieli w nadmiarze, robili się w najlepszym razie nerwowi. Obecna sytuacja do najlepszych zaś nie należała.

Ash się nie nudził. Ash mógł siedzieć przy komputerze godzinami, mógł rozgryzać problem za problemem, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu. Tak więc dla Asha były to chwile nader stymulujące.

- Masz coś? Jakiś nowy sygnał? - Dallas pochylił się w fotelu, żeby na niego spojrzeć.

- Próbowałem, czego się dało. Sprawdziłem wszystkie znane rodzaje transmisji klasycznych i pochodnych, zaprogramowałem nawet Matkę na odbiór mechaniczno-analogowy. - Ash pokręcił ze smutkiem głową. - Nic. Wciąż ten sam sygnał S.O.S nadawany w tych samych odstępach czasowych. Na pozostałych kanałach cisza. Tylko na zero trzy trzy jakieś odległe, monotonne trzaski. - Pokazał kciukiem w górę. - Matka twierdzi, że to tutejsze słońce, że to wyładowania elektromagnetyczne. Jeśli w ogóle ktoś się tu ostał, nie jest w stanie zrobić nic poza wołaniem o pomoc. Dallas zaklął.

- Mamy pełną moc. Obejrzymy sobie to miejsce. Daj reflektory główne.

Ripley przekręciła włącznik. Za iluminatorami, na ciemnych burtach statku, rozblysnął sznur świetlistych perełek. W blasku potężnych reflektorów wichura i pył jakby się zmaterializowały, stały się bardziej realne. Tu i ówdzie dostrzegli powietrzne wiry, szalejący w nich piasek, a kiedy wiatr zmieniał kierunek i wiał z boku, odczuwali jego siłę. Jedynym urozmaicheniem wyszlifowanego podmuchami

wichury krajobrazu były rozrzucone skały, pagórki i niewielkie urwiska. Nie zauważyli śladu życia, najmniejszego, ni krzaka, ni mchu, ni porostu. Nic, tylko wyjąłowiona, sterylna gleba, wiatr i pył wirujący w koszmarze obcej nocy.

- No i nie ma pięknej oazy... - szepnął do siebie Kane. Otaczało ich martwe pustkowia, nieprzystępne i wrogie. Kapitan wstał, podszedł do iluminatora i zapatrzył się w nieustającą zawieruchę, która miotła wkoło odłamkami skał. Ciekawe, czy na tym małym świecie kiedykolwiek panuje cisza... zamyślił się. O tutejszych warunkach klimatycznych wiedzieli tyle co nic, więc równie dobrze mogli wylądować w środku wspaniałego lata. Mało prawdopodobne. Planetoida była zbyt mała, żeby zachodziły na niej gwałtowne zmiany pogodowe, jak choćby na Jowiszu. Ten wniosek trochę go pocieszył. Wyglądało na to, że gorszej wichury już nie będzie.

Głównym tematem rozmowy stały się więc kaprysy tutejszego klimatu.

- Przecież nigdy stąd nie wyjdziemy - zauważył Kane. - W taki wiatr? Poza tym ciemno tam jak...

Ash oderwał wzrok od konsoli. Przez te wszystkie godziny tkwił na swoim stanowisku, co mu najwyraźniej odpowiadało, i fizycznie, i psychicznie. Kane nie potrafił zrozumieć, jak Ash to wytrzymuje. Bo jeśli o Kane'a chodziło, gdyby od czasu do czasu nie wstał i się nie przeszedł, do tej pory dawno by już zwariował.

Ash podchwycił jego spojrzenie.

Mam coś ważnego - oświadczył. - Matka obliczyła, że za dwadzieścia minut wszędzie słońce - powiedział. - Gdziekolwiek byśmy nie poszli, nie pójdziemy po ciemku.

Cenna wiadomość, to już coś - przyznał Dallas, czyhając na choćby najmniejszy okruszek pocieszenia. - Jeśli ci od S.O.S, nie mogą albo nie chcą gadać, będziemy musieli ich poszukać. Zresztą nie wiem, czy kogokolwiek znajdziemy. Niewykluczone, że sygnał pochodzi z jakiegoś automatycznego nadajnika. Daleko to?

Ash spojrzał na monitory i ustawił ploter na poziom zerowy. Sprawdził dane i oświadczył:

- Mniej więcej trzy kilometry stąd, na północny wschód od statku. Teren jest przeważnie równy, o ile skaner nie łże.

- Skład?

- Wydaje się, że taki sam, jaki ustaliliśmy podczas lądowania. Twardy bazalt z drobnymi domieszkami. Na takim czymś właśnie siedzimy. Nie wykluczałbym jednak możliwości napotkania sporych rozpadlin wypełnionych materiałem mniej wytrzymałym.

- Dobra, będziemy uważać.

Kane porównał odległość z czasem, jaki mogli przebywać w kombinezonach.

- Przynajmniej na tyle blisko, że można tam dojść. - Zgadza się. - Lambert była wyraźnie zadowolona. - Wolę nie myśleć, ile bym miała roboty, gdybyśmy musieli przesuwać statek. Zejście z orbity bezpośrednio po trajektorii jest o wiele łatwiejsze do wyliczenia niż manewr poziomy. Zwłaszcza w taką pogodę.

- No, dobra. Wiemy już, po czym przyjdzie nam spacerować - powiedział Dallas. - Dowiedzmy się teraz, czym możemy niechcący odetchnąć. Ash, podaj nam wstępny skład.

Ash uruchomił analizator. W pancerzu Nostromo rozwarł się maleńki otworek. Z otworka wychynął metalowy próbnik, zassał odrobinę powietrza i znikł pod skorupą statku.

Próbka została wstrzyknięta do komory próżniowej i skomplikowane instrumenty zaczęły ją drobina po drobinię analizować. Niedługo potem owe drobiny ukazały się na monitorze Asha pod postacią cyferek i symboli.

Ash przestudiował długą kolumnę danych, kazał komputerowi ponownie sprawdzić jakieś wyliczenie, wreszcie powiedział:

- Skład atmosfery niewiele odbiegający od pierwotnego. Mieszanina gazów. Pełno obojętnego azotu, trochę tlenu, wysoka koncentracja wolnego dwutlenku węgla. Jest też metan i amoniak. Amoniak częściowo zamrożony. Zimno tu... Zrobię test na pierwiastki śladowe, ale nie oczekuję żadnych niespodzianek. To typowa atmosfera. Typowa i niezdalna do oddychania.

- Ciśnienie? .

- Dziesięć do czwartej na centymetr kwadratowy. Nie powinno nam przeszkadzać, chyba że wiatr przybierze na sile.

- Wilgotność powietrza? - Chatki tubylców, oaza... Malownicze, nieziemskie obrazy przestały nawiedzać wyobraźnię Kane'a.

- Dziewięćdziesiąt osiem procent. Pachnie ładnie tu nie pachnie, ale wilgoci ile dusza zapagnie. Dużo pary wodnej. Jakiś dziwny zestaw. Tyle pary i wolny metan... Z tym się jeszcze nie spotkałem. No cóż, panie i panowie, jeżeli napotkacie po drodze studnię, nie radziłbym z niej pić. To nie będzie woda.

- Coś jeszcze, Ash? - zapytał Dallas.

- Nic istotnego. Bazalt, sporo zimnych, twardych nacieków lawy. No i zimno, poniżej zera, grubo poniżej zera. Potrzebowalibyśmy kombinezonów nawet wówczas, gdybyśmy mogli tu swobodnie oddychać. Jeśli coś lub ktoś tu w ogóle żyje, to musi mieć piekielnie silny organizm.

- Rzeczą nierozsądną było spodziewać się czegoś innego - powiedział Dallas z rezygnacją w głosie. - Złudzenia, złudzenia... Cóż, atmosfera tu jest, ale widzialność żadna. Wolałbym, żeby było odwrotnie. Trudno, nie my lepiliśmy tę skalę.

- Kto wie... - Kane znów wpadł w nastrój iście filozoficzny. - Może dla kogoś innego to prawdziwy raj?

- Nie narzekajcie, nie narzekajcie - radziła Lambert. - Mogło być znacznie gorzej. - Spojrzała w iluminator. Robiło się coraz jaśniej. Wstawał świt.

- Pewnie, wolę już to niż lądowanie na jakimś gazowym monstrum, gdzie w chwilach ciszy wiatr dmucha z prędkością ledwie trzystu kilometrów na godzinę, i gdzie mielibyśmy do pokonania przyciąganie dziesięć albo dwadzieścia razy większe niż na Ziemi. Tutaj można przynajmniej chodzić bez pomocy generatorów i stabilizatorów. To łaska Boża.

- Dziwne, jakoś tej łaski nie odczuwam - rzekła Ripley. - Wolałabym raczej wrócić do hibernatora.

Coś otarło się o jej nogi. Sięgnęła ręką i pogłaskała Jonesa po grzbiecie. Kot zamruczał z kocią wdzięcznością.

- Oazy tam czy kamieniołomy, zgłaszam się na ochotnika na pierwszy spacer - oznajmił wesoło Kane. Chcę sobie obejrzeć tego tajemniczego nieszczęśnika od S.O.S. Nigdy nie wiadomo, co człowiek może znaleźć.

- Brylanty i złoto? - Dallas nie zdołał stłumić uśmiechu. Kane to niepoprawny marzyciel.

Pierwszy oficer wzruszył ramionami. - A dlaczegoż by nie?

- No dobrze. Skoro chcesz...

Ustalili, że na pierwszą przechadzkę pójdzie też sam kapitan. Dallas rozejrzał się wkoło w poszukiwaniu jeszcze jednego kandydata.

- I ty, Lambert.

Lambert nie wyglądała na zachwyconą. - O kurczę! Dlaczego ja?

- A dlaczego nie? Jesteś naszą przewodniczką. Przekonamy się, jak sobie radzisz w terenie. - Dallas ruszył do korytarza, zatrzymał się nagle, odwrócił i rzekł poważnie: Jeszcze jedno. Najprawdopodobniej natkniemy się tam na jakiś porzucony wrak z automatycznym nadajnikiem. Gdyby miało być inaczej, rozbitkowie już by się z nami skontaktowali. Ale nie wiemy na pewno, co nas tam czeka. Najdelikatniej mówiąc, planeta nie obfituje w formy życia. Nie ma tu niebezpiecznych drapieżników, ale ryzykować nie będziemy. Zabierzcie broń.

Ripley postąpiła naprzód, chcąc się do nich przyłączyć.

- Ze statku mogą wyjść najwyżej trzy osoby, Ripley przypomniał jej Dallas. - Musisz czekać na swoją kolej.

- Wcale nie miałam zamiaru wychodzić - odparła. Całkiem mi się tu podoba, kapitanie. Skończyłam robotę, a Parker i Brett są ciągle w powijakach. Pomogę im przy jakichś drobiazgach, a oni zajmą się tymi przewodami i duktami...

Mimo że system klimatyczny pracował na najwyższych obrotach, w siłowni było stanowczo za gorąco. Kłopot brał się stąd, że Parker i Brett musieli wykonać dużą ilość spawów, a pomieszczenie, gdzie pracowali, nie należało do przestronnych. W pobliżu termostatów panował względny chłód, natomiast koło spawarki temperatura gwałtownie rosła.

Laserowa spawarka nie była tu niczemu winna, gdyż wytwarzała stosunkowo zimną wiązkę. Ale w miejscach, gdzie stał się topiła, by uformować świeży ściek uszczelniający, jako produkt uboczny wytwarzało się gorąco. Obaj mężczyźni pracowali bez koszul. Ich nagie torsy spływały potem.

Obok, koło ściany, stała Ripley. Trzymała w ręku narzędzie, którym podważała płytę ochronną. Płyta odskoczyła, odsłaniając kłębowisko różnokolorowych przewodów i maleńkich pudełeczek najprzeróżniejszych kształtów. Dwa sektory były kompletnie wypalone. Innym narzędziem Ripley usunęła zniszczone komponenty i sięgnęła do przewieszanej przez ramię torby w poszukiwaniu części zamiennych.

Właśnie zamontowała pierwszą z nich, kiedy Parker wyłączył spawarkę i przyjrzał się krytycznie swemu dziełu. - Powiedziałbym, że nieźle... - Odwrócił głowę i zerknął na pomocnicę. Jej zapocona bluzka przylgnęła ściśle do piersi. - Ripley, Ripley, mam, pytanie.

Nie oderwała się od roboty. Kolejny moduł powędrował na odpowiednie miejsce i zaskoczył z cichym trzaskiem jak sztuczny ząb wciśnięty w dziąsło.

- Taa, słucham, słucham.

- Czy pozwolą nam wyjść na wycieczkę, czy jesteśmy tu uziemieni, aż wszystko naprawimy? Moc już jest. Cała reszta... - Tu oszczędnym gestem ręki wskazał zrujnowaną siłownię. - Cała reszta to tylko kosmetyka. Może kilka dni poczekać.

- Obaj dobrze znacie odpowiedź. - Ripley usiadła, potarła dłoń o dłoń i spojrzała na Parkera. - Kapitan wybrał, kogo wybrał i tyle. Dopóki nie wrócą i nie złożą raportu, nikt nie ma prawa opuścić statku. Trzech wychodzi, czterech zostaje. Takie przepisy. - Urwała, jakby nagle coś ją olśniło. Zerknęła chytrze na Parkera. - Aha, to nie o to ci chodzi! Ciekawi cię, co też mogą tam znaleźć, tak? A może ciebie nie docenialiśmy, Parker? Może z ciebie prawdziwy badacz, szlachetny poszukiwacz wiedzy, oddany idei rozszerzania granic poznanego Wszechświata?

- A gdzie tam, do diabła, nie!

Sarkazm, z jakim Ripley wypowiedziała swoją kwestię, w najmniejszym stopniu nie uraził inżyniera.

- Ja to jestem oddany idei powiększenia mojego konta bankowego. Jeśli coś znajda, jak się dzielimy?

- O rany... - Ripley już to znudziło. - Nie martw się, dostaniesz swoją część. - Znów zaczęła szperać w torbie. Szukała pewnego modułu, aby wetknąć go w ostatnie wolne miejsce uszkodzonej sekcji.

- Strajkuję, jeśli nie zagwarantujecie nam pełnych udziałów - oświadczył nagle Brett.

Ripley znalazła to, czego szukała, i podeszła do ściany. - Gwarancje macie w kontrakcie, który mówi, że jeśli coś znajdziemy, otrzymacie odpowiedni udział. Dobrze o tym wiecie. A teraz dajcie już spokój i do roboty.

Obróciła się do ściany, żeby sprawdzić, czy nowo zamontowane moduły podjęły pracę.

Parker spojrzał na nią twardym wzrokiem, otworzył usta, by coś rzec, ale się rozmyślił. Ripley była zawodowym oficerem. Jak ją rozzłoszcza, zemści się na nich. Powiedział swoje i dostał odprawę. Lepiej sobie darować kłótnię, bez względu na to, jakie targały nim uczucia. Tak, kiedy sytuacja tego wymagała, Parker był człowiekiem rozsądnym...

Trzasnął wściekle przełącznikiem spawarki i zaczął uszczelniać kolejny odcinek pękniętego duktu.

Brett, który regulował pobór mocy i podtrzymywał kable, rzucił w pustkę wymowne:

- Racja.

Dallas, Kane i Lambert szli wąskim korytarzem. Mieli na sobie wysokie buty, kurtki, rękawice i grube spodnie robocze. W dłoniach trzymali laserowe pistolety; do złudzenia przypominały spawarkę Parkera, były jednak znacznie od niej mniejsze.

Zatrzymali się przed masywnymi drzwiami, na których widniały ostrzegawcze symbole oraz słowa:

ŚLUZA GŁÓWNA

NIE UPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY

Dallas zawsze uważał, że napis jest śmieszny. Na statku nie było żadnych "nie upoważnionych", a każdy, kto miał prawo przebywać na statku, miał prawo wchodzić do śluzy.

Kane dotknął czujnika. Osłona zniknęła, ukazując trzy przyciski. Wcisnął je w odpowiedniej kolejności. Cichy, jękliwy szum i wrota ustąpiły. Weszli do środka.

Na ścianach wisiało siedem kombinezonów. Były niezgrabne, zbyt obszerne, lecz jeśli Ash poprawnie określił warunki panujące na zewnątrz, absolutnie niezbędne do wyprawy takiej jak ta. Ubrali się, pomagając sobie nawzajem, i sprawdzili funkcjonowanie wszystkich systemów.

Potem przyszła kolej na hełmy. Nakładali je z niezbędną przy tej czynności ostrożnością i powagą, upewniając się, czy hełm sąsiada przylega szczelnie do kombinezonu. Dallas sprawdził hełm Kane'a, Kane hełm Lambert, a Lambert z kolei obejrzała hełm kapitana. Robili to z wielką starannością i dokładnością, przypominając trzy iskające się goryle.

Później odkręcili zawory i wciągnęli pierwsze hausty nieco stęchłego, ale zdrowego powietrza ze zbiorników. Dallas uniósł rękę i włączył interkom; w każdym hełmie

znajdował się nadajnik i odbiornik.

- Próba systemu. Jak mnie słyszycie?

- Głośno i wyraźnie - odparł Kane, zwiększając moc swego nadajnika. - A mnie?

Dallas skinął głową i spojrzał na wciąż markotną Lambert.

- Głośno i wyraźnie - rzuciła smętnie, nie ukrywając niezadowolenia. Wciąż jej było nie w smak, że kapitan wybrał właśnie ją.

- Daj spokój, Lambert - powiedział Dallas, usiłując ją pocieszyć. - W wyborze kierowałem się tym, że dużo umiesz, a nie tym, że wiecznie tryskasz dobrym humorem.

- Dzięki za komplement, kapitanie, i w ogóle wielkie dzięki za wszystko - odparła sucho. - Dlaczego nie wybrałeś Asha albo Parkera? Pewnie aż się palą do tej wycieczki.

- Ash musi zostać na pokładzie, o czym doskonale wiesz. Parker ma robotę w siłowni, a poza tym bez odpowiednich przyrządów nasz inżynier nie umiałby trafić nawet do kibelka. Możesz mnie przeklinać, możesz kłać w żywy kamień, wszystko mi jedno. Tylko znajdź źródło tych cholernych sygnałów, zgoda?

- Cudownie...

- No to jazda. I łapy z dala od broni. Chyba że wydam jasny rozkaz.

- Czyżbyśmy się spodziewali miłego przyjęcia? - spytał z powątpiewaniem Kane:

- Taką nam nadzieję. Po co zakładać najgorsze? Dźgnął kciukiem przycisk na kombinezonie i przeszedł na inną częstotliwość. -- Ash? Jesteś tam?

Odpowiedziała mu Ripley.

Ash idzie do kopuły obserwacyjnej. Będzie tam za kilka minut.

- Zrozumiałem. - Dał znak Kane'owi. - Przegroda wewnętrzna, Kane.

Pierwszy oficer wcisnął guzik i zamknął hermetyczną gródź.

- Otwórz zewnętrzną.

Kane powtórzył sekwencję czynności, które umożliwiły im wejście do służby, potem cofnął się, zrównał z Dallasem i Lambert, i czekał. W instynktownej reakcji obronnej przed niewiadomym Lambert przyłgnęła plecami do luku wewnętrznego.

Wrota do obcego świata rozsunęły się na boki. Przed astronautami zatańczyły tumany pyłu i kłęby trujących oparów. Słońce jeszcze nie wzeszło i niebo miało kolor ciemno pomarańczowy. Daleko mu było do swojskiego, podnoszącego na duchu nieba ziemskiego, ale - taką nadzieję miał Dallas - mogło się jeszcze przejaśnić, gdy słońce powędruje w górę. Widzieć, trochę widzieli, chociaż w tej gęstej jak zawiesina atmosferze do oglądania mieli niewiele.

Wyszli na platformę windy zawieszoną między łapami, na których stał Nostromo. Kane wcisnął guzik. Winda ruszyła w dół. Czujniki zamontowane na jej spodzie wyczuły grunt, przeliczyły odległość i zatrzymały platformę, gdy jej brzuch musnął kamień wystający nad inne.

Kierując się bardziej nawykiem niż regulaminem, Dallas ruszył przodem i zszedł ostrożnie na ziemię. Kane i Lambert za nim. Lawa była twarda, nie ustępowała pod butami. Rozglądali się wokół, targani podmuchami wichury. Nie widzieli nic poza piaskiem, który przemykał im koło stóp, unoszony wiatrem w pomarańczowo brązową mgłę.

Cóż za koszmarnie przygnębiające miejsce... rozmyślała Lambert. Może nawet nie przerażające, chociaż zerowa widzialność była niezwykle dokuczliwa. Czuła się jak podczas nocnego skoku do wody, w której grasowało stado rekinów. Ciemność... Nigdy nie wiadomo, co może z takiej ciemności nagle wychynąć...

Nie, nic się w niej nie czai, myślała. Zbyt pochopny wniosek? Chyba raczej nie.

Na tej ziemi okrytej całunem półmroku nie znalazła żadnej ciepłej barwy, nie było tu błękitu, nie było zieleni. Z nieba sączyła się tylko żółtawa poświata, smutna i zimna, która przechodziła w ponury brąz i w różne odcienie szarości.

Ducha niczym tu nie ogrzejesz, stwierdziła Lambert. A tym samym i myśli nie rozweselisz... Boże, atmosfera tu jak... Jakby komuś nie wyszło doświadczenie z chemii. A ziemia? Ziemia jak sprasowane owcze gówienie. Żal jej było wszystkiego, co mogłoby na tej planecie kiedykolwiek żyć. Chociaż nie dysponowała żadnymi dowodami, czuła, że świat ten jest teraz światem martwym.

Może Kane miał rację, może dla jakiegoś stworzenia był to prawdziwy raj. Jeżeli tak, nie chciałaby raczej tego stworzenia spotkać.

- Którędy?

- Co? - Jej myśli wciąż nurzały się w brudnej mgłę. Potrząsnęła głową.

Którędy idziemy, Lambert? - Dallas przeszył ją wzrokiem.

- Już w porządku - rzuciła. - Zamyśliłam się. Oczyma duszy ujrzała swoje stanowisko na mostku Nostromo. Fotel, przyrządy nawigacyjne, ciasnota i niewygodna. Boże, teraz to wszystko wydawało się rajem!

Spojrzała na mały detektor przymocowany do pasa. Na ekranie pulsowała wyraźna linia.

- Tędy. - Wyciągnęła przed siebie rękę. - Idziemy tam.

- Prowadź. - Kapitan stanął z boku.

Ruszyła w szalejącą burzę. Za nią Dallas i Kane. Kiedy wyszli na otwartą przestrzeń, wichura uderzyła w nich ze wszystkich stron.

Lambert zatrzymała się. Miała tego dosyć. Włączyła interkom i powiedziała:

- Teraz to już ni cholery nie widzę. Niespodziewanie usłyszała głos Asha.

- Włącz namiernik kierunkowy - radził. - Jest dostrojony do sygnału S.O.S. Poprowadzi was jak po sznurku, tylko przy nim nie majstruj. Sam go regulowałem.

- Namiernik jest włączony i pokazuje, co trzeba - odparowała. - Za kogo ty mnie masz?

- Bez urazy - powiedział naukowiec.

Mruknęła coś pod nosem i ruszyła chwiejnie w gęsty półmrok.

- Namiernik działa, Ash - potwierdził Dallas. - Na pewno dobrze nas słyszysz?

Ash tkwił w kopule obserwacyjnej na rufie Nostromo. Odwrócił wzrok od niewyraźnych sylwetek oddalających się wolno w zasnuty pyłem półmrok i spojrzał na rozświetlony ekran wbudowany w konsolę. Zobaczył na nim trzy komputerowo stylizowane postacie. Obraz był przejrzysty, bez żadnych zakłóceń. Ash pchnął niewielką dźwignię. Cichutki, jęklivy szum, fotel drgnął, przesunął się o cal i zatrzymał dokładnie na wprost ekranu.

- Widzę was teraz z kopuły - rzucił w mikrofon. Słyszalność bardzo dobra. Obraz na ekranie kontrolnym też. Nie zgubię was. Pył nie jest aż tak gęsty, a przy ziemi zakłócenia są jakby mniejsze. Sygnał S.O.S. macie na innej częstotliwości, więc nie będzie interferencji.

W głośniku zabrzmiał zniekształcony głos Dallasa. Pocieszające. Słyszemy cię dobrze. Miejmy nadzieję, że nie stracimy z sobą kontaktu. Nie chcielibyśmy w tej zupie ugrzęznąć na amen.

- Jasne. Będę uważał na każdy wasz krok. Teraz nie przeszkadzam. Odezwę się natychmiast, jak wyskoczy coś niespodziewanego.

- Dobra. Zostaję na linii. Na razie out. - Dallas poczuł na sobie wzrok Lambert.

- Marnujemy zapas powietrza, nawigatorze. Idziemy - rozkazał.

Lambert spojrzała na ekranik namiernika, odwróciła się i ruszyła w szalejący wiatr. Siła przyciągania była stosunkowo niewielka - choć jak na planetoidę tych rozmiarów niezwykle duża - dzięki czemu nie odczuwali ciężaru kombinezonów i

butli z mieszkanką tlenową. Zastanawiali się jednocześnie, jak to się dzieje, że tak mała planetka trzyma ich w szponach grawitacji z tak wielką determinacją. Dallas obiecał sobie, że kiedy wróca na pokład, każe Ashowi przeprowadzić badania geologiczne warstw głębokich. Może to tylko ziarno płonnych nadziei zasiane przez Parkera, ale niewykluczone, że gdzieś tam, w środku maleńkiego globu, tkwią bogate zasoby metali ciężkich.

Gdyby takiego odkrycia dokonali, Towarzystwo zaczęłoby natychmiast rościć sobie prawa do eksploatacji pokładów. No tak, bo przecież członkowie załogi Nostromo nie dysponowali ani własnym sprzętem, ani czasem, który sprzedali, podpisując kontrakty. Ale mogliby przynajmniej liczyć na wysokie premie i nieoczekiwana zmiana kursu zaowocowałaby tym samym sporymi pieniędzmi.

Parli pod wiatr miotający w nich pyłem i deszczem kamyków.

- Widzę najwyżej na dwa, trzy metry - mruknęła Lambert.

- Nie jęcz. - To Kane. - Lubię sobie pojęczeć.

- Hej, wy tam. - To z kolei Dallas. - Przestańcie zachowywać się jak dzieci. Nie jesteście na pikniku.

- Ależ kapitanie! To naprawdę prześliczny, wprost cudowny zakątek! - Lambert nie dała się zastraszyć. Dziewiczy zakątek, kompletnie nie naruszony ani przez człowieka, ani przez naturę. Wspaniałe miejsce na biwak, jeśli się jest... kawałkiem bazaltu.

- Powiedziałem, dość tej zabawy.

To ją uciszyło, ale nadal coś tam do siebie mamrotała. Dallas mógł odebrać jej głos, ale nie było sposobu, żeby powstrzymać Lambert od gderania. Nagle zauważyła coś, co momentalnie odeгнаło złe myśli i spowodowało, że natychmiast przestała kląć. Ekran namiennika zamigotał i...

- Co się stało? - spytał Dallas. - Chwileczkę...

Wyregulowała urządzenie. Z trudem, bo przeszkadzały jej grube rękawice. Linia, która zniknęła przed chwilą z ekranu, pojawiła się nań znowu.

- Miałam kilkusekundowy zanik sygnału.

- Kłopoty? - W słuchawkach zabrzmiał odległy głos Asha., Ash się niepokoił.

- Nic poważnego - odparł Dallas. Obrócił się wolno dookoła w poszukiwaniu jakichś skał czy większych kamieni. - Nadal gęsty pył i silny wiatr. Krótki zanik impulsu. Straciliśmy namiar na chwilę.

- U mnie wszystko w porządku, mam silny sygnał. Ash zerknął na wskaźniki. - To chyba nie burza, nie sądzę. Wkraczacie na pagórkowaty teren, który trochę ekranuje.

Uważajcie. Jeśli zgubicie sygnał i nie będziecie mogli go odzyskać, przejdźcie namiernikiem na moją częstotliwość i cofajcie się do statku, aż detektor ponownie wychwyci impuls. Później spróbuję was poprowadzić.

- Dobra, ale to na razie niekonieczne. Jeśli gdzieś utkniemy, damy znać.

- Natychmiast. Wyłączam się.

W głośnikach zapadła cisza. Szli w milczeniu. Wokoło nich wirowała pomarańczowa piaszczysta otchłań.

Jakiś czas potem Lambert znieruchomiała. - Znów zanik sygnału? - spytał Kane.

- Nie. Zmiana kursu. - Machnęła ręką w lewo. - Teraz tędy.

Ruszyli. Lambert wpatrywała się w ekran namiernika, Dallas i Kane w plecy Lambert. Chwilami wichura przybierała na sile. Drobin pyłu i małe kamyki uderzały w przezroczyste osłony hełmów. Puk-puk, puk-puk, zdawały się mówić, wpuście nas, wpuście. Puk-puk, puk-puk...

Dallas potrząsnął głową. Cisza, pustkowie, tumany pyłu, kłęby oparów, pomarańczowa poświata. Otoczenie zaczynało mu działać na nerwy.

- Jesteśmy coraz bliżej źródła sygnałów - meldowała Lambert; jeden z ekranów w kopule obserwacyjnej Nostromo zarejestrował u całej trójki podwyższone tętno krwi. Bardzo blisko...

Szli dalej. Coś wyłoniło się z półmroku, coś wielkiego jak góra. Dallas posapywał, z podniecenia i z wysiłku.

I rozczarowanie. To tylko olbrzymia formacja skalna, poskręcana, groteskowa. Ash miał rację, wkraczali na jakąś wyżynę. Schronili się pod kamiennym monolitem. Świetlista linia na ekranie namiernika zgasła.

- Znów zanik sygnału - oznajmiła Lambert.

- Przeszliśmy obok? - Kane wyciągnął szyję i omiótł wzrokiem pobliskie skały, usiłując coś za nimi wypatrzeć.

- Raczej nie, chyba że nadajnik jest gdzieś pod ziemią. - Dallas oparł się o kamienną ścianę. - Może tam? Uderzył pięścią w bazaltową skorupę. - Nie, to burza. Burza i ekranowanie. Odpocznijmy. Potem zobaczymy.

Odpoczywali przy wygładzonej wiatrem skale. Dookoła szalała zawierucha.

- Teraz już nic nie widać - powiedział Kane. Jesteśmy ślepi jak krety.

- Niedługo powinno świtać. - Kapitan wyregulował nadajnik. - Ash jesteś tam? Kiedy wschód słońca?

Głos Asha był zniekształcony i cichy. W słuchawkach trzeszczało.

- Za około dziesięć minut. - Niedługo się przejaśni.

- Albo i nie - wtrąciła Lambert:

Nie ukrywała braku entuzjazmu. Miała wszystkiego dosyć, a musieli jeszcze dotrzeć do źródła tego cholernego sygnału. I nie o zmęczenie fizyczne tu szło, nie. Martwota krajobrazu, jego dzika, niesamowita kolorystyka męczyła ją psychicznie. Tęskniła za swojskim widokiem czystego, jasnego wnętrza Nostromo.

Świt nie poprawił im nastrojów. Miast podnieść na duchu, wschodzące słońce zmroziło ich upiorną czerwienią koloru krwi. Mieli nadzieję, że później, w tutejsze południe, światło będzie lepsze, nie tak przerażające...

Ripley otarła brew i ciężko westchnęła. Upewniwszy się, że wszystkie moduły pracują jak należy, wcisnęła na miejsce ostatnią płytkę i wrzuciła narzędzia do torby.

- Z resztą powinniście dać sobie radę - powiedziała. - Elektronikę macie z głowy.

- Nie martw się, jakoś się z tym uporamy - zapewnił ją Parker głosem wyważonym i w miarę obojętnym.

Nie patrzył jej stronę, robił swoje. Wciąż denerwowało go to, że on i Brett mogą zostać oszukani przy podziale ewentualnego znaleziska.

Ripley ruszyła w stronę najbliższego wyjścia.

- Jeśli będziecie mieli jakieś kłopoty, jestem na mostku. - Dobra - rzucił cicho Brett.

Parker popatrzył za nią i kiedy zniknęła za rogiem, mruknął:

- Głupia dziwka...

Ash włączył wzmacniacz. Trzy poruszające się sylwetki straciły zamazane otoczki i zyskały na ostrości. Zerknął na inne monitory. Impulsy wysyłane przez nadajniki umieszczone w kombinezonach były silne i regularne.

- Jak leci? - W głośniku zabrzmiał głos Ripley. Ash pstryknął przełącznikiem. Główny ekran zgasł. - Jak dotąd w porządku - odparł.

- Gdzie są?

- Koło źródła sygnałów. Weszli między skały i chwilami impulsy zanikają, ale to tak niedaleko, że muszą tam trafić, nie ma cudów. Powinni się zaraz odezwać.

- Właśnie, skoro mówimy o tym nieszczęsnym sygnale. Masz coś nowego?

- Jeszcze nie.

- Analizowałeś go w układzie logicznym ze sprzężeniem emiterowym? - W głosie Ripley pobrzmiwała nutka tłumionej niecierpliwości.

- Ripley, chcę rozgryźć ten sygnał tak samo jak ty. Ale Matka go jeszcze ostatecznie nie zinterpretowała, więc po kiego grzyba mam się wtrącać?

- Pozwolisz mi spróbować?

- Proszę bardzo. W niczym nie zaszkożysz, a zabijesz czas. Tylko daj mi znać, jak na coś trafisz. Może ci się poszczęści.

- Może. - Wyłączyła się.

Opadła na fotel przy swoim stanowisku. Dallas, Kane i Lambert byli tam, na zewnątrz, Ash w kopule obserwacyjnej, i mostek stał się nagle taki przestronny, taki duży. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek siedziała tu kompletnie sama, bez innych. Dziwne uczucie, wcale nie takie znów wspaniałe...

No cóż, jeśli miała analizować sygnał sprzężeniem emiterowym, musiała zaczynać. Włączyła odbiornik i na mostku, rozległo się to koszmarnie, udręczone, nieludzkie wycie. Szybko zmniejszyła natężenie dźwięku, ale niepokój nadal jej nie opuszczał.

Niewykluczone, że to głos, sugerowała Lambert... myślała. Nie, takie coś zdarza się tylko w powieściach science fiction. Brak podstaw naukowych. Weź się w garść, dziewczyno. Odpędź emocje i posłuchaj, co na to komputer.

Zdając sobie sprawę, że człowiek ma nikłe szanse tam, gdzie zawiodła Matka, włączyła rzadko używaną aparaturę. Ale, jak powiedział Ash, można w ten sposób przynajmniej zabić czas. Nie wytrzymałaby na pustym mostku bez żadnej roboty, nurtowały ją zbyt nieprzyjemne myśli. A tak popracuje sobie. Zawsze to jakieś zajęcie...

4.

W miarę jak niewidoczne słońce wędrowało coraz wyżej, krwista purpura atmosfery zaczęła płowieć i przechodzić w spleśniałą, brudną żółć. Kolor ten nie miał nic wspólnego ze swojskim złotem ziemskiego słońca, ale widzialność uległa znacznej poprawie.

Burza też jakby się nieco uciszyła, a wszechobecny pył mniej teraz doskwierał. Trójka zmęczonych astronautów mogła po raz pierwszy sięgnąć wzrokiem dalej niż na kilka metrów przed siebie.

Od jakiegoś czasu szli pod górę. Teren nadal był pagórkowaty, ale oprócz nielicznych bazaltowych kolumn wszędzie widzieli stare nacieki lawy. Napotkali też kilka ostrzejszych, bardziej stromych formacji geologicznych, ale nieustanny wiatr polerujący je piaskiem od milionów lat zredukował owe twory do łagodnych, pomarszczonych wyniesień.

Prowadził Kane. Szedł tuż przed Lambert i oczekiwał, że lada chwila detektor nawigatora ponownie wychwyci sygnał. Dotarł na szczyt małego pagórka i zerknął przed siebie, spodziewając się, że zobaczy to samo co przedtem: gładką skałę wiodącą do następnego szczytu.

Zamiast skały zobaczył jednak coś zupełnie innego, innego na tyle, że wytrzeszczył ze zdumienia oczy, że przecierając nerwowo ubrudzoną pyłem, ile wciąż jeszcze przezroczystą osłonę hełmu, krzyknął donośnie:

- JEZU CHRYSSTE!

- Co się stało? Co się dzie... - Obok stanęła Lambert, koło niej Dallas. Nieoczekiwany widok zaszokował ich w równym stopniu jak Kane'a.

Fakt, zakładali, że sygnał S.O.S. jest generowany przez jakiś nadajnik; ale nigdy nie zastanawiali się, jak ten nadajnik może wyglądać. Na trasie marszu szalała burza, musieli trzymać się razem - ich myśli krążyły nieustannie wokół najżywotniejszych w takich chwilach problemów. Kiedy więc ujrzeni to, czego szukali, kiedy obiekt poszukiwań okazał się czymś, co nie mieściło się w sferze najśmielszych wyobrażeń, doznali wstrząsu, który chwilowo pozbawił ich bezstronności i naukowego wyrachowania.

To był statek. Statek względnie nietknięty, statek, którego wygląd tak dalece odbiegał od wyglądu pojazdów kosmicznych budowanych przez ludzi, że nikt z astronautów nie miał żadnych wątpliwości: ten pojazd należał do obcych. Dallas nie określiłby go mianem "przerażający" czy "koszmarny", ale coś w nim było nie tak, jak trzeba, coś, co kłóciło się z wymogami znanej człowiekowi technologii. Olbrzymi wrak miał opływowy, lecz nienaturalny kształt, kształt, który sprawiał, że cała konstrukcja statku zdawała się kompletnie wynaturzona.

Pojazd górował nad nimi i nad okolicznymi skałami. Z tego, co widzieli, wyglądał jak Nostromo, obrócony rufą w dół. Najogólniej mówiąc miał kształt gigantycznej litery "U", której ramiona zaginały się lekko ku sobie. Jedno z nich było nieco krótsze, zgięte pod ostrzejszym kątem. Skutek wypadku? Jakaś dziwna, obca człowiekowi koncepcja symetrii? Tego astronauta nie wiedzieli.

Podeszli bliżej i zauważyli, że u podstawy "U" cielsko statku jest znacznie grubsze, że narastają na nim koncentryczne, płaskie warstwy zwieńczone czymś w rodzaju kopuły. Kapitan doszedł do wniosku, że ramiona mieszczą siłownię i dział obsługi technicznej, a zgrubienie na dole kabiny załogi, ładownie, niewykluczone że i mostek. Jednak z tego, co o pojeździe wiedzieli - a nie wiedzieli przecież nic mogło być dokładnie odwrotnie.

Statek spoczywał nieruchomo. Nie zauważyli żadnych śladów życia, jakiegokolwiek aktywności. Znajdowali się teraz tak blisko źródła sygnałów, że ich natężenie było nie do zniesienia; czym prędzej sięgnęli do hełmów, by wyciszyć głośniki.

Nieznany metal, z jakiego zbudowano kadłub pojazdu, lśnił we wschodzącym słońcu dziwnym, szklistym blaskiem, jakim nie lśni żaden znany człowiekowi stop. Dallas nie był nawet pewien, czy to w ogóle metal. Pobieżne oględziny nie ujawniły bowiem ani spoeń, ani nitów, ani śladów spawania - nie natknęli się na nic, co wyjaśniłoby im, w jaki sposób scalono poszczególne części poszycia. Odnieśli wrażenie, że statek obcych został raczej wyhodowany niż wyprodukowany.

Tak, to było dziwne i trochę niesamowite. Ale bez względu na to, z jakich metod korzystano przy jego budowie, niezaprzeczalnie mieli przed sobą statek kosmiczny.

Byli tak wstrząśnięci, że ani przez moment nie pomyśleli, jaką wartość może ów pozornie nietknięty wrak przedstawiać, jaką premię mogą za znalezisko otrzymać.

Wszyscy na raz zaczęli wykrzykiwać coś do mikrofonów, później ucichli i tylko Kane powtarzał bez końca:

- Jakiś statek, tak, to jakiś statek, nie ma co, statek, na pewno statek...

Lambert przyjrzała się dokładnie błyszczącemu, niemal oślizłemu poszyciu i stwierdziwszy, że nie ma na nim żadnych znanych jej elementów konstrukcji zewnętrznej, powiedziała:

- Pewien jesteś? Może to na przykład jedna z tutejszych budowli? Dziwne to jakieś...

- Gdzie tam... - Kane badał wzrokiem bliźniacze, zakrzywione ramiona statku. - Popatrz, nie ma przecież fundamentów. Zakładając nawet, że miejscowi architekci

są trochę zwariowani, to czegoś takiego by nie zbudowali, nie. To statek, na pewno statek...

- Ash, widzisz to? - Dallas uświadomił sobie, że naukowiec powinien być ujrzyć wehikuł w chwili, gdy Kane stanął na szczycie skalnego pagórka i krzyknął; hełm każdego z astronautów wyposażono w kamerę.

- Tak, widzę. Co prawda niezbyt wyraźnie, ale zgadzam się z Kane'em. To statek, statek... - Ash był wyraźnie podekscytowany. Tak podekscytowanego Asha jeszcze nie słyszeli. - W życiu czegoś takiego nie widziałem. Chwileczkę...

Czekali. Naukowiec sprawdził komputerowe wydruki i zadał Matce kilka szybkich pytań.

- Matka też nie. Stoicie przed kompletnie nieznanym typem statku kosmicznego. Ten typ nie figuruje w rejestrach, nie pasuje do niczego, z czym człowiek miał kiedykolwiek do czynienia. Stąd wydaje się bardzo duży. Naprawdę jest taki wielki?

Większy, Ash, masz skróconą perspektywę - odpowiedział Dallas. - Na razie nie widzimy szczegółów, tylko masyw konstrukcji. Jeśli założyć, że całość zbudowano w skali odpowiadającej proporcjom ziemskim, budowniczo statku musieli być prawdziwymi olbrzymami.

- Zaraz sprawdzimy, czy któryś z nich został na pokładzie, żeby nas powitać - wtrąciła Lambert i zachichotała nerwowo.

- Stoimy w grupie, Ash. - Dallas zignorował komentarz nawigatora. - Powinieneś nas teraz odbierać wyraźniej. Co z sygnałem S.O.S.? Zauważyłeś jakąś zmianę? My jesteśmy za blisko, żeby cokolwiek stwierdzić.

- Nie, ale nadajnik jest na pewno wewnątrz statku. Musi tam być, głowę za to daję. Gdyby był gdzieś dalej, przez to metalowe cielsko nie wychwycilibyśmy żadnych impulsów.

- Jeśli to metal, Ash, jeśli to metal... - Dallas przyglądał się kadłubowi obcego statku. - To coś do złudzenia przypomina plastik...

- Albo. kość - rzucił w zamyśleniu Kane.

- Zakładając, że sygnały pochodzą z wnętrza, co robimy dalej? - spytała Lambert.

Pierwszy oficer ruszył pod górę.

- Zajrzę tam, zbadam sytuację i dam wam znać oświadczył.

- Chwila, wstrzymaj konia, Kane. Nie bądź takim narwańcem. Kiedyś źle skończysz.

- Bez przesady. Poważnie, trzeba tam wejść. Posłuchaj, kapitanie, przecież musimy coś w końcu zrobić. Nie możemy tu stać i czekać na jakieś cudowne objawienie. - Kane zmarszczył brwi. - Naprawdę chcesz teraz wracać, Dallas?

- Nie, skąd. Ale nie ma powodu do takiego pośpiechu. Słyszysz nas, Ash? - zwrócił się do naukowca w kopule obserwacyjnej Nostromo.

- Trochę słabiej, bo jesteście tuż nad nadajnikiem odparł. - Interferencja, to nieuniknione. Ale tak, słyszę was ,wyraźnie.

- Dobra. Nie widzę tu żadnych świateł, nic, śladu życia. Nic się nigdzie nie rusza, tylko ten cholerny pył. Weź na nas dokładny namiar i włącz detektory. Sprawdź, czy wytropią coś, czego stąd nie widzimy.

W eterze nastąpiła chwila ciszy. Ash pospieszył wypełnić rozkazy kapitana. Trójka astronautów podziwiała zniekształcone kontury gigantycznego statku.

- Próbowałem wszystkiego - zameldował wreszcie naukowiec. - Niestety, nie mamy odpowiedniego sprzętu. Nostromo to holownik, nie statek badawczy. Żeby zebrać dokładne dane, musiałbym dysponować skomplikowaną i drogą aparaturą.

- Więc... Czego się dowiedziałeś?

- Niczego, kapitanie. Nie mogę uzyskać praktycznie żadnych informacji. Źródło sygnału emituje tak silną wiązkę, że wskaźniki oszalały. Nie mamy na pokładzie odpowiedniego sprzętu i tyle.

Dallas próbował ukryć rozczarowanie.

- Rozumiem. W sumie nie to jest teraz najistotniejsze. Ale próbuj dalej. Daj znać, jeśli coś znajdziesz, coś, cokolwiek. Zwłaszcza jeśli spostrzeżesz na ekranach jakiś ruch. Nie wdawaj się szczegóły. Przeanalizujemy wszystko tutaj, na miejscu.

- Rozumiem. Uważajcie na siebie. - To co robimy, kapitanie? .

Dallas przesunął wzrokiem po całym statku i natknął się na wyczekujące spojrzenia Lambert i Kane'a. Pierwszy oficer miał oczywiście rację. Wiedzieli, że spoczywający przed nimi olbrzym nadaje sygnały S.O.S., ale to nie wystarczało. Musieli dotrzeć do samego źródła, do nadajnika, musieli wykryć, co jest przyczyną alarmu i wyjaśnić, dlaczego obcy statek wylądował akurat tutaj, na tej maleńkiej planetoidzie. Zająć tak daleko i nie zbadać wnętrza pojazdu? Nie do pomyślenia.

Ostatecznie to właśnie ciekawość pchnęła ludzi poza granice samotnego i jakże mało znaczącego globu, to dzięki ciekawości poznali tajemnice międzygwiazdnych otchłani. Ale ciekawość, zauważył przytomnie, zabiła też przysłowiowego kota...

Podjął decyzję, jedyną logiczną w tej sytuacji. - To chyba martwy wrak - powiedział. - Tak przynajmniej stąd wygląda. Podejdziemy najpierw do tego zgrubienia u podstawy. Później, jeśli nikt się nie pokaże...

Lambert przyjrzała mu się uważnie. - To...?

- To... zobaczymy.

Ruszyli w stronę kadłuba. U pasa Lambert zwisał bezużyteczny namiernik.

- W tej sytuacji - powiedział Dallas, kiedy zbliżali się do zwalistego cielska statku - istnieje tylko jedno...

Na pokładzie Nostromo Ash wsłuchiwał się uważnie w każde słowo kapitana. Nagle, bez ostrzeżenia, głos Dallasa zanikł. Kilka sekund później znów zabrzmiał głośno i wyraźnie, ale wkrótce potem umilkł na dobre. Jednocześnie urwał się kontakt wizualny.

- Dallas! Dallas! - Ash maltretował przełączniki, gorączkowo wciskał dziesiątki przycisków, usiłując zwiększyć zdolność rozdzielczą detektorów, które i tak dawały z siebie maksimum. - Dallas, czy mnie słyszysz? Brak wizji i fonii, powtarzam, kompletny zanik łączności! Dallas! Odezwijcie się!

We wszystkich głośnikach rozbrzmiewał tylko posępny, jednostajny szum fal bijących z termonuklearnego pieca gwiazdy wiszącej nad zamglonym horyzontem...

Stanęli przy kadłubie i dopiero tutaj uświadomili sobie ogrom tajemniczego statku. Jego brzuch wznosił się nad nimi napęczniałym łukiem, jego wierzchołek ginął w tumanach pyłu szalejących hen, wysoko w górze. Materiał, z którego go zbudowano, był trwalszy i masywniejszy niż skała, na której spoczywał.

Dallas uważnie zlustrował kadłub.

- Wciąż brak śladów życia - wymamrotał ni to do siebie, ni do kolegów. - Ciemno, żadnych świateł. Nic się nie rusza. Bóg jeden wie, jak dostaniemy się do środka. Nie ma drzwi. - Machnął ręką w stronę domniemanego dziobu. - Spróbujemy tamtędy.

Kiedy posuwali się wzdłuż statku, stąpając ostrożnie po roztrzaskanych głazach, Dallas uświadomił sobie z całą mocą, jak ogrom pojazdu go przytłacza, jak małym się przy nim czuje. Małym nie w sensie fizycznym, nie - choć pod brzuchatym masywem kadłuba wyglądali jak karzełki: małym, nieistotnym w skali kosmicznej. Ludzkość wciąż tak niewiele wie o Wszechświecie, myślał. Człowiek zbadał ledwie mikroskopijny zakątek drobnej jego części...

Oglądanie zakamarków nieba przez teleskop, spekulowanie, jakie tajemnice mogą zakamarki owe kryć, jest pracą niezwykle przyjemną oraz intelektualnie stymulującą. Sprawa wygląda zupełnie inaczej, kiedy trzeba "wyjść w teren," włóczyć się po jakiejś okropnej planetoidzie i oglądać statek, którego na pewno nie zbudowali ludzie, i który - wrażenie to niezbyt przyjemne - raczej wyhodowano niż skonstruowano metodami tradycyjnymi, pokonując wszech obowiązujące prawa fizyki.

Właśnie to Dallasa we wraku najbardziej niepokoiło. Gdyby statek choć trochę przypominał pojazdy budowane przez ludzi, fakt, że powstał w stocznich jakichś obcych istot, nie byłby aż tak przerażający. Kapitan nie przypisywał swych odczuć swoistej ksenofobii. Po prostu nie spodziewał się, że ten obcy będzie aż tak bardzo o b c y .

- Coś tam jest. - Kane wskazał ręką część kadłuba przed nimi.

Spekulacje na bok, powiedział sobie Dallas. Natychmiast, dodał stanowczo. Pora stawić czoła rzeczywistości. Ten uformowany w "U" obiekt to pojazd kosmiczny, który różni się od Nostromo szczegółami budowy, niczym więcej. I materiał poszycia, i kształt statku są jak najbardziej normalne, zwyczajne. Materiał wyprodukowano nie znaną człowiekowi technologią, kształt zaś odpowiada najpewniej ideałom estetycznym obcej rasy. I tyle. Jeśli spojrzeć na sprawę w ten sposób, okaże się, że wehikuł promieniuje swego rodzaju pięknem, pięknem nader egzotycznym. Ash musi tam teraz szaleć. Zachwyca się unikalną konstrukcją i wiele by dał, żeby tu z nami być...

Zauważył minę Lambert i pomyślał, że przynajmniej jeden członek grupy ekspedycyjnej chętnie by się z Ashem zamienił miejscami.

Kane wskazał trzy ciemne plamy na boku kadłuba. Kiedy podeszli bliżej i stanęli na szczycie skały, plamy nabrały owalnego kształtu i okazały się otworami uformowanymi w metalu (plastiku? kości?) poszycia.

Podeszli jeszcze bliżej, aż w końcu znaleźli się dokładnie pod nimi. W głębi dostrzegli teraz otwory wtórne, węższe, ciemniejsze. Hulał w nich wiatr, niosąc z sobą pył i drobiny pumeksu - znak, że nie zamykano ich od dłuższego czasu.

- Wygląda na wejście - skonstatował Kane; z rękami na biodrach, badał wzrokiem szczegóły kadłuba. - Może to ich śluzu? Widzicie te wewnętrzne otwory?

- Trzy śluzu tak blisko siebie? - rzuciła podejrzliwie Lambert. - I dlaczego ich nie zamknęli?

- Może oni lubią układy trójkowe? - Kane wzruszył ramionami. - Jak któregoś spotkamy, to go spytasz.

- Cholernie dowcipne - skomentowali posepnie Lambert. - No dobra, powiedzmy, że lubią układy trójkowe. Ale dlaczego zostawili je otwarte na oścież?

- Nie wiemy, czy są otwarte...

Nieoczekiwanie dla samego siebie Dallas stwierdził, że te trzy gładkie otwory, owalne niczym kształtne wargi, bardzo go fascynują. Były tak inne od topornych, nijakich śluz powietrznych na ich własnym statku. Zdawały się wtapiać w tkanę poszycia, wrastać w nią, i na pewno nie dospawano ich ani nie donitowano do gotowego szkieletu konstrukcyjnego.

- Może załoga opuściła statek w pośpiechu i dlatego są otwarte - spekulował.

- I potrzebowali do tego aż trzech śluz?! - Lambert nie ustępowała.

- A skąd mam wiedzieć, do cholery? - warknął poirytowany Dallas. I natychmiast dodał: - Przepraszam, nie było powodu, żeby...

- Był, kapitanie. - Lambert zdobyła się tym razem na suchy uśmiech. - Zadawałam idiotyczne pytania.

- No, czas zaczynać. Może się. czegoś wreszcie dowiemy. - Dallas wbił wzrok w ziemię i uważając na podstępne kamienie, ruszył w górę lekkiego wzniesienia prowadzącego do otworów. - Czekaliśmy aż za długo. Wchodzimy do środka. Mam nadzieję, że damy radę.

- Może to i śluza - rzucił Kane, rozglądając się po ścianach komory, u progu której stanęli - ale ludzie tego nie zbudowali, bankowo. Dallas był już w środku.

- Nawierzchnia jest twarda - meldował. - Te drugie drzwi, czy luk, nie wiem, też są otwarte. - Na chwilę umilkł. - Dalej jest jakaś komora, większa od tej tu.

- Jak światło? - Lambert szarpała się z latarką wiszącą u pasa obok pistoletu.

- Jest dość jasno. Oszczędzajcie akumulatory. Możemy ich potrzebować później. Włączcie.

Kane i Lambert ruszyli krótkim korytarzem i wychynęli w dość okazałej komorze. Nie dostrzegli w niej żadnych urządzeń mechanicznych, sprzętu elektronicznego, żadnych wskaźników czy ekranów. Jeśli w ogóle gdzieś tu były, ukryto je za szarymi ścianami. Wzdłuż ścian, sufitu i podłogi biegły długie, grube wsporniki, nadając komorze wygląd wnętrza klatki piersiowej człowieka. W lekko drgającym powietrzu tańczyły drobiny pyłu, a na nich refleksy światła. Atmosfera panowała tu dziwna i niesamowita.

Dallas spojrzał na Kane'a. - Co ty na to? - spytał.

- Pojęcia nie mam. Ładownia? Część jakiegoś skomplikowanego systemu służ? Tak, chyba tak. Przeszliśmy przez podwójne drzwi, a to tutaj to właściwa śluza.

- Jak na służę nawet spora - zauważyła stłumionym głosem Lambert.

- Nie wiem, strzelam na rybkę. Jeśli ci obcy i my zachowujemy w stosunku do naszych statków takie same proporcje, to nic dziwnego, że wybudowali sobie wielkie służy, nie? Ale bardziej mi to pasuje na ładownię. Ładownia i stąd tyle wejść. Albo wyjść. - Obrócił głowę i zobaczył, że Dallas pochyla się nad czarną dziurą w podłodze. - Hej! Uważaj, kapitanie! Nie wiadomo, co z tego może wyskoczyć. I jak głęboko można tam spaść.

- Drzwi otwarte są na oścież, nikt nie zauważył, że weszliśmy... Nie, tu nikogo nie ma, to martwy wrak. - Dallas odpiął latarkę, włączył ją i skierował w dół. Jaskrawa smuga rozcięła mrok.

- Widać coś? - spytała Lambert.

- Zaraz zobaczysz królika z zegarkiem - rzucił z głupim uśmiechem Kane. W jego głosie zabrzmiała jednak delikatna nutka nadziei...

- Ni cholery, nic nie widzę.

Dallas omiótł latarką przeciwległą ścianę studni. Promień światła był wąski, ale niezwykle silny. Wyłowiłby z ciemności wszystko, co leżało nawet na dość znacznej głębokości.

- No i co? - Lambert podeszła bliżej, ale wciąż trzymała się w bezpiecznej odległości od krawędzi studni. Jeszcze jedna ładownia?

- Nie wiem, ciemno jak diabli. W zasięgu światła widać tylko gładkie ściany. Nie ma żadnych uchwytów, nie ma windy, drabiny, nie ma niczego, o czym można by się wspiąć. Dna nie widać, za głęboko. To chyba jakiś szyb, coś w tym rodzaju.

- Zgasił latarkę, cofnął się o krok i odpiąwszy klamry, zaczął zrzucić z siebie podręczny ekwipunek. Później wstał i powiódł wzrokiem po szarej, słabo oświetlonej komorze. - Cokolwiek tam jest, może trochę poczekać. Najpierw rozejrzemy się tutaj, żeby nie było niespodzianek. Może znajdziemy przy okazji łatwiejszą drogę w dół. Znów zapalił latarkę i oświetlił nią pobliskie ściany. Te żebra... myślał. Jak we wnętrzu klatki piersiowej człowieka. Jezu, na szczęście się nie ruszają... Rozdzielimy się. Ale nie odchodźcie za daleko. I pod żadnym pozorem nie tracić mi siebie z oczu. Poświęcimy na to tylko kilka minut, jasne?

Kane i Lambert pstryknęli latarkami. Rozdzielili się i zaczęli badać ogromne pomieszczenie.

Dookoła wałały się jakieś szare skorupy. Wiele z nich leżało pod grubą warstwą pyłu nawianego tu przez wiatr i startego na proch pumeksu. Kane nie zwracał na nie uwagi. Szukali czegoś konkretniejszego, czegoś w stanie nienaruszonym.

Promień bijący z latarki Dallasa padł nieoczekiwanie na jakiś ukryty w mroku przedmiot. Przedmiot ten nie był częścią podłogi ani ściany. Kapitan podszedł bliżej. Jaskrawe światło wyłowiło z ciemności... wazonik, coś na kształt małej, brązowej urny, jakby nieco szklistej, u góry obtłuczonej. Dallas postąpił krok do przodu, wyciągnął szyję, zerknął do środka i zaświecił latarką.

Urna była pusta.

Rozczarowany, ruszył dalej, dziwiąc się, że coś tak kruche przetrwało w niemal idealnym stanie, podczas gdy wszystko inne, na pierwszy rzut oka o wiele trwalsze, rozpadło się w pył. Chociaż z drugiej strony o substancji, z której zrobiono urnę, nie wiedział praktycznie nic i nie byłby zaskoczony, gdyby wytrzymała uderzenie armatniego pocisku.

Zamierzał już wracać do szybu, gdy światło latarki padło na coś, co swym wyglądem przypominało mechanizm, złożony, skomplikowany mechanizm. W na wpół organicznym wnętrzu tajemniczego statku obecność urządzenia o typowej funkcjonalnym charakterze przyniosła wielką ulgę, choć jego konstrukcja stanowiła kompletną zagadkę.

- Tutaj! - zawołał.

- Coś nie tak? - zaniepokoił się Kane.

- Wszystko w porządku. Znalazłem jakieś urządzenie. Wzniesając butami małe obłoczki pyłu, Lambert i Kane podbiegli do kapitana i skierowali latarki na znalezisko. Wokół panowała martwa cisza, ale Dallas miał wrażenie, że ta dziwnie

wykrojona tablica rozdzielcza wciąż żyje, że czerpie energię z jakiegoś ukrytego źródła. Dowodem na to była niewielka metalowa sztabka poruszająca się jednostajnie tam i z powrotem po rowkowatym wyżłobieniu. Nie towarzyszył temu żaden dźwięk, detektory zamontowane w skafandrach astronautów milczały.

- To chyba jeszcze działa - skonstatował zafascynowany Kane. - Ciekawe, od jak dawna... I co to właściwie jest...

- Wydaje mi się, że wiem.

Obrócili głowy, by spojrzeć na Lambert. Lambert potwierdziła domysły Dallasa. Trzymała w ręku namiernik kierunkowy, dzięki któremu dotarli z Nostromo aż tutaj.

- To nasz tajemniczy nadajnik - powiedziała. - Jak przypuszczaliśmy, w pełni automatyczny. Wygląda jak nowy, a pracuje najpewniej od lat. - Wzruszyła ramionami. - Może od wieków. Może jeszcze dłużej.

Dallas sięgnął po niewielki skaner i omiótł nim dziwaczne urządzenie.

- Elektrostatyczna siła odpychająca - oznajmił. Stąd brak pyłu. Szkoda. Wiatru tu prawie nie ma i grubość warstwy pyłu powiedziałyby nam, od kiedy ten nadajnik działa. Mały jest, chybi przenośny... - Wyłączył skaner i wsunął go do futerału przy pasie. - Znaleźliście coś? spytał.

Lambert i Kane pokręcili przecząco głowami.

- Tu nic nie ma. Tylko ożebrowane ściany i kurz. Pierwszy oficer był wyraźnie zniechęcony.

- Nie natknęliście się na żadne przejścia do innych części statku? Na jakies otwory, studnie?

- Nie.

No to pozostaje nam zbadać ten głęboki szyb albo wywiercić dziurę w pierwszej lepszej ścianie. Zaczniemy od szybu. Może nie będzie trzeba niczego tu pruć. - Zauważył minę Kane'a.

Rezygnujesz?

- Jeszcze nie. Poddam się dopiero wtedy, kiedy przeszukamy każdy centymetr kwadratowy tego pieprzonego wieloryba i nie znajdziemy nic oprócz gołych ścian i paru zaszpachlowanych pyłem mechanizmów.

- Wcale bym się tym nie przejęła - wyznała szczerze Lambert.

Wrócili do szybu i stanęli wokół okrągłego otworu znajdującego się w podłożu. Dallas ostrożnie przyklęknął, skafander utrudniał mu ruchy - i zbadał rękoma krawędź czarnej otchłani.

- Rękawice przeszkadzają jak diabli, ale ściany są chyba gładkie. Według mnie to część statku, jakiś korytarz czy szyb. Początkowo myślałem, że to lej po eksplozji, że dlatego zaczęli nadawać S.O.S.

Lambert wbiła wzrok w otwór.

- Dlaczego nie? - powiedziała. - Dziura o tak gładkich ścianach mogła powstać na skutek wybuchu ładunku kumulacyjnego.

- Masz wybitny talent do pocieszania ludzi, Lambert - mruknął rozczarowany Dallas. - Mimo wszystko twierdzę, że to część konstrukcji. Powierzchnia ścian jest tak wypolerowana, zbyt regularna nawet jak na ładunek kumulacyjny potężnej mocy.

- Powiedziałam tylko, co myślę.

- Tak czy siak, musimy wybierać. Albo któreś z nas zejdzie na dół, albo prujemy ściany, albo wychodzimy na zewnątrz statku i szukamy innego wejścia. - Spojrzał na Kane'a stojącego po drugiej stronie szybu. - Masz swoją wielką szansę, Kane.

Pierwszy oficer zachował zimną krew.

- Wedle życzenia, kapitanie, w każdej chwili. Jak będziecie dla mnie mili, to może się z wami podzielię.

- Czym?

- Jak to czym? Skarbem obcych: paroma skrzynkami diamentów, które tam znajdę. - Wskazał ręką czarny otwór.

Lambert pomogła mu nałożyć szelki i sprawdziła, czy uprząż przylega ściśle do ramion i pleców. Kane dotknął przycisku kontrolnego. Usłyszał cichutki sygnał, a na skafandrze zaczęło migać zielonkawe światło.

- Jest prąd - zameldował. - Wszystko gra. - Zerknął na Dallasa. - Gotowe?

- Chwileczkę...

Kapitan kończył składać trójnog z metalowych rurek. Urządzenie wyglądało nader topornie, zdawało się, że nie utrzyma Kane'a i pęknie; w rzeczywistości bez najmniejszego uszczerbku dźwignęłoby całą trójkę astronautów.

Dallas dopasował ostatnią rurkę, ustawił trójnog nad szybem i zabezpieczył go klamrami, które wbił w ziemię. Z wierzchołka trójnogu zwieszało się kilka małych bloczków i zwój cienkiej liny. Kapitan zakręcił szpulą i wręczył koniec lśniącej liny Kane'owi. Kane przywiązał ją do podwójnego karabińczyka na piersi i kazał Lambert ciągnąć. Lambert szarpnęła ze wszystkich sił. Lina nie puściła.

- Pamiętaj, Kane, nie odpinaj się pod żadnym pozorem - rzekł poważnie Dallas.

- Nawet jeśli w zasięgu ręki zobaczysz całą górę diamentów.

Osobiście sprawdził działanie bloczków i zamocowanie uprząży. Kane to dobry oficer. Siła grawitacji była tu mniejsza niż na Ziemi, ale gdyby spadł, zostałyby z niego miazga. Kapitan nie miał pojęcia, jak głęboki jest szyb. Może biegł do samego dna statku, ale równie dobrze mógł to być na przykład szyb górniczy, sondujący, a wtedy sięgałby jeszcze głębiej, pod ziemię. To myśl sprowokowała

inną i Dallas uśmiechnął się do siebie. Gdyby tak było, niewykluczone, że Kane znajdzie te swoje diamenty...

- Wylaż za góra dziesięć minut, słyszysz? - rzucił w mikrofon swym najbardziej perswazyjnym tonem głosu: - Słyszysz, Kane?

- Taa jest, kapitanie.

Kane usiadł i ostrożnie przełożył nogi za krawędź szybu. Chwycił obiema rękami linę, odepchnął się, zawisł pod trójnogiem i od pasa w dół zniknął w czarnej otchłani.

- Jeśli nie wrócisz za dziesięć minut, wyciągniemy cię siłą - ostrzegął Dallas.

- Spokojnie, grzeczny ze mnie chłopiec. I nie dam sobie zrobić krzywdy. - Przestał się huścić i znieruchomiał dokładnie pośrodku otworu.

- Dobra. W trakcie schodzenia melduj o wszystkim. - Jasne.

Kane uruchomił wyciąg. Lina zaczęła się wolno rozwijać i pierwszy oficer zniknął w mrocznym szybie.

Chwilę później Kane wyrzucił nogi do przodu i natrafił na gładką, pionową ścianę. Odchylił się do tyłu, zaparł stopami o jej powierzchnię i rozpoczął mozolny marsz w dół.

Po jakimś czasie zastygł w bezruchu, włączył latarkę i skierował ją pod siebie. Światło wyłowiło z ciemności dziesięć metrów zmatowiałego metalu, potem rozmyło się i pograżyło w czarną nicość.

- Ciepłej tu - zameldował, sprawdziwszy pobieżnie wskaźniki na skafandrze. - Z dołu bije chyba strumień cieplejszego powietrza. Może to część siłowni? Ten nadajnik musi skądś czerpać energię, więc może to siłownia.

Odbiwszy się od ściany, ruszył szybko w dół. Po kilku minutach szarpaniny z liną postanowił odpocząć. Ciepłej, ba, o wiele cieplej! Im głębiej, tym goręcej. Nagła zmiana temperatury spowodowała przeciążenie systemu klimatyzacyjnego w skafandrze, ale niezależny układ chłodzenia obsługujący hełm chronił wizjer przed zaparowaniem. Oddychał ciężko i chrapliwie, i to go martwiło, gdyż Dallas i Lambert mogli sobie Bóg wie co pomyśleć. A Kane nie chciał jeszcze wracać, o nie.

Odchylił głowę i wysoko w górze ujrzał świetlisty krąg na tle aksamitnej czerni - wylot szybu. Nad jego krawędzią wykwitła ciemniejsza plamka, deformując zarys idealnie równego brzegu. Błysk odległego światła. Promień odbił się od czegoś gładkiego, wypolerowanego i... zgasł.

- Wszystko w porządku, Kane?

- W porządku. Tylko gorąco. Nadal was widzę. Dna ani śladu. - Wciągnął w płuca olbrzymi haust powietrza, później następny. Regulator powietrza zaprotestował jękliwie. - To prawdziwa harówka, kapitanie. Nie mogę teraz gadać.

Zgiął nogi w kolanach, ponownie odbił się od ściany i popuścił linę. Przywykł już nieco do obcego otoczenia. Szyb wciąż opadał pionowo w dół. Jak dotąd nic nie wskazywało na to, że zaczyna się zwięzać czy zmieniać kierunek. Rozszerzać się mógł ile wlezie, tym by się Kane tak bardzo nie przejmował.

Coraz mocniej pracował nogami, wykonywał coraz dłuższe skoki w dół, opadając w otchłań z coraz większą szybkością. Nie wyłączał latarki, ale jej światło grzęzło w monotonnej, niezmiennej czerni.

Zabrakło mu tchu. Przywarł stopami do ściany i rzucił okiem na wskaźniki.

- Ciekawe - powiedział do mikrofonu. - Jestem pod ziemią...

Zrozumiałem - odparł Dallas i rozważając w myśli koncepcję szybu kopalnianego, dodał:

Zauważyłeś jakieś zmiany w najbliższym otoczeniu? Ściany wciąż takie same?

- Tak, wszystko bez zmian. Ile mam jeszcze liny? Chwila ciszy. Dallas sprawdzał wielkość zwoju.

- Ponad pięćdziesiąt metrów, starczy. Jeśli szyb jest głębszy, będziemy musieli cię wyciągnąć i przynieść z Nostromo większą szpulę. Ale chyba starczy.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo gdyby nie starczyło, statek nie miałby żadnych sensownych proporcji - odpowiedział w zamyśleniu kapitan.

- Jakich proporcji? I sensownych według kogo? Na te pytania Dallas nie znalazł odpowiedzi.

Ripley dawno by już zrezygnowała z dalszych analiz, gdyby tylko znalazła coś innego do roboty. Ale do roboty nie miała nic. Zabawa przy konsolocie układu logicznego ze sprzężeniem emiterowym była lepsza niż obijanie się po półmartwym statku i spoglądanie na opustoszałe fotele załogi.

Ciąg impulsów kolejnego zapytania, jakie wystukała na klawiaturze, musiał dotrzeć do najodleglejszych rejonów gigantycznej pamięci komputera i rozbudzić dawno uśpione sektory. Odpowiedź pojawiła się na monitorze tak nagle i tak nieoczekiwanie, że Ripley wymazała ją, machinalnie z ekranu, przeszła do następnej serii pytań i dopiero sekundę później zdała sobie sprawę, że odpowiedź była jak najbardziej logiczna. Kłopot z komputerami polega na tym, dumiała, że nie mają za grosz intuicji, że umieją tylko dedukować. Nie zadasz odpowiednio sformułowanego pytania, nie otrzymasz sensownej odpowiedzi...

Rzuciła się chciwie na odczyt, zmarszczyła czoło, zażądała dokładniejszych informacji. Matka robiła czasami nieświadome uniki, bywała mimowolnie pokrętna, dlatego Ripley musiała oczyścić dane z gąszczy nieistotnych, mylących szczegółów.

Jednak tym razem odpowiedź była w miarę jasna i klarowna, klarowna na tyle, że możliwość mylnej interpretacji absolutnie nie wchodziła w grę. Ripley zacisnęła kciuki i włączyła interkom.

- Kopuła obserwacyjna. - Ash odezwał się natychmiast. - Co się stało, Ripley?

- Mam coś - w podnieceniu mówiła krótkimi, urwanymi zdaniami. - Coś bardzo ważnego, Ash. Dokopałam się wreszcie do najdalszych sektorów banku danych. Sprzężeniem emiterowym. Chyba mi się udało, sama nie wiem. Ale nie to jest ważne...

- Gratulacje.

- Daj spokój - ucięła nerwowo. - Matka rozszyfrowała część tego obcego przekazu. Nie jest do końca pewna, ale wychodzi na to, że ten sygnał nie jest chyba sygnałem S.O.S.

Na chwilę go przytknęło. Kiedy się odezwał, mówił głosem bardziej opanowanym niż zwykle, choć odkrycie, jakiego dokonała, mogło mieć wprost kolosalne znaczenie. Tak, Ash miał nerwy jak postronki. Ripley szczerze go podziwiała.

- Jeśli nie S.O.S, to co to jest? - spytał spokojnie. I co cię tak zdenerwowało? Bo jesteś zdenerwowana, prawda?

- Jak jasna cholera! Nawet bardziej, jeśli Matka się nie myli. Ona się waha, Ash, jeszcze się waha, ale skłonna jest twierdzić, że ten sygnał to ostrzeżenie, rozumiesz? Ostrzeżenie!

- Jakie ostrzeżenia?

- A co za różnica, jakie ostrzeżenie?!

- Nie ma powodu, żeby krzyczeć, Ripley.

Ripley wzięła kilka głębszych oddechów i policzyła do pięciu.

- Musimy się z nimi połączyć. Oni muszą się o tym natychmiast dowiedzieć, Ash.

- Masz rację, Ripley, masz całkowitą rację - odparł skwapliwie. - Ale to niewykonalne. Weszli do tego obcego statku, straciłem z nimi wszelki kontakt. Od jakiegoś czasu milczą. Dlaczego? Bo są blisko nadajnika emitującego te impulsy, to raz. Są osłonięci przez powłokę statku, której składu nie znamy i która bardzo pilnie ekranuje, to dwa. Mimo wysiłków nie udało mi się odzyskać łączność, a wierz mi, Ripley, że próbowałem, naprawdę próbowałem. Może tobie się uda. - To zabrzmiało jak wyzwanie. - Pomogę ci, zrobię wszystko, co będę mógł...

- Słuchaj, Ash, nie podaję w wątpliwość twoich kompetencji. Skoro mówisz, że łączności nie ma, to nie ma. Ale przecież musimy ich jakoś zawiadomić, do ciężkiej cholery!

- Co proponujesz?

Zawahała się.

- Pójdę tam -- oświadczyła stanowczo. - Pójdę i powiem im osobiście.

- Nie, Ripley, nie pójdziesz.

- Czy to rozkaz, Ash? - Wiedziała, że w sytuacjach alarmowych, takich jak ta, musiała go słuchać.

- Nie, rozsądek, Rusz głową, Ripley. Niczego nie rozumiesz? Wiem, że za mną nie przepadasz, ale postaraj się spojrzeć na sprawę racjonalnie. Po prostu nie mamy ludzi:

Ty, ja, Parker i Brett. Jest nas czworo. To minimalna obsada startowa, Ripley. Trzech wychodzi, czterech zostaje. Znasz regulamin. Dlatego Dallas zostawił nas na pokładzie. Jeśli do nich pobiegнеш, bez względu na przyczynę, utkniemy tu do czasu, aż ktoś z was wróci. Jeżeli nie wróci nikt, Ziemia nigdy się nie dowie, co się tu właściwie stało. Urwał i po chwili dodał: - Poza tym nie ma powodu do alarmu. Najpewniej dobrze sobie radzą.

- Zgoda, Ash - przyznała niechętnie - ja to wszystko rozumiem. Ale mamy sytuację wyjątkową. Dlatego nadal sądzę, że trzeba tam pójść.

Ash nigdy nie wzdychał, nie westchnął więc i teraz, ale sprawiał wrażenie człowieka zrezygnowanego, człowieka, który nie ma wyboru.

- Po co? - zapytał bez cienia emocji, jakby mówił o czymś najbardziej oczywistym. - Zanim któreś z nas tam dotrze, Kane, Lambert i Dallas będą już wiedzieli, czy to ostrzeżenie, czy nie. Mam rację?

Ripley nie odpowiedziała. Siedziała i gapiała się tępo w Asha na monitorze. Naukowiec patrzył spokojnie na nią. Ripley nie widziała jednak, co przedstawia diagram na ekranie wbudowanym w jego konsolę. Gdyby wiedziała, pewno bardzo by ją zainteresował...

5.

Po krótkim odpoczynku, z zapasem świeżych sił Kane odbił się od gładkiej ściany i ruszył w dół. Wyrzucił nogi do przodu i naprężył mięśnie w oczekiwaniu znajomego starcia z twardą nawierzchnią szybu. Tym razem jednak buty trafiły w pustkę. Szyb gdzieś zniknął. Kane zawisł w próżni.

Jakaś komora, może jeszcze jedna ładownia, wielka jak ta na górze...? myślał. Cokolwiek by to nie było, wreszcie koniec tej cholernej studni.

Oddychał ciężko, ze zmęczenia i z gorąca. To śmieszne, ale ciemność otulała go teraz szczelniej niż wtedy, kiedy był w szybie, znacznie przecieź węższym i ciaśniejszym od tego pomieszczenia. Zastanawiał się, co jest pod nim i co by się stało, gdyby lina nagle pękła. Ciekawe, czy daleko by spadł...?

Spokojnie, Kane, spokojnie. Myśl o diamentach, o pięknie szlifowanych wielkich brylantach, o kamieniach bez skazy, skrzących się w mroku drogocennymi karatami. Zapomnij o czarnej nicości, w której wisisz, o nicości pełnej obcych duchów i tysiącletnich wspomnień, pełnej...

Cholera jasna! Znów do tego wracasz?! - Widzisz coś?

Przestraszony, drgnął silnie i rozhuśtał linę. Sięgnął ręką, wytłumił wahnięcia i odchrząknął. Musiał pamiętać, że nie jest tu sam, że tam, na górze, całkiem blisko, są Dallas i Lambert, że parę kilometrów na południowy zachód czeka Nostromo, a na jego pokładzie kawa, swojskie, iście domowe zapachy i sen, głęboki, spokojny sen...

I nagle rozpaczliwie zapragnął tam być, tam, na Nostromo. Zaraz wytłumaczył sobie, że przecieź na Nostromo nie znajdzie diamentów, że nie znajdzie tam chwały. I diamenty, i chwała były tutaj, w otchłani.

- Nie, nic. Pode mną jest chyba jakaś komora czy grota. Szyb się skończył.

- Grota? Jaka grota? Weź się w garść, Kane. To statek, wciąż jesteś na statku.

- Taa? A pamiętam, że wspomniałeś coś o szybie górniczym, kapitanie. Może to jednak kopalnia?

- No to lada chwila powinienes ugrzęznąć po pas w tych swoich diamentach.

Roześmiali się. Głośniki zniekształciły śmiech Dallasa; zabrzmiał głucho, tak jakoś pusto.

Kane spróbował strząsnąć z czoła kropelki potu. W tym cały kłopot ze skafandrami. Kiedy klimatyzacja nadążała za wzrostem temperatury, wszystko było w porządku, ale kiedy astronauta zaczynał się pocić, to koniec - o wytarciu czoła mógł sobie tylko pomarzyć.

- No dobra, może i nie grota. Ale upalnie tu jak w tropikach. -. Pochylił się lekko i zerknął na termometr. Może to jednak grota? Może wiszę w grocie...?

Dotarł wystarczająco głęboko, żeby brać pod uwagę i taką ewentualność, lecz jak dotąd nie znalazł potwierdzenia swojej teorii.

Nie, wszystko wskazuje na to, że wciąż jestem na statku...

Istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać: zlokalizować dno.

Upalnie, powiadasz? A skład powietrza?

Rzut oka na inny wskaźnik.

- Prawie taki sam jak na zewnątrz. Sporo azotu, tlenu na lekarstwo. Dość wysoka koncentracja pary wodnej, bo tu cieplej. Chcesz próbkę? Ash będzie miał radochę.

- Na razie nie. Schodź dalej.

Kane pstryknął. przełącznikiem. Analizator powietrza zawieszony u pasa zarejestrował Skład atmosfery i głębokość, na jakiej dokonano pomiaru. Ash się ucieszy, chociaż to nie to samo co próbka. Kane uruchomił wyciągarke. Silniczek zamruczał,, lina poszła w dół.

Czuł się tak samotnie, jakby żeglował przez pustkę kosmosu. Zresztą nie, bo uczucie było mniej przyjemne. Obracając się wolno dookoła własnej osi, opadał w aksamitną czerń, w czerń absolutną, doskonałą, gdzie nie mrugała najmniejsza gwiazdka, gdzie nie jaśniał najmniejszy promyczek najodleglejszego słońca.

Tak go to odprężyło, że przeżył prawdziwy szok, kiedy uderzył butami o twardą nawierzchnię. Stęknął, omal nie upadł. Odzyskał równowagę, stanął prosto i wyłączył silnik dźwigu.

Sięgnął ręką do karabińczyka, ale przypomniał sobie rozkaz, Dallasa. Ciężko mu będzie iść, wlokąc za sobą linę, lecz gdyby kapitan odkrył, że Kane się od niej uwolnił, wpadłby w prawdziwy szal. Nie było rady. Pozostało mu tylko modlić się, żeby lina nie uwięzła w jakiejś szczelinie na górze.

Odzyskawszy oddech, zapalił latarkę oraz reflektor umocowany przy hełmie, chcąc zbadać swoje położenie. Natychmiast zrozumiał, że to nie jaskinia, że jego przypuszczenia były całkowicie błędne i fantastyczne. Kane stał na dnie wielkiej komory obcego statku.

Olbrzymia, z gładkimi, nagimi ścianami, wyglądała jak gigantyczna ładownia. Światło padało na dziwne przedmioty czy urządzenia, które albo stanowiły integralną część ścian, albo zostały do nich przytwierdzone. Przedmioty te zdawały się wykonane z jakiegoś miękkiego, niemal elastycznego materiału kontrastującego ze sztywnymi, mocnymi żebrami wzmacniającymi korytarz i ściany; żebra biegly od podłogi do sufitu w regularnych, dobrze zaprojektowanych odstępach.

Nie wiedzieć czemu, Kane odniósł wrażenie, że przedmioty te ustawione są chaotycznie, bezładnie - w komorze zauważył wiele nie wykorzystanego miejsca. Oczywiście dopóki nie odkryją istoty i pochodzenia owych tajemniczych występow

w ścianach, rzeczą absurdalną było spekulować, czy właściciele statku składowali towar w sposób racjonalny czy nieracjonalny.

- Jak tam, Kane? W porządku? - odezwał się Dallas. - Taaa... Szkoda, że tego nie widzicie.

- Czego? Czego nie widzimy? Co znalazłeś? - Nie wiem. Coś dziwnego.

- O czym ty gadasz, Kane? - Chwila ciszy. - Kane, czy możesz wyrażać się konkretniej? "Coś dziwnego" niewiele nam mówi. Cały ten statek jest dziwny, ale w oficjalnym raporcie tak go przecież nie opisujemy, prawda? No więc?

- Dobra, kapitanie. Jestem w dużej komorze podobnej do tej na górze. Na ścianach pełno tu jakichś... Nie wiem czego.

Ścisnął mocniej latarkę i nieświadomym, obronnym gestem wyciągnął ją przed siebie. Ruszył wolno do najbliższej ściany, przyjrzał się uważnie miękkim wypukłościom i doszedł do wniosku, że nie są integralną częścią kadłuba. Co więcej, skłonny był teraz sądzić, że to coś zbudowane jest z tkanki, z tkanki jak najbardziej organicznej!

Dallas zerknął na Lambert.

- Ile mamy czasu do zachodu słońca? - spytał. Sprawdziła chronometr, wcisnęła jakiś przycisk.

- Dwadzieścia minut. - Jej odpowiedzi towarzyszyło Znaczące spojrzenie.

Dallas milczał. obrócił głowę i znów skupił całą uwagę na czarnym otworze szybu. Patrzył w dół, choć nie widział nic.

Błysk latarki wyłowił z ciemności jeszcze więcej tych dziwnych przedmiotów. Były przytwierdzone do podłogi, pośrodku komory. Okrążył je, badając wzrokiem jeden po drugim. Każdy z nich miał trzydzieści parę centymetrów wysokości, owalny kształt i skórzasty wygląd. Kane wybrał pierwszy z brzegu i dokładnie go oświetlił. Silny blask latarki i reflektora przy hełmie nie ujawnił nowych szczegółów i zdawał się nie wywierać najmniejszego wpływu na tajemnicze jajo.

- To coś w rodzaju ładowni czy magazynu, tak, na pewno...

Dallas milczał.

- No więc mówię, że to rodzaj magazynu - powtórzył Kane. - Słyszycie mnie?

- Głośno i wyraźnie. - Tym razem odpowiedź padła natychmiast. - Nie denerwuj się, po prostu uważnie cię słuchamy. Powiadasz, że to jakiś magazyn? Na pewno?

- Tak jest.

- Masz na to jakiś dowód poza wielkością i kształtem komory?

- Jasne. Te wypukłości, te występy, które znalazłem na ścianach, są również na podłodze i gwarantuję, że nie należą do konstrukcji statku. Roi się tu od nich, wszystkie jajowate, jakby ze skóry. Właściwie to przypominają tę urnę, którą wykopałeś na górze, ale zrobione są z czegoś bardziej miękkiego. I te tutaj są chyba

szczelnie zamknięte, a twoja była pusta. Ktoś je najwyraźniej ustawił, tak, według specyficznego konceptu, bo miejsca zostało od groma.

- Skórzaste jaja? Cudaczny ładunek. Widzisz, co jest w środku? W tych jajach?
- Dallas myślał o swojej urnie.

- Czekaj, przyjrę się temu...

Nie wyłączając latarki, Kane postąpił krok do przodu, wyciągnął rękę i dotknął okazu, który oświetlił podczas rozmowy z kapitanem. Dotknął go i... nie stało się nic. Kane pochylił się i pchnął jajo z boku, szturchnął je z góry; na gładkiej powierzchni nie zauważył nic, co by przypominało uchwyt czy zamek. Żadnej reakcji.

- To jest jakieś takie niewyraźne w dotyku, nawet przez rękawicę... - rzucił do mikrofonu.

Dallas okazał nagłe zaniepokojenie.

- Pytałem cię tylko, czy widzisz coś w środku, Kane. Nie próbuj tego otwierać. Nie wiadomo, co tam siedzi. Kane zmrużył oczy. Nie, nie działa się absolutnie nic.

Skórzaste jajo było nadal skórzastym jajem.

- Nic nie widzę, kapitanie. Ono jest chyba hermetycznie zamknięte. - Odwrócił się i powiódł latarką po rzędach dziwnych przedmiotów. - Może znajdę pęknięte albo takie, co się już rozpadło...

Za Kane'em sączyła się nikła poświata. Na zwartej powierzchni skórzastego jaja, które przed chwilą badał, wykwitł bezgłośnie maleńki pęcherzyk. Obok drugi, trzeci, dziesiąty. Wkrótce pęcherzyki pokryły cały, gładki dotychczas wierzch jajowatej urny.

- Ale na żadnym z nich nie widzę ani zamka, ani uchwytu - relacjonował dalej Kane.

Odwrócił się, powiódł machinalnie światłem po skórzastym jajku, którego uprzednio dotykał, i nie dowierzając własnym oczom, przechylił na bok głowę.

Wierzch jaja najpierw zmatowiał, później zmętniał i z każdą sekundą stawał się coraz bardziej i bardziej przezroczysty, przezroczysty jak szkło! Kane wybałuszył oczy, podszedł bliżej, skierował światło na podstawę urny i wstrzymując oddech wbił wzrok w coś, co ujrzał teraz na jej dnie.

- Chryste...

- Co się stało, Kane? Co tam się dzieje? - Dallas z trudem zdusił w sobie krzyk.

W skórzastym jajku Kane zobaczył coś małego, coś jak z koszmarnego snu. Leżało skręcone, zwinięte, tworząc zwarty, delikatny, istic filigranowy kłębuszek gumowatego mięsa. Kane miał wrażenie, że widzi. upiorny fragment czyjegoś delirium tremens, fragment, który wyrwano z pijackiej podświadomości i obleczono w realny kształt i materii.

To coś wyglądało jak wielopalczysta ręka, ręka, której długie, kościste szpony zakrzywiały się i wbijały w dłoń. Gdyby nie dodatkowe palce, byłaby bardzo podobna do ręki szkieletu. Ze środka dłoni coś wystawało, coś jakby niezbyt długa rurka. Pod dłonią tkwił zwinięty, silnie umięśniony ogon., Na jego grzbiecie Kane dostrzegł niewyraźny, wypukły organ, organ, który wyglądał jak oko pociągnięte warstwą przezroczystego lakieru.

Oko - jeśli to rzeczywiście było oko, a nie wodnista połyskliwa narośl - wymagało staranniejszego zbadania. Pokonując obrzydzenie, które wywracało mu żołądek, Kane stanął jeszcze bliżej i uniósł latarkę, żeby lepiej widzieć.

Oko drgnęło i spojrzało na niego.

Skórzaste jajo eksplodowało. Monstrualna dłoń otworzyła się, potężna siła drzemiąca w zwiniętym ogonie wyrzuciła ją na zewnątrz, cisnęła w twarz Kane'a. Kane uniósł ramię, chciał się zasłonić. Za późno, paskudztwo przywarło już do wizjera hełmu. Obrzydliwie blisko twarzy, ledwie centymetry od nosa, mignęła mu wijąca się ohydnie rurka. Coś zasyczało, zaskwierczało i tworzywo, z którego wykonano przezroczysty wizjer, zaczęło się topić, rozpuszczać.. Kane wpadł w panikę, próbował oderwać stworzenie od hełmu.

Ale ono przeniknęło już do środka, już oblepiło jego twarz. Strumień powietrza bijący z aparatu oddechowego mieszał się z trującą atmosferą planetoidy, lodowatą, cierpką w smaku. Kane czuł, że słabnie. Wciąż usiłował zerwać, zedrzeć z siebie oślizłe monstrum, ale szybko opadał z sił. Coś wciskało mu się między wargi, coś mu je rozwierało, natarczywie, obleśnie.

W rzeczywistości straszliwszej od najgorszych koszmarów Kane zataczał się po mrocznej komorze, próbując oderwać od twarzy agresywne paskudztwo. Długie, ruchliwe i delikatne palce wniknęły pod hełm, objęły mu głowę, przylgnęły do skroni i potylicy, jednocześnie gruby, zwinny ogon wślizgnął mu się pod skafander i owinął wokół szyi jak wąż.

Kane nie mógł złapać tchu. Drgająca spazmatycznie rurka znalazła drogę do jego ust i teraz wciskała mu się w gardło niby tłusty, ciepły robak. Kane potknął się, stracił równowagę i upadł na plecy.

- Kane... Kane, słyszysz mnie? - Dallasa oblał zimny pot. - Kane, odpowiedz!

Cisza. Dallas myślał chwilę.

- Jeśli nie możesz mówić, wciśnij dwa razy przycisk namiernika. - Spojrzał na Lambert, która miała odebrać sygnały.

Lambert wbiła wzrok w czytnik detektora. Odczekała kilka sekund - impuls powinien być już do nich dotrzeć odczekała sekund kilkanaście i dopiero wówczas pokręciła wolno głową.

- Co się tam mogło stać? - spytała.

- Nie wiem, nie mam pojęcia. Może upadł i uszkodził akumulator? - Zawahał się. - Nie może albo nie chce odpowiadać... Lepiej go stamtąd wyciągnijmy.
- Nie za wcześnie? Ja też się niepokoję, ale...

Dallas potoczył wkoło półprzytomnym wzrokiem. Ich oczy spotkały się i kapitan natychmiast opanował strach.

- Już porządku, w porządku, Lambert. - Machnął ręką w stronę nagich, zimnych ścian. - To miejsce tak na mnie działa. Na chwilę straciłem nerwy. Ale nadal twierdzę, że trzeba go stamtąd wyciągnąć.

- Włączymy dźwig i szarpnięcie liny zwali go z nóg. Może mu się coś stać, zwłaszcza jeśli upadł i leży z podkurczonymi nogami. Jeżeli nie dzieje się tam nic szczególnego, Kane w życiu nam tego nie wybaczy.

- Spróbuj jeszcze raz. Lambert uruchomiła nadajnik.

- Kane! Kane, do cholery! Odpowiedz! No mów coś! - Próbuje, dalej.

Podczas gdy Lambert to rzucała wyzwiskami, to błagała Kane'a, żeby się odezwał, Dallas wyciągnął rękę i dotknął liny. Była luźna. „zbyt luźna. Szarpnął lekko i nie czując spodziewanego oporu, wybrał z metr liny.

- Luźna. - Zerknął na Lambert.

- Nadal milczy. Tak, albo nie może, albo nie chce mówić. Myślisz, że się odczepił i gdzieś polazł? Słyszałam rozkazy, ale wiesz, jaki on jest. Pewnie sądził, że nie zauważymy chwilowego braku napięcia liny. Znasz Kane'a. Jeśli spostrzegł coś ciekawego i bał się, że lina może się zaplątać albo że jej nie starczy, gwarantuję, że rozpiął karabińczyk.

- Nie obchodzi mnie, co znalazł, obchodzi mnie Kane. A Kane milczy. - Dallas ustawił regulator obrotów i włączył wyciągarkę. - Trudno, najwyżej go trochę pokiereszujemy. Ale jeśli nic mu nie jest, jeśli sprzęt ma w porządku, pożałuje, że się nie odczepił. Już ja się o to postaram.

Trzask przełącznika i lina zaczęła nawijać się na bęben. Dallas nie spuszczał z niej oczu i ulżyło mu „dopiero wtedy, gdy po paru metrach lina „chwyciła” i bęben zwolnił obroty.

- Jest obciążona. Stawia opór. - Zaczepiła się o coś?

- Niemożliwe. Nawija się, tylko trochę wolniej. Gdyby się zahaczyła i gdyby oprócz Kane'a wlokła coś jeszcze, nawijałaby się inaczej, nieregularnie, raz szybciej, raz wolniej. Nie, myślę, że to Kane, to musi być Kane.

- Co będzie, jeśli mu odbije i zechce opuścić się na dół za pomocą wyciągarki zamocowanej na uprzęży?

Dallas pokręcił zdecydowanie głową.

- Nie da rady. - Gestem ręki wskazał trójnóg. Przetawilem napęd dźwigu. Sprzęt, który Kane ma na sobie, nie działa. Będzie musiał stamtąd wyjść, chce czy nie chce.

Lambert zaglądała niecierpliwie do szybu. - Ciągłe nic nie widać.

Kapitan włączył latarkę i omiótł światłem gładkie ściany. - Nie widać - przyznał. - Ale lina się nawija... Nawijała się nieustannie, metr po metrze, a dwoje astronautów niecierpliwie czekało, aż coś przebiję wreszcie jasny krąg, który utworzyło w sztolni światło z latarki Dallasa. Doczekali się, kilkanaście minut później.

- Jest! To Kane! - Nie rusza się.

Zdenerwowana Lambert obserwowała wiszącego na linie kolegę, chcąc dostrzec u niego jakiś gest, jakikolwiek, choćby obsceniczny. Ale Kane ani drgnął.

Ostatnie metry liny. Trójnóg wygiął się lekko. - Stań tam. Może się huśtać.

Lambert obeszła szyb i przyklękała po drugiej stronie. Z otworu wychynęło rozhuśtane ciało Kane'a. W przyćmionym świetle wydawało się kompletnie bezwładne.

Kapitan sięgnął ręką, zamierzając chwycić Kane'a za uprząż na piersi. Już jej prawie dotykał, gdy nagle zauważył, że w hełmie pierwszego oficera tkwi nieruchomo jakieś stworzenie, że oblepia mu twarz i głowę. Jak oparzony cofnął ramię.

- Co się stało? - rzuciła Lambert.

- Uważaj, On ma coś na twarzy, pod hełmem. Lambert obeszła szyb.

- Na twarzy? Gdzie na... - Nie dokończyła. Dopiero teraz spostrzegła to coś, coś, co usadowiło się pod hełmem Kane'a jak mięczak pod bezpieczną skorupą. - O Chryste...

- Nie dotykaj tego.

Dallas spojrział na bezwładne ciało oficera. Zaryzykował i machnął ręką na zwierzę przyklejone do jego twarzy. Ani drgnęło. Naprężył mięśnie i gotów w każdej chwili uciekać, wyciągnął ramię. Przysunął dłoń najpierw do ogona, potem do wybałuszonego oka na grzbiecie. Stwór nie zareagował, nie dawał żadnych oznak życia. Pulsował tylko, wolno, regularnie.

- To żyje? - Żołądek Lambert nie wytrzymał. Czuła się tak, jakby wypila litr na wpół przerobionych odpadków z Nostromo.

- Nie rusza się, ale chyba żyje. Chwyć go za ramiona. Ja chwycę za nogi. Może samo odpadnie.

Lambert pospieszyła wypełnić rozkazy, lecz nagle zamarła i spojrzała niepewnie na kapitana.

- Za ramiona? Dlaczego ja?

- Szlag by to... Chcesz się zamienić? - Tak.

Zamienili się miejscami. Kiedy obchodzili szyb, Dallas spostrzegł, że jeden z paluchów obejmujących twarz Kane'a lekko drgnął; kapitan nie dawał jednak za to głowy, bo ruch był prawie niezauważalny. Chwycił Kane'a pod ramiona, dźwignął go i poczuł martwy ciężar.

- W ten sposób za Boga nie doniesiemy go do statku. Chwyć za jedną nogę. Ja chwycę za rękę.

- Dobra.

Wolno i ostrożnie przewrócili Kane'a na bok. Bez rezultatu, koszmarny stwór nie odpadł. Oblepiał mu twarz tak szczelnie i tak mocno jak wówczas, kiedy oficer leżał nieprzytomny pod ziemią, gdzie nikt nim nie szarpał.

- Nici z tego. Pobożne życzenia. Wiedziałem, że nie odpadnie. Do roboty. Zabieramy Kane'a na statek. Posadzili go na ziemi, chwycili pod ramiona i dźwignęli kolegę do góry.

- Gotowa?

Lambert skinęła głową.

- Uważaj na to świństwo. Jak zaczniesz podejrzewać, że chce odpaść, puszczaj ramię i zwiewaj, jasne?

Znów skinęła głową. - No to idziemy.

Zatrzymali się już przy słuzach, przy wyjściu z obcego statku. Oboje oddychali jak po ciężkim biegu.

- Połóżmy go. - Lambert z ulgą puściła ramię Kane'a. - Ni cholery, tak nie damy rady. Będzie zaczepiał stopami o każdy kamień, o każdą szczelinę. Zostań z nim. Spróbuję zbudować travois, taką włókę.

- Z czego?

Dallas zawrócił i szedł w stronę komory, którą przed chwilą opuścili.

- Z trójnogu. Jest dość mocny.

Lambert czekała na powrót kapitana, siedząc jak najdalej od Kane'a. Za martwym kadłubem obcego statku wył wiatr. Nadciągała noc. Lambert nie była w stanie oderwać wzroku od monstrum oblepiającego twarz kolegi, nie była w stanie myśleć o niczym innym tylko o tym, jak się to mogło stać.

Tak, zdołała odegnąć myśli inne, koszmarniejsze, jak na przykład ta, co też ten obrzydliwy stwór właściwie teraz robi. Musiała je odegnąć, gdyż tuż za nimi czała się histeria i szaleństwo.

Dallas wrócił z metalowymi rurkami pod pachą. Rozłożył je koło siebie i zaczął kleić prymitywną włókę, którą mieli transportować Kane'a. Strach przydawał szybkości ruchom jego rąk.

Kiedy skończył, podszedł do wyjścia i opuścił travois za burtę statku. Zrobił to ostrożnie, ale nie sięgnął ziemi i stelaż spadł kilka metrów w dół. Nie roztrzaskał się jednak, co dowodziło, że wytrzyma ciężar Kane'a, i że dotrą z nim do Nostromo.

Krótki dzień kończył się szybko i gwałtownie. Atmosfera znów zmieniła barwę, niebo znów trysnęło krwią, a wiatr zawodził jak na pogrzebie. Dallas miał teraz ochotę na wszystko, tylko nie na nocną wędrówkę po upiornej, smaganej wichrem planetoidzie. I nie dlatego, że bał się zgubić drogę czy stracić siły przy wleczeniu Kane'a, nie. Z otchłani martwego statku wychynęło coś, co wgryzło się w twarz oficera i w ich umysły. A w mroku, w gęstym pyłe, mogły czyhać jeszcze potworniejsze zmary. Kapitan tęsknił za bezpiecznymi ścianami Nostromo, tęsknił jak nigdy, rozpaczliwie.

Gdy słońce zaszło za gęste chmury, ujrzeni z dala wianuszek światel oplatający rufę ich statku. Ale promienie bijące z reflektorów wcale nie rozweselały krajobrazu wokół Nostromo, ich blask odsłaniał bowiem kontury wielkiej, posępnej skały, na której holownik spoczywał. Od czasu do czasu wirowały przed nimi słupy zgęstniałego pyłu, udaremniając na chwilę nawet i te, jakże w sumie nieudolne próby rozproszenia nasyczonej, aksamitnej czerni.

Zrezygnowana Ripley czekała na Sygnał od zaginionej grupy ekspedycyjnej Dallasa. Początkowo owładnęło ją uczucie bezradności i totalnej pustki, ale z czasem minęło. Siedziała teraz na mostku, a jej ciało i umysł ogarnął dziwny, nieokreślony bezwład. Nie mogła zmusić się do spojrzenia w iluminator, mogła jedynie siedzieć, popijać letnią kawę i gapić się bezmyślnie na rzędy cyfr i symboli sunące wolno w górę ekranu monitora.

Kot siedział przy iluminatorze. Burza szalejąca na zewnątrz była dlań wspaniałą rozrywką, więc czym prędzej wymyślił sobie zabawę polegającą na tym, że kiedy jakaś większa grudka ciśniętego wiatrem pyłu trafiała w szybę, Jones uderzał ją łapką. Kot oczywiście wiedział, że nigdy nie zdoła schwycić tych latających paprochów. Już dawno pojął prawo fizyki, które sprawiało, że to co przezroczyste może być jednocześnie twarde. Zrozumienie tej prawdy pomniejszyło nieco radość płynącą z zabawy, ale całkowicie jej nie eliminowało. Poza tym zawsze mógł sobie wyobrazić, że owe czarne odłamki kamienia to ptaki, choć ptaka w życiu nie widział - instynkt działa wszędzie, nawet w kosmosie.

Nie tylko Ripley obserwowała monitory, nie tylko ona spoglądała na wskaźniki namiarowe. W przeciwieństwie do reszty załogi Nostromo Ash nie pijał kawy. Nie potrzebował sztucznych bodźców, gdyż jedyną rzeczą, która potrafiła go skutecznie ożywić, była informacja, nowe, nie opracowane jeszcze dane.

Dwa martwe od jakiegoś czasu wskaźniki nagle drgnęły i świeży strumień cyfr i symboli podziałął na umysł Asha jak silny narkotyk. Natychmiast wzmocnił odbierane impulsy, sprawdził je i dopiero wtedy połączył się z mostkiem.

- Ripley? Jesteś tam?

- Tak. - W głosie Asha usłyszała podekscytowaną nutkę i zeszywniała. - Dobre wiadomości?

- Chyba tak. Przed chwilą odebrałem sygnały pozycyjne, a na ekranach znów mam ich sylwetki.

Ripley wzięła głęboki oddech i zadała przerażające, lecz niezbędne pytanie:

- Ile sylwetek?

- Mam tu ich wszystkich, całą trójkę. Trzy silne, regularne impulsy świetlne.

- Gdzie są?

- Blisko... Bardzo blisko. Któryś z nich musiało sobie przypomnieć o włączeniu nadajników, żebyśmy mogli ich namierzyć. Idą w naszą stronę dość równym krokiem. Wolno, ale idą. Dobrze jest.

Obyś się nie przeliczył, Ash, obyś się nie przeliczył... pomyślała i uruchomiła główny nadajnik Nostromo.

- Dallas, tu Ripley. Dallas, czy mnie słyszycie? Odpowiedziały jej huraganowe zakłócenia. Dostroiła odbiornik.

- Dallas, tu Ripley. Odpowiedzcie.

- Spokojnie, Ripley, słyszymy cię. Jesteśmy prawie w domu.

- Co się stało? Kiedy weszliście do wraka, straciliśmy was z ekranów. Wasze sygnały pozycyjne też zniknęły. Obejrzałam taśmy Asha. Czy nic...

- Kane jest ranny. - Dallas był wyczerpany i zły. Będziecie musieli nam pomóc. On jest nieprzytomny. Niech ktoś nam pomoże wydostać go ze śluzu.

Z głośnika padła natychmiastowa odpowiedź: - Ja pomogę. - To Ash.

W siłowni Parker i Brett zamarli przy głośnikach.

- Nieprzytomny - powtórzył Parker. - Wiedziałem że Kane narobi sobie kiedyś kłopotów. Narwaniec z niego.

- Racja. - Brett był chyba trochę zmartwiony.

- Jak na pierwszego oficera facet jest w porządku. Wolę jego niż Dallasa. Przynajmniej tak się nie rządzi. Cholera, co się tam mogło stać?

- Nie wiem. Niedługo się dowiemy.

- Może po prostu upadł i stracił przytomność, co? Nie wierzył w to ani Brett, ani sam Parker. Umilkli i skupili uwagę na trzeszczącym głośniku.

- Jest. Tam. - Dallas miał jeszcze dość sił, żeby pokazać głową kierunek marszu.

Z niemal kompletnej ciemności wychynęło kilka niewyraźnych, rozmazanych słupów, na których spoczywał wielki, brzuchaty jak amfora obiekt: kadłub Nostromo.

Byli już prawie przy statku, kiedy Ash dotarł do śluzy. Sprawdził, czy luk jest gotowy do otwarcia i pstryknąwszy przełącznikiem najbliższego interkomu, połączył się z mostkiem.

- Ripley? Jestem przy wewnętrznym luku. - Podszedł do małego iluminatora tuż obok. - Na zewnątrz już prawie noc. Jeszcze ich nie widać, ale kiedy wejdą na platformę windy, powinienem zobaczyć światła pozycyjne kombinezonów.

- Dobra...

W głowie Ripley kłębiły się szalone myśli. Niektóre z nich zdziwiłyby Asha, i to bardzo. Niektórymi sama Ripley była zaskoczona. I to jak!

- Którędy? - Dallas usiłował przebić wzrokiem tumany pyłu i odnaleźć w zawierusze światła Nostromo.

Lambert machnęła ręką w lewo.

- Chyba tędy, do pierwszej łapy. Winda musi być tuż koło niej.

Szli dalej i niemal potknęli się o krawędź platformy wkopanej mocno w piach podłoża. Mimo skrajnego wyczerpania zdołali przenieść na nią Kane'a i utrzymać go w pozycji pionowej.

- Dasz radę, Lambert? Jak go teraz położymy, przy śluzie będzie ciężko.

Lambert wzięła głębszy oddech.

- Spróbuję. Mam nadzieję, że ktoś nam później pomoże.

- Ripley? Jesteś?

- Tak, Dallas.

- Jedziemy na górę. - Zerknął na Lambert. Gotowa?

Skinęła głową.

Kapitan wcisnął guzik. Lekkie szarpnięcie, winda ruszył, przejechała bez wstrząsów całą drogę i zatrzymała się równo z progiem śluzy. Dallas trzasnął przełącznikiem, zewnętrzne drzwi zniknęły między blachami poszycia i weszli do komory próżniowej.

- Hermetyzujemy? - spytała Lambert.

- Nie ma sensu. Zaoszczędzimy trochę powietrza. Za moment będziemy w środku i zdejmujemy te przeklęte skafandry.

Zamknęli luk zewnętrzny i czekali, aż Ripley otworzy im drzwi.

- Co z Kane'm? - To znów Ripley.

Dallas był zbyt zmęczony, żeby usłyszeć w jej głosie coś więcej niż normalną w takim wypadku nutkę zatroskania. Podciągnął wyżej bezwładne ciało oficera, nie

zwracając większej uwagi na obce stworzenie. Od kiedy opuścili wrak, nie drgnęło, nie zmieniło pozycji, dlaczego więc miałyby zrobić to akurat teraz, na statku?

- To jakiś... organizm - rzucił do mikrofonu. W ciasnym hełmie usłyszał uwiecznione echo własnego głosu i poczuł się nieco pewniej. - Nie wiemy, jak to się stało, skąd to coś wylazło. Siedzi na twarzy Kane'a. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Nie rusza się, tkwiło w bezruchu przez całą drogę. Trzeba umieścić Kane'a w izbie zabiegowej.

- Co to za organizm? Muszę mieć bardziej szczegółowe dane, kapitanie - oświadczyła spokojnie Ripley.

- Bardziej szczegółowe dane! Chryste! - Dallas usiłował stłumić w sobie narastającą wściekłość i mówić z maksymalnym opanowaniem. - Posłuchaj, Ripley, nie widzieliśmy, jak to się stało. Kane był w studni, w czymś w rodzaju cholernie głębokiego szybu. Nie mieliśmy pojęcia, że coś jest nie tak do chwili, kiedy go stamtąd wyciągnęliśmy. Dość szczegółów?

Odpowiedziała mu cisza. - Ripley, otwórz luk.

- Zaraz. - Dobierała ostrożnie słowa. - Jeśli wpuszczymy to do środka, może nam zarazić cały statek.

- Co ty pieprzysz, Ripley?! To nie żaden wirus, do ciężkiej cholery! To bydlę jest większe od mojej dłoni i jak chcesz, to możesz je sobie pomacać!

- Znasz regulamin, kapitanie. - Jej głos brzmiał stanowczo i zdecydowanie, choć Ripley wciąż się wahała. Kwarantanna, dwadzieścia cztery godziny na odkażanie. W zbiornikach macie powietrza aż nadto, a jeśli zabraknie, dostarczymy zapasowe butle. Przez dwadzieścia cztery godziny nie stwierdzimy, czy to stworzenie jest niebezpieczne czy nie, ale to już nie moja sprawa. Muszę respektować przepisy, kapitanie. Znasz je równie dobrze jak ja.

- To wyjątkowa sytuacja, Ripley, i to ja sterczę tu z ciałem mego przyjaciela, nie ty. Za dwadzieścia cztery godziny Kane może umrzeć, jeśli w ogóle jeszcze żyje. Otwórz śluzę.

- Posłuchaj - błagała - jeśli złamię przepisy o kwarantannie, w s z y s c y możemy umrzeć.

- Otwórz tę pieprzoną śluzę, Ripley! - wrzasnęła Lambert. - W dupie mam przepisy i regulaminy naszego Towarzystwa, słyszysz! Musimy go zanieść na izbę chorych i podłączyć do autodoka!

- Nie mogę, nie mogę! Gdybyś była na moim miejscu, gdybyś ponosiła taką odpowiedzialność, też byś nie otworzyła.

- Ripley - powiedział wolno Dallas. - Słyszysz mnie dobrze?

- Słyszę - odrzekła zdławionym głosem. - Nie, kapitanie, nie otworzę. Dwadzieścia cztery godziny kwarantanny, a potem wniesiemy go do środka.

Ktoś na statku podjął inną decyzję. Ash! Zerwał plomby i wcisnął przycisk awaryjny. Zamigotało czerwone światło, rozjęczała się syrena.

Dallas i Lambert zamarli ze zdumienia - drzwi drgnęły, zaczęły się otwierać.

Na mostku, na monitorze, przed którym siedziała Ripley, rozbłysły niewiarygodne słowa:

LUK WEWNĘTRZNY OTWARTY. LUK ZEWNĘTRZNY ZAMKNIĘTY.

Gapiała się w ekran, a w głowie znów miała kompletną pustkę. Wszystkie urządzenia potwierdzały to, co nieprawdopodobne.

Dallas i Lambert wyszli chwiejnie ze śluzy, podtrzymując bezwładnego Kane'a. Stanęli zaraz za progiem, w korytarzu. W tym samym momencie nadbiegli Parker i Brett.

Ash ruszył na pomoc, ale Dallas powstrzymał go gestem ręki.

- Nie, odsuń się.

Ułożyli Kane'a przy luku i zdjęli hełmy.

Trzymając się w bezpiecznej odległości, Ash obszedł skurczone ciało pierwszego oficera i ujrzał jego twarz.

- Jezu... - szepnął.

- To żyje - Parker podziwiał symetryczną budowę ciała obcego stworzenia. Symetria symetrią, a monstrum i tak wydało mu się obrzydliwe.

- Nie wiem, ale lepiej tego nie dotykaj - poradziła Lambert zdejmując buty.

- Masz to jak w banku. - Parker nachylił się i badał wzrokiem miejsce, gdzie twarz Kane'a ginęła pod ciałem gumowatego, pulsującego mięczaka. - Co to bydlę właściwie teraz robi?

- Nie mam pojęcia. Zabierzemy go na zabiegówkę i zobaczymy.

- Racja - zgodził się ochoczo Brett. - A wy? Wszystko w porządku?

Dallas skinął wolno głową.

- Jesteśmy tylko zmęczeni. Uważajcie na to ścierwo. Przez całą drogę ani drgnęło, ale uważajcie.

- Tak jest.

Główny inżynier i jego pomocnik wsunęli ręce pod pachy nieprzytomnego Kane'a i ostrożnie dźwignęli go z podłogi. Ash pomagał im, jak mógł.

6.

W izbie zabiegowej położyli Kane'a na długim stole operacyjnym ostrożnie i delikatnie. Ścianę za głową nieprzytomnego oficera zdobiły skomplikowane, specyficzne dla tego miejsca instrumenty i urządzenia. Stół wystawał ze ściany, z otworu o powierzchni około jednego metra kwadratowego.

Dallas włączył "automatycznego doktora." Podeszedł do jednej z szuflad i wyjął z niej niewielką błyszczącą rurkę z metalu. Sprawdził stopień koncentracji ładunku i stanął obok Kane'a. Koło kapitana czuwał Ash, gotów w każdej chwili spieszyć mu z pomocą. Lambert, Parker i Brett obserwowali ich z korytarza, zza grubej szyby.

Dallas dotknął przełącznika i z metalowej rurki trysnął krótki, oślepiający promień światła. Nie zmniejszając mocy laserowego noża, kapitan wyregulował go tak, że promień stał się krótki i wąski. Później dotknął nim podstawy hełmu Kane'a. W metalu ukazała się szczelina.

Dallas sunął nożem do góry, do szczytu hełmu, potem przeciął go z drugiej strony, łącznie z grubą spoiną uszczelniającą na szyi. Wyłączył laser. Chwycili z Ashem hełm i zdjęli go ostrożnie z głowy Kane'a. Zszedł gładko.

Ohydny stwór pulsował jak przedtem, równo, regularnie. Poza tym nie dawał żadnych oznak życia. Nie zareagował na brak hełmu, a co za tym idzie na brak bezpiecznej osłony.

Dallas zawahał się, dotknął go i jak oparzony cofnął rękę. Na dotyk dłoni monstrum również nie zareagowało. Kapitan znów wyciągnął rękę i położył ją na grzbiecie stworzenia. Jego skóra była sucha i zimna. Dallas wyczuł pod palcami obrzydliwy, pulsujący ruch i zrobiło mu się niedobrze. Nie cofnął jednak ręki. Kiedy zwierzę(?) nadal nie wykazywało reakcji obronnych, chwycił je i z całej siły pociągnął.

Bez rezultatu, zgodnie z oczekiwaniami. Zmorowate paskudztwo ani drgnęło.

- Może ja spróbuję.

Ash stał przy półce, gdzie trzymali zwykłe narzędzia. Wziął z niej grube szczypce i podeszedł do stołu. Zaciśnął je ostrożnie na ciele stworzenia i odchylił się do tyłu.

- Nic z tego. Spróbuj mocniej - rzucił Dallas z nadzieją w głosie.

Ash zaciśnął szczypce jeszcze mocniej i znów pociągnął, odchylając się w tył.

Dallas uniósł rękę w geście ostrzeżenia. Po policzku Kane'a spływała kropla krwi.

- Czekaj. Rozerwałeś mu skórę. Ash odłożył kleszcze.

- Nie ja. To bydlę mu ją rozerwało. Dallas wyglądał jak schorowany człowiek.

- Nie, nic z tego nie będzie. To paskudztwo nie zejdzie, prędzej zedrze mu twarz.

- Masz rację - zgodził się Ash. - Lepiej niech autodok się nim zajmie. Może będzie miał więcej szczęścia.

- Oby...

Ash pstryknął kilkoma przełącznikami. Autodok zabuczał, otwór w ścianie za głową Kane'a rozbłysnął jaskrawym światłem i wchłonął cały stół wraz z nieszczęsnym astronautą. Z góry opadła gruba przezroczysta szyba i odcięła Kane'a od reszty świata. Wewnątrz hermetycznej komory zapaliły się dodatkowe lampy, a na konsolcie stojącej obok Asha zamrugały dwa monitory. Naukowiec podszedł bliżej, żeby przeanalizować wyniki. Dzięki swej wiedzy był też kimś w rodzaju lekarza - nikt z załogi nie znał się na medycynie lepiej niż on - więc zdając sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nim ciążyła, chciał jak najszybciej przetrawić dane z autodoka i określić stan zdrowia Kane'a. Obcego stworzenia również.

Do trzech astronautów stojących w korytarzu podeszła Ripley. Lambert posłała jej długie, twarde spojrzenie.

- Chciałaś nas tam zostawić. Chciałaś zostawić Kane'a. Chciałaś, żebyśmy tam sterczeli przez dwadzieścia cztery godziny, w nocy, z tym potworem na twarzy naszego przyjaciela. - Mina, z jaką to mówiła, odzwierciedlała jej myśli lepiej niż słowa.

Parker, ostatnia osoba, po której Ripley oczekiwała pomocy, spojrzał wojowniczo na nawigatora.

- I może powinna była tak zrobić. Trzymała się przepisów i tyle. - Gestem ręki wskazał nieruchomego Kane'a za grubą szybą autodoka. - Kto u diabła może wiedzieć, co to tak naprawdę jest? Nikt. Kane jest trochę impulsywny, fakt, ale nie ułomek z niego ani nie dureń. A mimo to nie dał rady. Na nas też może przyjść kolej.

- Racja - poparł go, Brett.

Ripley patrzyła na nawigatora. Lambert wytrzymała jej spojrzenie, nie odwróciła głowy.

- Może popełniłam błąd. Może nie. Mam nadzieję, że tak. W każdym razie chciałam dobrze, wykonywałam swoje obowiązki. Zostawmy to teraz.

Lambert zawahała się, badając oczyma twarz koleżanki. Potem krótko skinęła głową.

Ripley westchnęła. Trochę jej ulżyło. - Co się stało we wraku? - zapytała.

Weszliśmy do środka - opowiadała Lambert patrząc, jak Dallas i Ash pracują przy autodoku.

Nie ma tam żadnych śladów życia. Ten sygnał musiał iść w eter od wieków. Znaleźliśmy nadajnik.

- Co z załogą statku?

- Nie wiadomo. Nie spotkaliśmy nikogo. - A... Kane?

Zgłosił się na ochotnika, żeby przeszukać dolny pokład. Poszedł sam. - Jej usta zadrżały.

Chciał znaleźć diamenty. Zamiast diamentów znalazł jakieś skórzaste jaja, pojemniki.. Ostrzegaliśmy go, żeby ich nie dotykał. Najwidoczniej za późno. Coś się tam musiało stać. Nie wiemy co, nie widzieliśmy. Kiedy go wyciągnęliśmy, miał to coś na twarzy. Przeżarło wizjer, a wiecie, z jakiego jest odpornego materiału.

- Ciekawe, skąd się tam wzięło? - Ripley nie odrywała wzroku od autodoka. - Planetoida jest opustoszała, martwa. Pewnie trafiło tu na pokładzie tego obcego statku...

- Bóg raczy wiedzieć - mruknął cicho Parker. - Też jestem ciekaw, skąd się wzięło.

- Dlaczego? - Ripley ledwie na niego zerknęła.

- Bo wtedy unikałbym tego miejsca jak ognia, dlatego. - Amen - podsumował Brett.

- Chciałbym wiedzieć, jak on do cholery oddycha? A może wcale nie oddycha? - pytał zaintrygowany Dallas.

Ash rzucił okiem na wskaźniki.

- Fizyczny stan organizmu Kane'a jest praktycznie bez zarzutu. Żyje i nic nie wskazuje na to, że coś z nim nie tak. A przecież kiedy wracaliście, miał odcięty dopływ normalnego powietrza, prawda? Kilka łyków metanu i azotu powinno było go natychmiast zabić. Zaraz po tym wypadku, we wraku. Autodok twierdzi, że on jest w śpiączce, i że poza tym wszystko w najlepszym porządku. Po takiej dawce trucizny robi się zwykle sekcję, a nie rutynowe badanie. Jak oddycha? Jeszcze nie wiem, ale krew jest w pełni .nasycona tlenem.

- Jakim cudem!? - Dallas pochylił się, zajrzał do autodoka. - Sprawdzalem, usta i nos ma jak zakneblowane.

Ash wcisnął trzy klawisze.

- Widzimy, jak przedstawia się sytuacja zewnętrzna powiedział. - Przeanalizujemy wewnętrzną.

Duży monitor na konsolcie zgasł, znów rozbłysnął, ostrość uległa poprawie. Ujrzeli kolorowy obraz wnętrza głowy i górnej części tułowia Kane'a: Dzięki znakomitej rozdzielczości ekranu widzieli krew płynącą regularnym strumieniem przez arterie i żyły, ruch płuc, bijące serce. Ale w tej chwili Dallasa i Asha bardziej

interesowała budowa wewnętrzna niewielkiego, okrągłego stworzenia przylegającego do twarzy Kane'a.

Nie jestem biologiem, ale czegoś tak zagmatwanego nigdy w życiu nie widziałem. Nigdy, w żadnym zwierzęciu. - Zdumiony Ash przyglądał się płataninie mniejszych i większych organów.

- Nie mam pojęcia, jakie funkcje spełnia połowa z tych wszystkich... części.

W środku też jest ohydny. Jak na zewnątrz skomentował kapitan i umilkł.

- Spójrz tylko na muskulaturę tych palców, ogona nalegał Ash. - Wyglądają bardzo delikatnie, ale to przecież pozory. Nic dziwnego, że nie mogliśmy go oderwać od głowy Kane'a. I nic dziwnego, że Kane nie dał rady. Przypuszczam, że próbował, zanim stracił przytomność.

Teraz już wiedzieli, jaką aktywność przejawia obcy stwór. Nie wiedzieli tylko, dlaczego akurat taką. Szczęki pierwszego oficera zostały rozwarte siłą. Z ciała monstrem wysuwała się długa, giętka rurka i wciskała w gardło Kane'a. Kończyła się w przetyku. Po prostu tkwiła tam, nie zauważyli, by drgała choć na milimetr.

Ten fragment obrazu napawał Dallasa największym obrzydzeniem.

Wsadziło mu coś do gardła. - Jego dłonie zaciskały się i rozwierały z morderczą regularnością. - Jak można coś takiego komuś zrobić? Jak? To nie fair, cholera, to walka nie fair.

Ash, to jest... o b l e ś n e !

- Nie wiemy, czy to stworzenie z Kane'em walczy, czy go atakuje. Nie wiemy nawet, czy w ogóle robi mu jakąś krzywdę. - Ash był zakłopotany swoją ignorancją. Z punktu widzenia medycyny Kane jest najzupełniej zdrowy. Tylko nie reaguje na bodźce zewnętrzne. Zdaję sobie sprawę, że w tej sytuacji zabrzmiał to idiotycznie, ale pomyśl chwilę. Może to stworzenie należy do gatunku jakichś dobrotliwych symbiontów? Może na swój specyficzny, niezrozumiały dla nas sposób zrobiło to, żeby Kane'owi pomóc?

Dallas parsknął nienaturalnym śmiechem.

- Lubi go! Tak go lubi, że nie chce puścić!

- Kane dostaje tlen właśnie tą... rurką. Na pewno. Ash sięgnął do pokrętła i wykadrował fragment obrazu, który zyskał na ostrości. Na ekranie ujrzeli teraz płuca Kane'a unoszące się i opadające w normalnym, spokojnym rytmie. Oficer oddychał bez widocznego wysiłku, chociaż w jego gardle tkwił ten obrzydliwy robak. Naukowiec przełączył monitor na plan ogólny.

- Jaki tlen? Skąd tlen? - dopytywał się Dallas. - Kane wracał z rozwalonym wizjerem, tak? To cholerstwo nie przyssało się przecież do zbiorników z powietrzem, więc w ciągu kilku pierwszych minut cały zapas musiał wyparować przez otwarty aparat oddechowy. No więc skąd ten tlen?

Ash zamyślił się.

- Widzę kilka możliwości. Atmosfera planetoidy zawiera cząsteczki wolnego tlenu. Niedużo, ale zawsze. No i jest tu sporo tlenu związanego z azotem w różne tlenki.

Monstrum nie ruszało się. Dallas musnął laserem jego suchą, zimną skórę, później zagłębił ostrze w ciało na dwa, trzy milimetry. Potężny promień nie napotkał żadnego oporu i z dziecinną łatwością wgryzł się w grzbiet stworzenia.

Obiekt tej wstępnej biopsji ani drgnął, nie wykazywał żadnej reakcji na ból wywołany cięciem. W otwartej ranie ujrzeli jakąś żółtawą ciecz. Ciecz zaczęła ściekać po gładkim ciele zwierzęcia.

- Krwawi - zauważył Ash z profesjonalną czujnością. Żółtawy strumyczek dotarł już do powierzchni stołu zabiegowego. Tuż obok głowy Kane'a wykwitł nagle obłoczek czegoś, co Dallas wziął w pierwszej chwili za parę wodną. Ale to nie była para, nie, tego gazu nie znali. Rozpoznali jednak znajomy syczący odgłos, jaki wydaje metal trawiony żrącym kwasem.

Kapitan wyłączył laser i wbił wzrok w skwierczącą plamkę. Syk siał się głośniejszy, jakby głębszy. Dallas zajrzał pod stół.

Płyn przeżarł już miękką wykładzinę izolującą i metalowy blat. Na podłodze, u stóp kapitana, rozpętało się miniaturowe piekło. Ciecz buzowała, skwierczała, syczała, zaczynała wgryzać się w pokład. Jego powierzchnia wrzała, kipiała, w powietrzu poczuł jakiś gaz. Gaz palił w gardle jak gaz łzawiący używany przez policję. Nie wywoływał znacznego bólu, ale drażnił śluzówki tak intensywnie, że aż nie do wytrzymania. Dallas wpadł w przerażenie na myśl o tym, co dzieje się teraz w jego płucach.

Z oczyma pełnymi łez, z kapiącym nosem próbował rozpaczliwie zamknąć ranę, ściskając jej brzegi palcami. Kilka kropel nieustannie wypływającej cieczy padło na rękawiczki. Z rękawiczek zaczął unosić się dym.

Ruszył nieprzeżytnie w stronę korytarza, zrywając je z rąk. Nie czekał, aż żrąca substancja przepali tworzywo i pozbawi go dłoni. Cisnął rękawiczki na pokład. Drobinę wciąż aktywnego kwasu upadły na metalowe płyty i znów usłyszeli znajomy syk.

Brett był przerażony, niemal wpadł w histerię.

- Kurwa! Przepali nam pokład! I kadłub! - Odwrócił się i puścił pędem w kierunku najbliższego wyjścia. Dallas zerwał ze ściany przenośną lampę i ruszył za nim. Pozostali za Dallasem.

W korytarzu "B" pod salą zabiegową było pełno przewodów, kabli i urządzeń. Brett już tam stał, zadzierając do góry głowę, wypatrując śladów koszarnej cieczy, która miała do pokonania kilka warstw twardego stopu.

Dallas podniósł lampę i zlustrował sufit. Natychmiast znalazł to, czego szukał.

- Tam! - zawołał.

Dym. Nad nimi. Na blachach poszycia ukazała się żółtawa plama. Zaskwierczało, zasyczało, metal ustąpił. Ciecz przesączyła się na wylot, uformowała kroplę. Kropla spadła tuż koło nich i w oparach drażniącego gazu kontynuowała swe niszczycielskie dzieło. Dallas i Brett byli bezradni. Stali i patrzyli, jak kwas przeżera podłogę korytarza "B".

- Co jest pod nami?

- Korytarz "C" - odpowiedział Parker. - Czysty, bez urządzeń i sprzętu.

Razem z Ripley rzucili się do wyjścia. Dallas, Brett, Lambert i Ash zostali na miejscu. Patrzyli na ziejącą w metalu dziurę.

- Może coś pod to podstawić?

Ash rozważał problem ze zwykłą sobie roztropnością i opanowaniem, chociaż dobrze wiedział, że za kilka minut kadłub Nostromo może zostać rozhermetyzowany. Oznaczało to konieczność zamknięcia wszystkich grodzi do czasu naprawy uszkodzeń. Mogło też być znacznie gorzej. Wzdłuż kadłuba biegło dużo przewodów niezmiernie istotnych dla podtrzymywania najżywniejszych funkcji całego statku, funkcji najistotniejszych, związanych z atomowym napędem Nostromo. Gdyby ciecz je zniszczyła, uszkodzenia mogły okazać się zbyt poważne, aby Parker i Brett zdołali je naprawić. Większość obwodów napędowych skonstruowano tak, że stanowiły integralną część statku. Remont w przestrzeni kosmicznej, w stanie nieważkości, nie wchodził w rachubę. Nie wiedzieli, co podstawić pod kapiącą z sufitu ciecz. Nikomu nic nie przychodziło do głowy.

Parker i Ripley szli ostrożnie ciemniejszym i węższym korytarzem „C”.

Całą uwagę skupiali na suficie.

- Tylko pod to nie wejdź - ostrzegał Parker. - Jeśli takie paskudztwo potrafi zeżreć kilka warstw najtwardszego stopu, wolę nie myśleć, co by zrobiło z twoją piękną twarzą.

- Nie martw się o moją twarz. Sama o nią zadbam. Lepiej pilnuj swojej.

- Chyba traci aktywność... - Dallas przyglądał się dziurze, tłumiąc w sobie isierkę nadziei.

Brett i Ash kucnęli naprzeciwko. Ash wyszperał w kieszeni niewielki stalowy rylec i wsunął go w otwór. Metal zasyczał cicho, zabulgotał niechętnie i zewnętrzna warstwa lśniącej stali zmieniła się w coś, co przypominało brudną rtęć. Ale syk ustał, a rylec nadal był rylcem i stracił tylko połysk. Ash znów pogrzebał w dziurze. Rylec nie przeszedł na wylot, napotkał opór.

- Wchodzi w pokład na jakieś trzy centymetry. Ciecz straciła właściwości żrące.

Pod nimi, w mdłym świetle korytarza "C", Parker zerknął na towarzyszącą mu koleżankę.

- Widzisz coś?

Obserwowali sufit. Pod podłogą był już tylko ciasny dukt serwisowy, potem blachy kadłuba, a dalej... Dalej była bezlitosna pustka i śmierć.

- Nie - odrzekła w końcu. - Zostań tu i uważaj. Sprawdzę, co się dzieje na górze.

- Popędziła w stronę schodów.

Wbiegła na pokład "B" i natychmiast ujrzała pozostałych członków załogi. Wszyscy siedzieli w kucki dookoła wypalonej dziury.

- Co się stało? - zapytała. - Na dole nic nie widać. - Chyba straciła parę... - Ash ukląkł, żeby zajrzeć w otwór. - Długotrwała reakcja chemiczna musiała osłabić jej aktywność. Albo po określonym czasie traci po prostu moc... Tak czy inaczej, już nam chyba nie zagraża.

Ripley podeszła bliżej. Chciała sprawdzić rzecz osobiście. - Czy to możliwe, żeby wewnętrzne warstwy pokładu były odporniejsze niż zewnętrzne? Może to świństwo zżera teraz pokład od środka? Może się w nim rozplywa na wszystkie strony w poszukiwaniu jakiegoś słabszego punktu? A jak go znajdzie, znów pójdzie w dół, co?

Ash pokręcił przecząco głową.

- Nie sądzę. Z tego, co pamiętam, pokłady główne i kadłub Nostromo są zbudowane z tego samego materiału. Nie, myślę, że ciecz nie jest już niebezpieczna.

Wyjął z dziury rylec i trzymając go za nie uszkodzony koniec, chciał schować narzędzie do kieszeni. W ostatniej chwili zmienił zdanie i rylec zwiśł mu luźno między palcami.

Ripley zauważyła wahanie naukowca i uśmiechnęła się zjadliwie.

- Jeśli nie jest niebezpieczna, to dlaczego nie włożysz go do kieszeni?

- Niepotrzebna brawura, Ripley. Będzie na nią czas później, kiedy zrobię testy i przekonam się ostatecznie, czy mam rację. Bo to, że ciecz nie wżera się już w pokład, nie znaczy wcale, że nie może człowieka zdrowo poparzyć.

- Jak myślisz, co to jest? - Dallas oderwał wzrok od maleńkiej dziury u swych stóp i spojrzał na sufit. - Nie znam żadnej substancji, która skorodowałaby stop kadłubowy o tak wielkiej odporności. Owszem, istnieją pewne kwasy, ale działają bez porównania wolniej, dużo wolniej.

- Ja też nic takiego gnie widziałem - wyznał naukowiec. - Niektóre odmiany kwasów molekularnych są piekielnie żrące, ale z reguły działają tylko na określone materiały, nie dadzą się stosować jak leci. Wygląda na to, że ta substancja jest korodantem uniwersalnym. Widzieliśmy, że z nieprawdopodobną łatwością, albo obojętnością, jak wolisz, niszczy najróżniejsze materiały: stop kadłubowy,

rękawice chirurgiczne, stół zabiegowy, wyściółkę izolacyjną. Zżarła wszystko, z jednakową szybkością.

- I to jest jego krew? Niezły numer z tego pieprzonego potworka. - Brett powiedział to z respektem, chociaż czuł do stworzenia głęboką odrazę.

- Nie wiemy na pewno, czy to jego krew. - Pod naporem wydarzeń umysł Asha wyrabiał nadgodziny. - Niewykluczone, że to jeden z płynów ustrojowych, którym przesycony jest cały organizm stworzenia. Może też wypełniać tylko jedną warstwę, warstwę ochronną, i stanowić coś w rodzaju płynnego śródbłonka. A może to po prostu odpowiednik naszej limfy? Nie wiem.

- Wspaniały system obronny, nie ma co - przyznał Dallas. - Zabić tego się nie da. Nikt się nie odważy.

- Przynajmniej nie na pokładzie zahermetyzowanego statku. - Ripley poczyniła bardzo cenne spostrzeżenie. - Zgoda - odparł Ash. - Moglibyśmy wynieść Kane'a na zewnątrz, umieścić go z dala od burty Nostromo i odciąć stworzenie od jego twarzy. Zapomniałaś tylko o tym, czego jesteśmy prawie pewni, że to coś utrzymuje Kane'a przy życiu.

- Gdybyśmy je odcięli i wyrwali z ust Kane'a tę obrzydliwą rurę, natychmiast podalibyśmy mu tlen. - Ripley nie ustępowała. - Że zimno? Przecież można go termicznie izolować. Mało tego, możemy nawet ustawić tam namiot tlenowy uszczelniony od spodu. I niech to paskudztwo kapie sobie na skałę.

- Dobry pomysł - przyznał Ash. - Ale prawdę mówiąc nie do końca.

Ripley czekała niecierpliwie.

- Po pierwsze - mówił naukowiec - jak już uzgodniliśmy, odcięcie stworzenia od twarzy Kane'a zakończyłoby się przerwaniem akcji podtrzymującej jego życie. Szok by Kane'a zabił. Po drugie, nie mamy gwarancji, że pod wpływem znacznie większego bólu operacyjnego stworzenie nie rozpyli tej cieczy na siebie i na wszystko, co znajdzie się w zasięgu strumienia. Byłaby to reakcja wykorzystująca w naturalny sposób obronne i niszczycielskie cechy tego płynu. - Urwał i odczekał moment, aż horrendalny obraz zdominuje umysły słuchaczy. - Nawet jeśli prowadzący operację jakimś cudem ujdzie cało, nie chciałbym brać na siebie odpowiedzialności za wygląd twarzy Kane'a. Albo jego głowy.

- No dobra - zgodziła się niechętnie Ripley. - Może to i nie był genialny pomysł. Jakie rozwiązanie ty proponujesz? - Pokazała kciukiem sufit; stali pod izbą zabiegową. - Chcesz go wlec z tym czymś do domu? Ma cały czas siedzieć mu na twarzy?

- Nie widzę w tym żadnego niebezpieczeństwa. - Sarkazm, z jakim Ripley wypowiedziała swoją kwestię, zdawał się nie robić na Ashu żadnego wrażenia. - Jeśli organizm Kane'a będzie funkcjonował normalnie, uważam, że należy taką możliwość wziąć pod uwagę. Oczywiście, jeżeli dojdzie do jakichś zakłóceń w

symbiozie, będziemy musieli spróbować czegoś innego. Ale w obecnej sytuacji twierdzę, że usunięcie stworzenia siłą przyniesie Kane'owi więcej szkody niż pożytku.

Na szczycie schodów wiodących do wyjścia stanął Parker.

- Ciągłe nic, ani śladu tego świństwa - zameldował. - Już nie cieknie? - Inżynier spojrzał na posępną Ripley, później na Dallasa.

- Już nie. Przeżarło dwa pokłady i zdechło. - Kapitan był wciąż pod wrażeniem niebywalej mocy tajemniczego kwasu.

Ripley ocknęła się w końcu i rozejrzała wokoło.

- Wszyscy tutaj? A co z Kane'em? Nikt go nie pilnuje? Ani jego, ani tego... potwora?

Rzucili się do schodów.

Do izby zabiegowej pierwszy wpadł Dallas. Jeden szybki rzut oka i już wiedział, że nic się tam nie zmieniło. Kane leżał nieruchomo na stole, jak go zostawili. Na jego twarzy nadal tkwił obcy organizm.

Kapitan był na siebie zły. Zachował się jak głupi szczeniak. Ta cholerna ciecz pokazała, co potrafi, fakt. Zadziałała nieoczekiwanie, też fakt. Ale to nie usprawiedliwiało histerycznej paniki, w jaką wpadli. Powinien był zostawić w izbie zabiegowej jednego, dwóch członków załogi, żeby obserwowali to niebezpieczne bydlę.

Na szczęście w czasie ich nieobecności nie zaszło nic groźnego. Stwór nie zmienił pozycji, Kane również - tak przynajmniej wyglądało. Od tej chwili, bez względu na okoliczności, w izbie zabiegowej czuwać będą straż. Sytuacja stała się na tyle poważna, że obcy nie mógł pozostać bez nadzoru. Ani przez chwilę.

- Poparzyło go? - Parker stał przy drzwiach i wyciągał szyję, żeby zobaczyć Kane'a.

Dallas podszedł do stołu i dokładnie obejrzał głowę pierwszego oficera.

- Nie, chyba nie. Nic mu się nie stało. Ciecz spłynęła bokiem, po skórze tego tu. Kane'a nie tknęła.

W drzwi wcisnął się Brett.

- Czy to paskudztwo ciągle krwawi? W magazynie, na dole, mamy takie tworzywo ceramiczne. Odporne jak diabli, na wszystko. Nie wiem, co to za świństwo, ale możemy spróbować, nie? Jak by co, sklecę prymitywny pojemnik i po krzyku.

- Zostaw, nie trzeba. Już nie cieknie - odparł kapitan.

Ash oglądał fragment skóry stworzenia, który Dallas naciął laserem.

- Zagoiło się. Ani śladu rany. Niezwykłe zdolności regeneracyjne. Skóra jak nowa...

- Musi istnieć jakiś sposób, żeby zerwać je z Kane'a. Lambert wstrząsnęły dreszcze. - Niedobrze mi się robi, jak na to patrzę. Ta rura w gardle, to ohydne cielsko...

- Gdybyś leżała na jego miejscu, byłoby ci znacznie gorzej - szydziła Ripley.

Lambert zachowała chłodny dystans. - Ha-ha-ha. Ale śmieszne.

- Kapitanie, jeszcze raz powtarzam, że powinniśmy zaprzestać dalszych prób - oznajmił Ash nie patrząc na Dallasa. - Próbowaliśmy i nic dobrego z tego nie wyszło.

Dallas spojrział na niego ostro, ale natychmiast złagodniał. Ash był tylko obiektywny, jak zwykle. Sarkazm nie leżał w naturze Asha.

- No to co robimy? - dopytywała się Lambert.

- Nic - odparł kapitan po chwili milczenia. - Nic, bo nic nie możemy zrobić. Próbowaliśmy i, jak słusznie zauważył Ash, omal nie zapłaciliśmy za to rozhermetyzowaniem kadłuba. Dlatego... Dlatego umieścimy Kane'a w autodoku. Umieścimy go tam, a niewykluczone, że maszyna wymyśli coś mądrzejszego.

Wcisnął klawisz. Ciche buczenie i stół wraz z ciałem pierwszego oficera zniknął za przezroczystą szybą. Kapitan włączył podgląd i na monitorach znów pojawił się obraz wewnętrznych organów nieprzytomnego Kane'a opatrzonego diagramami i wykresami. Ani diagramy, ani wykresy nie wносиły nic nowego, nie proponowały żadnych nowych rozwiązań.

Ash zestrzął urządzenia wspomagające.

- Funkcje cieleśne bez zmian - oznajmił. - Ale pojawiły się oznaki degeneracji i rozpadu tkanki.

- Więc jednak to monstrum robi mu krzywdę - skonstatowała Lambert.

- Niekoniecznie. Od pewnego czasu Kane nic nie jadł, ani nie pił. Analizą może odzwierciedlać naturalny spadek wagi ciała. Nic nie wskazuje na to, że nastąpiło krytyczne osłabienie organizmu wywołane okolicznościami czy symbiozą z obcym stworzeniem. Niemniej trzeba zadbać o jego stan fizyczny. Podłączę go do kroplówki, dostanie glukozę. Kiedy sprawdzę, czy obcy symbiont absorbuje białko, wstrzyknę mu coś bardziej pożywnego.

Uruchomił system sztucznego odżywiania i w izbie zabrzmiały nowe odgłosy. Autodok zaczął dokarmiać bezradnego Kane'a i przerabiać produkty przemiany materii.

- Co to jest? Ripley wskazywała fragment przesuwającego się wolno obrazu. - Ta plama na płucach.

- Nie widzę tu żadnej "plamy". Dallas zmrużył oczy.

- Chyba wiem, o co jej chodzi. Ash, powiększ maksymalnie układ oddechowy.

Naukowiec wykonał polecenie. Plama, którą zauważyła Ripley, stała się wyraźniejsza, ostrzejsza. Była czarna, nieregularna, zalegała klatkę piersiową Kane'a.

- Nie wiadomo, czy to na jego płucach. - Ash regulował skaner. - Równie dobrze skaner może nawalać. Albo soczewka... Tak, promieniowanie mogło uszkodzić część soczewki. To się często zdarza.

- Daj większą moc - zażądał Dallas. - Spróbujmy wyregulować ostrość obrazu.

Ash sięgnął do przełączników i potencjometrów, ale jego starania nie przyniosły żadnych rezultatów. Czarna, nieregularna plama niewiadomego pochodzenia pozostała czarną, nieregularną plamą.

- To maksymalna moc, jaką Kane jest w stanie znieść bez uszczerbku dla zdrowia, kapitanie. Promieniowanie. - Tak, wiem... - Dallas patrzył na tajemniczą plamę

na płucach pierwszego oficera. - Jeśli zaczniesz naprawiać teraz skaner, nie będziemy widzieli, co się u diabła tam dzieje. - Wskazał ekran.

- Szybko się z tym uporam - zapewniał Ash. - Myślę, że wystarczy po prostu przeczyścić soczewkę.

- Ale na ten czas stracimy kontrolę nad sytuacją.

- Nie mogę oczyścić soczewki bez rozmontowania skanera - odparł przepraszająco naukowiec.

- Nie, w takim razie zostaw to, jak jest. Jeśli urośnie i zacznie zasłaniać nam obraz, rozmontujesz obiektyw.

- Tak jest. - Ash wrócił do swoich monitorów i wykresów.

Brett był sfrustrowany i najwyraźniej nie wiedział, co z sobą zrobić.

- I co teraz, hę? Siedzimy i czekamy?

Nie - rzekł Dallas przypominając sobie, że poza Kane'em musi jeszcze troszczyć się o statek.

M y siedzimy i czekamy, w y wracacie do roboty.

7.

- No i jak?

Spocony Parker pochylał się tuż koło Brett, który usiłował posklecać delikatne łącza w ciasnym duku modułu dwunastego. Planowali wykonać pracę, którą w normalnych warunkach wykonywali z pomocą automatycznie sterowanych czujników i komputera wspomagającego detektor. Ponieważ nie mieli ani detektora, ani sprzężonego z nim komputera, musieli sobie radzić tym, co znaleźli w magazynach siłowni.

Bezsensowne narzędzia do bezsensownej roboty... myślał wściekły Parker. Nie ma wyboru, muszę to jakoś naprawić. Jeśli nie wyremontują modułu dwunastego, jeśli "dwunastka" nie "chwyci", podczas startu będą mieli nielichą zabawę. Lepiej o tym teraz nie myśleć. Żeby tylko się stąd wyrwać, żeby czym prędzej uciec z tej koszarnej planetoidy... Parkera ogarnęła taka determinacja, że gdyby musiał, wymieniałby zniszczone części nawet zębami.

Ale teraz z oporną elektroniką walczył Brett. Podobnie jak wszystkie inne systemy na statku, moduł dwunasty zawierał fabrycznie, zapieczętowane części zamienne mocowane na zatrzask. Cała sztuczka polegała na tym, że należało usunąć zniszczone obwody, nie uszkadzając przy tym innych elementów, delikatnych i niezwykle istotnych dla funkcjonowania głównego napędu. Nowe części będą pasowały, o to się nie martwili. Ale wpierw musieli oczyścić cały moduł ze zwęglonego śmiecia.

- Chyba mam... - mruknął w końcu Brett. - Spróbuj teraz.

Parker wypełznął z dukt, sięgnął do konsoli, wcisnął dwa klawisze i spojrzał z nadzieją na ekran przenośnego monitora. Nic. Spróbował jeszcze raz. Znow nic. Ekran był ciemny, z głośników syczała się błoga cisza.

- Guzik.

- Jasny gwint! Byłem pewien, że trafiłem.

- Nie trafiłeś. Sprawdź następne. Wiem, wszystkie wyglądają cacy, oprócz czterdziestki trójki, ale czterdziestkę trójkę już wymieniliśmy. W tym cały kłopot z tymi pieprzonymi ogniwo. Jak jest przeładowanie i któreś się sfajczy, musisz, bracie, włożyć do środka i szukać tego, które nie trzyma próżni, ot co. - Umilkł na chwilę i dodał: - Szkoda, że nie mamy czujnika, kurczę, no...

- Szkoda.

Z głębi dukt dobiegł odgłos, jaki wydaje metal trący o plastik.

- Sprawdź następne. To będzie następne, zaraz obok - rzucił pocieszająco Parker. - Nie musimy oglądać każdego ogniwa, do cholery. Matka powiedziała, że to ten sektor, żaden inny. Dzięki ci, Panie, i za to.

- Podziękuję Mu, kiedy pryśniemy z tej skały i wleziemy do hibernatorów - odparł Brett.

- Ciągłe myślisz o Kane'ie? Lepiej nie myśl. - Znów wcisnął klawisze na konsolce. - Pudło. Dawaj następne.

Brett umieścił ogniwo w odpowiednim gnieździe i zajął się kolejnym.

Parker sprawdził położenie kilku dźwigni i ostrożnie je przesunął. Może w ten sposób uda mu się zmniejszyć obszar poszukiwań? Moduł dwunasty zawierał dokładnie sto mikroskopijnych ogniw akceleratora cząsteczek. Myśl, że aby znaleźć wadliwe, muszą ręcznie przetestować każde z nich, doprowadzała go do prawdziwej furii.

Odezwał się głośnik. Ripley. Na gorszy moment nie mogła trafić.

- Co słysząc? - spytała.

Znów ta głupia krowa, pomyślał Parker. Ani chwili spokoju.

- Nic nie słysząc. Co ma być słysząc? Bretta słysząc. Siedzi w duki - mruknął i poza zasięgiem mikrofonu dorzucił coś, czego Ripley nie zrozumiała. - Nie zwracaj na nią uwagi. .

- Racja.

- Że co? - dopytywała się Ripley. - Nie słyszę. Parker podszedł bliżej mikrofonu i dał pełne wzmocnienie.

- Wiesz co słysząc? Odgłosy pracy tu słysząc, odgłosy ciężkiej harówki. Powinnaś kiedyś zejść do siłowni i sama tego miodu spróbować, panienko.

Odpowiedziała natychmiast, z opanowaniem w głosie. - Wiesz co, Parker? To ja mam najcięższą harówkę na tym statku, nie ty.

Główny inżynier parsknął ironicznym śmiechem.

- A wiesz dlaczego? Bo muszę wysłuchiwać twojego pieprzenia.

- Odpalantuj się, jak pragnę zdrowia.

- Odpalantuję się, kiedy naprawisz moduł dwunasty, nie wcześniej, kapewu? - W głośniku trzasnęło i Ripley rozłączyła się, nim Parker zdążył zripostować.

- Znów skaczecie sobie do oczu? - Brett wychylił głowę z duktu.

- Nieee... Złotousta dziwka z niej i tyle.

- Racja. - Brett badał niepewnie świeżo otwarte ogniwo. - Spróbuj teraz.

Parker wcisnął klawisze, rzucił okiem na ekran i wyobrażając sobie, że zamiast monitora stoi przed nim pewna pani sierżant z Nostromo, miał wielką chęć grzmotnąć w pudło pięścią. Rzecz jasna, tak melodramatyczny gest nie leżał w naturze głównego inżyniera, nie. Parker był człowiekiem impulsywnym, fakt, ale jednocześnie rozsądnym na tyle, by zdawać sobie sprawę z tego, że bez monitora się nie obejdzie. I bez Ripley.

Ash przeprowadzał kolejną serię testów, które dostarczały coraz to nowej wiedzy o stanie organizmu Kane'a. Żaden z nich nie był szczególnie ważny, lecz naukowiec tkwił przed konsolą jak zahipnotyzowany.

Każdy, kto zechciał wejść do izby zabiegowej i zerknąć na ekran główny, mógł natychmiast sprawdzić, co dzieje się w ciele nieprzytomnego oficera. Niestety, sam Kane nie był w stanie zaprotestować przeciwko tak brutalnemu wtargnięciu w najprywatniejsze i najintymniejsze sfery jego życia.

Do izby weszła Ripley. Zerknęła na wskaźniki. Od czasu, kiedy widziała Kane'a ostatnim razem, jego stan nie uległ zmianie. Wcale tego nie oczekiwała. Przebrzydły stwór nadal obejmował mu twarz.

Spojrzała na wykresy i diagramy, a później usiadła na wolnym krześle obok Asha. Powitał ją nikłym uśmiechem i znów zajął się testami.

- Robię nowe badania - rzucił. - Na wszelki wypadek.
- Na jaki wypadek?
- Żebym to ja wiedział. Chcę być gotowy, jeśli coś się zacznie dziać.
- Co z nim?
- Z Kane'em? - Ash uporządkował myśli. - Bez zmian, wszystko w normie. Nie, nawet lepiej. Przybyło mu sił. Teraz mu się już nie pogorszy.

- Dowiedziałeś się czegoś nowego o tym paskudztwie na jego twarzy? Wiemy, że zamiast krwi ma kwas i że potrafi błyskawicznie zasklepić swoje rany. Odkryłeś coś jeszcze?

- Jak już wspomniałem, przeprowadzam badania. Ash był z siebie bardzo zadowolony. - Ponieważ dla Kane'a nic nie możemy w tej chwili zrobić, pomyślałem sobie, że niegłupio by było dowiedzieć się czegoś więcej o tym stworzeniu. Bo nigdy nie wiadomo. Jakiś pozornie mało istotny drobiazg może podsunąć nam rozwiązanie problemu i uwolnimy Kane'a.

- Masz rację. - Ripley poruszyła się niecierpliwie. No i?

- Jego warstwa zewnętrzna zbudowana jest chyba z polioz, proteinowych polioz. Na to przynajmniej wygląda. Bez próbki trudno przeprowadzić szczegółową analizę, a pobrać próbki nie mogę ze względu na tę żrącą ciecz. Zniszczyłbym autodoka, takie ryzyko się nie opłaca.

- Fakt - potwierdziła beznamyślnie. - W obecnej sytuacji autodok to dla Kane'a jedyna szansa.

- Właśnie. Ale do rzeczy. Wygląda na to, że w drugiej, wewnętrznej warstwie skórnej tkanka stworzenia ulega ciągłej odnowie. Tworzą się tam części martwicze, a w ich miejsce rosną nowe komórki. Te komórki to spolaryzowane krzemiany pochodzenia organicznego, rozumiesz? Jego skóra ma dwie warstwy, a

między nimi krąży ten kwas. W dodatku krąży pod dość wysokim ciśnieniem. Dobrze, że Dallas nie ciął zbyt głęboko. Zbryzgałoby nam całą izbę.

Ash osiągnął zamierzony efekt - Ripley była pod wrażeniem.

- Warstwa krzemianów ma nieprawdopodobnie zwartą strukturę - mówił dalej. - Niewykluczone, że oparłaby się nawet laserowi. Wiem, wiem. - Pochwycił jej niedowierzające spojrzenie. - To brzmi jak herezja, ale w życiu nie widziałem równie twardego materiału organicznego. Sposób ułożenia komórek i substancja, z jakiej są zbudowane, zaprzeczają wszystkiemu, co głosi nasza biologia. Weźmy na przykład te krzemiany. Wyobraź sobie, że spoina międzykomórkowa jest z jakiegoś metalu. I dlatego to stworzenie wykazuje taką odporność na najcięższe warunki środowiskowe.

- A poza tym? Znalazłeś coś jeszcze?

- Nadal nie mam zielonego pojęcia, czym ten stwór oddycha, a nawet czy w ogóle oddycha. W naszym rozumieniu oddychanie to oddychanie, a wokół niego atmosfera zdaje się nie zmieniać składu, więc jakby nie oddychał. Może absorbuje niezbędne gazy przez pory w zewnętrznej warstwie skóry? Nie wiem. Na pewno nie ma czegoś takiego jak nozdrza. Jako żywa fabryka chemiczna przewyższa efektywnością wszystko, o czym kiedykolwiek słyszałem. Niektóre z jego organów chyba w ogóle nie funkcjonują, podczas gdy inne robią coś kompletnie dla mnie niezrozumiałego. Całkiem możliwe, że te pozornie do niczego nieprzydatne spełniają funkcje obronne. Dowiemy się, jeśli będziemy musieli naszego gościa sprowokować do działania. - Podniósł wzrok znad konsoli i spojrzał na nią wyczekująco. - Wystarczy?

- Aż za dużo.

Nie powinni byli wносить Kane'a na statek... należało go zostawić na zewnątrz, Kane'a i owo bydlę. To Ash za to odpowiada, Ash ich wpuścił.

Zerknęła ukradkiem na naukowca. Ash pracował. Gromadził potrzebne dane, odrzucał nieprzydatne. Był ostatnim członkiem załogi, którego mogłaby podejrzewać o tak dramatyczny gest, a jednak to właśnie Ash podjął nagłą decyzję i wbrew obowiązującemu regulaminowi wpuścił grupę Dallasa na statek.

Poprawka. Oprócz Asha regulamin chcieli złamać również Dallas i Lambert, bo domagali się natychmiastowego otwarcia wewnętrznej śluzy, Chodziło im o Kane'a, o jego życie. A co by było, gdyby Ash jej posłuchał i zostawił tych troje na zewnątrz? Czy Kane by jeszcze żył? Czy byłby tylko krótkim zapiskiem w dzienniku pokładowym? Urodził się tu i tu, zmarł w takich to a w takich okolicznościach. Koniec. Kropka. Jego śmierć uprościłaby przynajmniej jedno: Ripley nie musiałaby się przed nim tłumaczyć, dlaczego podjęła taką, nie inną decyzję.

Ash wyczuł na sobie wzrok Ripley i spojrzał na nią z niepokojem w oczach.

- Coś się stało?

- Nie, nic. - Poprawiła się na krześle, usiadła prosto. - Wiesz co? Zrób takie małe podsumowanie. Wyobraź sobie, że tłumaczysz to kompletnemu analfabecie, jakim się czasami czuję! Co to wszystko znaczy, Ash? Jakie płyną z tego wnioski?

- Nietypowa kombinacja struktury oraz elementów, z jakich to stworzenie jest zbudowane, sprawia, że środki, którymi w obecnej chwili dysponujemy, są kompletnie nieskuteczne. Ten stwór jest nie do pokonania.

Ripley skinęła głową.

- Dokładnie tak to zrozumiałam. Jeśli rezultaty twoich badań są rzetelne.

Ash poczuł się dotknięty.

- Przepraszam, zgoda, ten stwór jest nie do pokonania. - Obserwowała jego twarz. - To dlatego podjąłeś taką decyzję? Dlatego go tu wpuściłeś?

Ash nie dał się podpuścić. Podpuścić Asha? Rzecz niewykonalna.

- Wypełniałem rozkazy kapitana. Nie pamiętasz? Nie był ani urażony, ani obrażony.

Ripley omal nie wrzasnęła. Z trudem zapanowała nad nerwami wiedząc, że niczego krzykiem nie osiągnie, że do naukowca można tracić jedynie rozsądkiem i logiką.

- Kiedy Dallas i Kane są poza statkiem - powiedziała - ja przejmuję dowodzenie. I dowodzę Nostromo do chwili, kiedy jeden albo drugi postawi nogę na pokładzie.

- Tak, oczywiście. Zapomniałem o tym. Emocje, nerwy...

- Ucho od śledzia, Ash - oświadczyła spokojnie. Naukowiec nie odrywał oczu od konsoli.

- Przez nerwy i emocje nigdy dotąd niczego nie zapomniałeś - dokończyła.

Tu go miała. Obrócił się do niej i powiedział:

- Myślisz, że znasz mnie na wylot, co? Wszyscy tak myślicie. Jesteście pewni, że Ash to po prostu Ash, a wiadomo, jaki jest Ash. No to coś ci powiem, Ripley. Kiedy otwierałem służbę, wiedziałem, co robię, tak. Ale naprawdę nie pamiętałem o tym, kto tu dowodzi, kiedy i w jakich okolicznościach. Wyobraź sobie, że moja pamięć jest czasami zawodna. Pod tym względem nie różnię się od innych. Nawet Matka ze swoją mechaniczną pamięcią potrafi czasami zgubić jakąś informację.

Zawodna pamięć... zastanawiała się Ripley. Zawodna, ale wybiórczo zawodna. A jeśli mimo wszystko Ash mówi prawdę? Muszę na przyszłość uważać, myślała. Bóg wie, ilu z nich zdążyłam już do siebie zrazić. Parker i Brett chętnie poderznęliby mi gardło, a za chwilę robi to Ash.

Ale słowa naukowca nie uspiły jej podejrzeń. Wolałaby już, żeby Ash na nią krzyknął.

- Zapomniałeś też o czymś, co każdemu astronautcie zaczynają wbijać do głowy już w szkółce lotniczej. Zapomniałeś o konieczności przestrzegania podstawowego, fundamentalnego nakazu: nakazu kwarantanny.

- Nie zapomniałem.

Nareszcie! Ripley nie wierzyła własnym uszom.

- O tym nie zapomniałem - powtórzył.

- Rozumiem... - Dla większego efektu zawiesiła głos. - Po prostu świadomie ten nakaz złamałeś, tak?

- Pewnie sądzisz, że łatwo mi to przyszło. Nie. I nie przypuszczałem wtedy, że mój czyn pociągnie za sobą takie konsekwencje.

- No nie, Ash, w to nie uwierzę! - I znów nie dał się sprowokować.

- Nie chciałem tego, ale z drugiej strony nie widziałem innego wyjścia - powiedział cicho. - Bo co byś zrobiła z Kane'em? Wydawało się, że jedyną szansą utrzymania go przy życiu jest natychmiastowa interwencja autodoka. W tej chwili nic mu nie zagraża, jego stan ustabilizował się. Skłonny jestem twierdzić, że to zasługa autodoka, jego szybkiej reakcji, wczesnego zastosowania antyseptyków i sztucznego odżywiania.

- Sam sobie zaprzeczasz, Ash. Przed chwilą mówiłeś, że to ten stwór utrzymuje Kane'a przy życiu, nie autodok.

- Rzeczywiście, wydaje się, że symbiont ma w tym swój udział, ale nie zapominaj, że symbioza zachodzi w atmosferze i środowisku Kane'a. Nie wiemy, jak by zareagował, gdybyśmy zostawili go na zewnątrz statku. Tutaj, na miejscu, możemy go nieustannie obserwować i wkroczyć do akcji, jeśli zacznie demonstrować zachowania agresywne. Gdyby przebywali za burzą, nie mielibyśmy szans. - Przestał mówić, nacisnął jakiś przycisk, zerknął na odczyt. Poza tym otrzymałem bezpośredni rozkaz.

- Chcesz powiedzieć, że bez względu na sytuację będziesz słuchał Dallasa, nie mnie?

- Chcę powiedzieć, że kapitan to kapitan, i fakt, że jest o metr za ścianą, a nie w środku, nie ma dla mnie znaczenia. Wykonałem jego rozkaz.

Ripley była wściekła, na siebie i na Asha. Odwróciła oczy.

- Łamiąc nakaz kwarantanny naraziłeś na śmierć nie tylko Kane'a. Teraz wszyscy jesteście zagrożeni.

Naukowiec wystukał na klawiaturze pytanie do komputera i w milczeniu przyglądał się odpowiedzi.

- Sądzisz, że decyzja przyszła mi łatwo? - spytał, nie odrywając wzroku od ekranu. - O kwarantannie i o postępowaniu wobec obcych form życia wiem pewnie

dużo więcej niż ty. Na jednej szali umieściłem wiedzę, na drugiej życie człowieka. Może powinienem był pozwolić mu tam umrzeć, może naraziłem na niebezpieczeństwo całą załogę. Wiem jedno. Ci, co ustalają te drobiazgowo regulaminy i przepisy, wymyślają je w domowym zaciszu, siedząc w kapciach przed kominkiem. Sami nigdy nie musieli ich stosować, nigdy nie byli tam, gdzie te ich przepisy mają obowiązywać. W takich chwilach trzeba kierować się sumieniem, uczuciami. Tak właśnie postąpiłem. Jak dotąd symbiont nie zareagował wrogo wobec nikogo z nas. Jeżeli zareaguje, będzie miał do czynienia nie z jednym człowiekiem, zagubionym i bezradnym w przepastnym wraku obcego statku, a z grupą sześciu zdeterminowanych członków załogi Nostromo. Jedna szansa więcej dla Kane'a. - Jego palce znów zatańczyły po klawiaturze.

- Nie kwestionuję twoich uczuć, Ash. - Ripley pochyliła się i wstała. - Twierdzę tylko, że nie masz żadnego prawa narzucać ich nam wszystkim. Może nie chcemy podejmować takiego ryzyka.

- Teraz to nieważne. Kane jest na pokładzie, żywy. Takie są realia i właśnie one dadzą początek temu, co ewentualnie nastąpi. Przeszłość nie ma już znaczenia.

- Więc takie jest twoje oficjalne stanowisko, Ash? Stanowisko oficera odpowiedzialnego za sprawy naukowe? Jakoś to do ciebie nie pasuje.

- Powtarzasz się, Ripley. Dlaczego? Żeby mnie sprowokować? Opisałem wszystko w dzienniku pokładowym.

Sam, dobrowolnie. Podporządkuję się każdej decyzji, jaką podejmie w tej sprawie zarząd Towarzystwa. Tak, to moje oficjalne stanowisko. Nie zapominaj, że naczelnym zadaniem nauki jest ochrona ludzkiego życia i jego nieustanne polepszanie. I sądzę, że zadanie to sumiennie wypełniam.

- Tak, ale można mieć różny pogląd na to, co polepsza ludzkie życie, a co nie.

Nie wiadomo dlaczego akurat te słowa podziałały na Asha jak płachta na byka. Wcześniejsze uwagi Ripley, bardziej dosadne i bezpośrednie, pozostawały praktycznie bez echa, a tu...

Ash drgnął i spojrzał na nią gniewnie.

- Wypełniam swoje obowiązki z taką samą powagą i rzetelnością jak, ty swoje, Ripley. To powinno ci wystarczyć. Jestem już zmęczony tą dyskusją. Jeśli masz jakieś zastrzeżenia do mojej pracy, przedstaw je Dallasowi. Jeśli nie... - Tu Ash odwrócił się do niej plecami. - Jeśli nie, zajmij się swoją robotą, a ja zajmę się swoją.

Ripley skinęła krótko głową. - W porządku.

Obróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia. Zadowolona z siebie? Nie. Dlaczego? Tego właśnie nie wiedziała. Argumenty, które przedstawił, były cienkie, śliskie, trudne do podważenia. Ale nie to ją dręczyło.

Dręczył ją fakt, że otwierając służę i wpuszczając do środka grupę Dallasa, Ash postąpił nie tylko wbrew regulaminowi. Ash postąpił wbrew wszystkim cechom swojej osobowości. Jego czyn był zaprzeczeniem profesjonalizmu, z którym naukowiec podchodził do innych spraw. Nie znała go zbyt długo, ale do tej pory w oczach jej i w oczach całej załogi Ash uchodził za człowieka, który nade wszystko stawia przepisy i kodeks oficera naukowego.

Ash twierdził, że zrobił to, co zrobił, tylko po to, żeby ratować życie człowieka. Ona stanęła po stronie obowiązującego prawa. Postąpiła źle? Czy Kane by się z nią zgodził...?

Miotana sprzecznymi uczuciami szła na mostek. Zbieg okoliczności tu, zbieg okoliczności tam... Nieustannie ją to dręczyło. Jak to razem posklejać...?

Nie mieli teraz nic do roboty. Pozostawało im tylko czekać. Czekać, aż Parker i Brett skończą robotę, czekać, aż stan Kane'a ulegnie zmianie.

Na mostku Lambert zabawiała Jonesa kawałkiem sznurka. Ten sznurek miał jakoby znaleźć się na pokładzie Nostromo tylko i wyłącznie ku uciechu kota, ale oczywiście kot wiedział lepiej. Od czasu do czasu Jones czuł się w obowiązku rozśmieszać ludzi. Bo ludzie zdawali się czerpać niezwykłą przyjemność z tego, że kiedy machali mu sznurkiem przed oczyma - a łapy mieli wielkie i niezdarne - trącał go i usiłował schwycić pazurkami.

Lambert nazywała tę grę "kocią karuzelą". Jones nazywał ją "karuzelą człowieczą". Jones był kotem sumiennym i robił wszystko, żeby rozbawić panią nawigator. Zadanie miał niełatwe. Ludzie bywali czasami tak niezdolnie poważni... Ale Jones to kot nie byle jaki, to kot rzetelny. Cierpliwie ich zabawiał, nie przestając myśleć o jedzeniu, o ciepłych, tłustych myszkach.

- No i jak? - Brett wysunął głowę i spojrzał na kolegę. Parker dostroił wskaźniki i otarł pot z czoła.

- Prawie. Jeszcze pół stopnia i kończymy. Może Ripley będzie wreszcie zadowolona.

Brett wydał z siebie niezbyt parlamentarny odgłos.

- Chyba żartujesz, łaskawco! - zawołał. - Ripley nikt nie zadowolili! - Pogwizdując cicho, zniknął w głębokim duku, gdzie mocował ekran wlotowy.

Parker rzucił okiem na milczący głośnik interkomu. - Jeśli po tym wszystkim nie dadzą nam pełnych udziałów - wyburczał - napiszę zażalenie, jak Boga kocham. Zasłużyliśmy na podwójną pensję. W dodatku ta robota kwalifikuje się jako niebezpieczna. Tym razem Towarzystwo nas nie wyroluje, bracie. Jak nic pójdę prosto do Cechu. Koniec z bajerowaniem kurczę...

Racja - przytaknął z duktu Brett. - Podaj uszczelkę numer trzy. - Z otworu wysunęła się ręka.

Trójka załatwi sprawę.

Inżynier poszperał w mocno zabrudzonej plastikowej skrzyneczce. W jednej z wyraźnie oznakowanych przegródek znalazł małą szarą uszczelkę. Na jej wierzchu lśniła czerwona na spodzie zielona kropczka. Parker podał uszczelkę koledze, i spojrzał wyzywająco na wciąż milczący głośnik interkomu...

Rytm był niewymyślny, nawet prymitywny. Z biegiem lat, od częstego odtwarzania, taśma straciła na jakości, ale Dallas chłonał muzykę z takim zapamiętaniem, jakby uczestniczył w sesji nagraniowej sprzed stuleci. Leżał na koi, wystukując stopą rytm na nie istniejącym bębnie.

Zapisał intercom. Pochłonięty muzyką Dallas nie zareagował i dopiero po trzecim sygnale ciężko westchnął, ściszył magnetofon i pstryknął przełącznikiem odbioru.

- Dallas.

- Mówi Ash. Chyba powinieneś tu przyjść. Chodzi o Kane'a. Coś się wydarzyło.

Dallas zerwał się z koi. W głosie Asha nie usłyszał nutki niepokoju; co było pocieszające. Lecz Ash mówił tak, jakby nie wiedział, co się właściwie stało, a to pocieszające nie było.

- Coś poważnego?

Raczej interesującego.

- Zaraz będę.

Wyłączył magnetofon. Zielonkawe oczko na obudowie mrugnęło i zgasło. Szkoda...

Ash powiedział, że wydarzyło się coś "interesującego". Coś "interesującego" nie musi znaczyć coś dobrego. Dallas pocieszał się tym, że gdyby Kane zmarł, Ash użyłby z pewnością innych słów.

Wniosek? Kane wciąż żyje, tylko jego stan jest... "interesujący".

Jak się jednak okazało, naukowiec nie Kane'a miał na myśli. Chodziło mu o coś innego.

Kapitan zobaczył Asha na korytarzu, przed izbą zabiegową. Ash stał z nosem przyklejonym do szyby. Kiedy Dallas podszedł bliżej, naukowiec obrócił głowę w jego stronę.

- Co się stało?

W drugim końcu korytarza pojawiła się nagle Ripley. Spoglądała niespokojnie to na Asha, to na kapitana.

- Słyszałam waszą rozmowę przez interkom.

- Podsluchujesz? - Dallas przeszył ją wzrokiem. Wydęła usta.

- A co innego można tu robić? Dlaczego pytasz? Masz coś przeciwko temu?

- Nie, pytam z ciekawości. - Zlustrował oczyma wnętrze izby zabiegowej i nie widząc tam niczego niezwykłego, rzucił: - Co jest, Ash?

- Kane... - Naukowiec wyciągnął przed siebie rękę. Przypatrz mu się, uważnie...

Dallas znów spojrzał za szybę, zmarszczył czoło, wreszcie zobaczył to, o czym mówił naukowiec. A raczej nie zobaczył.

- Zniknęło...

Kapitan jeszcze raz obrzucił wzrokiem całą izbę. Obcy stwór gdzieś przepadł. Kane leżał nieruchomo na stole operacyjnym. Jego pierś unosiła się i opadała równym, spokojnym rytmem. Mimo nieobecności symbionta oddychał, oddychał normalnie, bez widocznego wysiłku. Po dłuższej obserwacji na obrzeżach jego twarzy zauważyli coś, co z daleka wyglądało jak czarne kropeczki.

- To bydlę coś mu wszczepiło? - Dallas wzdrygnął się na tę ohydą myśl.

- Nie stwierdził bez wahania Ash.

Kapitan musiał mu wierzyć. Było nie było, naukowiec miał z nich wszystkich najlepszy wzrok, tak przynajmniej stało w jego pokładowym dossier.

- Skóra jest gładka... To są jakieś płytkie nacięcia. Sądę, że ślady po przyssawkach. - Zamilkł i po chwili dodał: - Jeśli ich nie liczyć, wydaje się, że Kane wyszedł z tej przygody bez szwanku.

- Nasza przygoda jeszcze się nie skończyła, Ash wtrąciła Ripley. - Drzwi są hermetyczne. Twój koszmarny symbiont musi być w środku.

Mówiła śmiało, z wielką pewnością siebie, ale w rzeczywistości była przerażona. Myśl, że to pająkowate monstrum ze swym szklistym, nieruchomym okiem może łązić teraz po podłodze, napawała ją strachem, którego nie śmiała po sobie okazać.

- Nie możemy otworzyć drzwi - zauważył rozsądnie Ash. - Ucieknie. Jeśli ucieknie, będziemy go ścigać po całym statku.

- Podpisuję się pod tym rękami i nogami. - Ripley przeszukiwała wzrokiem podłogę. Widziała tylko jasny metal, gdzieniegdzie pomalowany. - Nie możemy go złapać, nie możemy go zabić z odległości, więc co właściwie możemy?

- Kiedy próbowaliśmy usunąć go z twarzy Kane'a, w robocie był nóż - powiedział Dallas. - Teraz spróbujemy łagodniej. Może, jeśli nie wyczuje zagrożenia, nie będzie stawiał oporu? Może da się po prostu wziąć do ręki?

Oczywiście wyobraźni ujrzał spektakularny deszcz nagród i pochwał, jakimi obsypuje go Towarzystwo. Wyróżnienie, niewykluczone, że awans, premia... Zakręciło mu się w głowie. Spojrzał na nieprzytomnego Kane'a i poczuł wyrzuty sumienia.

Ripley wzdrygnęła się. Każą jej tę bestię podnosić gołymi rękami?!

- No to go podnieś - rzuciła z ulgą. - Ja stanę przy drzwiach.

- Pomysł godny uwagi. - Ash oderwał nos od szyby. - To bezcenny okaz. Tak, musimy spróbować. Schwytamy go żywcem i przechowamy w nienaruszonym stanie... Musnął dłonią elektroniczny zamek.

Izba zabiegowa była znakomitym terenem łowieckim. Miała podwójne ściany i, poza główną śluzą, należała do najszczelniejszych pomieszczeń na statku.

Drzwi drgnęły, uchyliły się na cal. Ash spojrzał na Dallasa. Dallas skinął głową. Naukowiec znów dotknął zamka. Centymetr, dwa, trzy... Można się już było precyzyjnie do środka. Pierwszy wszedł Dallas, za nim czujna i ostrożna Ripley, na końcu Ash, który natychmiast grzmotnął pięścią w zamek wewnętrzny i zaryglował drzwi.

Stali stłoczeni w progu, rozglądali się po izbie. Obcego ani śladu. Dallas ściągnął usta i przenikliwie zagwizdał. Nic, żadnej reakcji, żadnego ruchu. Tylko Ripley zachichotała, ciut za głośno, nerwowo.

Nie spuszczać z oczu miejsc zacienionych, najbardziej podejrzanych, Dallas ruszył wolno w stronę otwartej szafki. Szafka była świetną kryjówką. Zajrzał do środka, zbadał wzrokiem każdy szczegół wnętrza, ale znalazł tylko równo poukładane opakowania z lekarstwami.

Jeśli mieli to bydło schwycić, nie dotykając go gołymi rękami, należało uzbroić się w coś twardego. Dallas wybrał tackę z nierdzewnej stali, pierwszy z brzegu przedmiot, którym mógł się jako tako zasłonić. Ruszył dalej, zdając sobie sprawę, że jeśli stwór dostanie pietra, to bez najmniejszego wysiłku rozpuści mu tackę razem z dłońmi. Ale z tacką czuł się lepiej, irracjonalnie bezpieczniej.

Ash badał teren w przeciwnym rogu izby. Obaj byli zajęci, więc Ripley, która pilnowała drzwi, zaczęła się nudzić. Zrobiła krok do przodu, potem drugi, trzeci... Chciała zajrzeć pod stół operacyjny sądząc, że stworzenie mogło przylgnąć do jego spodniej części. Napięła mięśnie, gotowa natychmiast odskoczyć w tył, gdyby przyszło jej ujrzeć szponiasty organizm. Zajrzała... Pusto. Nie, Ripley nie była rozczarowana, przeciwnie.

Wyprostowując się myślała, gdzie by tu szukać dalej, i potrafiła biodrem cienkie przepierzenie. Coś spadło na jej ramię, coś gumowatego, sprężystego. Obróciła głowę i z odległości kilku centymetrów ujrzała długie, kościste palce i szkliste szary owal wybałuszonego oka.

Jakimś cudem zdołała wydobyć z siebie krótki, urywany krzyk. Jej mięśnie skurczyły się spazmatycznie, Ripley drgnęła, a wtedy ohydny stwór upadł ciężko na podłogę.

Kiedy Ripley krzyknęła, Dallas i Ash skoczyli jej na pomoc. Stali teraz we troje i patrzyli na, znieruchomiałą kształt u ich stóp. Wyglądał jak ludzka ręka, jak zaciśnięta dłoń, martwego człowieka. Gdyby nie dodatkowe palce, ogon i to szkliste, nagie oko, podobieństwo byłoby niemal idealne.

Ripley trzymała rękę na ramieniu, tam, gdzie wylądował stwór. Oddychała jak po ciężkim biegu. Nie, nie oddychała, raczej pompowała w siebie powietrze, oczyszczając krew z gigantycznej dawki adrenaliny. I wciąż czuła na sobie ciężar tego ohydztwa. Wysunęła nogę, dźgnęła butem ścierwo na podłodze. Nie drgnęło, nie stawiało oporu. Skórę miało taką jakąś pomarszczoną, starą... Ripley znów trąciła je nogą, odwracając na grzbiet. Koszmarna rurka była prawie całkowicie schowana, miękka i bezwładna.

- To chyba trup... - Dallas patrzył na truchło chwilę dłużej, później zerknął na Ripley. - Nic ci... nie zrobił?

Z trudem złapała oddech, zmusiła język do pracy.

- Nie, nic. Musiał chyba zdechnąć na długo przedtem. Podeszła do szafki i wzięła spore metalowe szczypce.

Szturchnięcie w kościste palce - żadnej reakcji. Dźgnięcie w monstrialne oko - nic. Dallas przytrzymał tackę. Ripley wepchnęła na nią zeszywniałe monstrum i szybko nakryła je stalowym kapturem.

Stanęli przy stole. Zsunęli truchło z tacki i ułożyli na blacie. Ash skierował na nie silny reflektor. W ostrym świetle skurczony kształt powłókł się iście trupią bladością. Naukowiec wziął niewielką sondę. Pchnął nią i ukłuł gumowate ścierwo.

- Spójrzcie tylko na te przyssawki. - Wskazał małe, głębokie otwory pokrywające gęsto wewnętrzne obrzeża "dłoni". - Nic dziwnego, że nie mogliśmy go oderwać. Przyssawki, paluchy i jeszcze ten ogon dookoła szyi.

- Gdzie ono ma otwór gębowy? - Dallas z trudem oderwał wzrok od wylupiastego oka. Nawet po śmierci jego mętny owal miał jakieś hipnotyzujące właściwości.

- Chyba tutaj, ta rurka. Wsadził ją w gardło Kane'a. Ale z drugiej strony nie zauważyłem, żeby się kiedykolwiek żywił.

Ash odwrócił stworzenie na grzbiet. Chwycił szczypcami rurkę i wyciągnął ją częściowo na zewnątrz. Gdy wyciągnął więcej, rurka zmieniła kolor i upodobniła się barwą do reszty ciała.

- Twardnieje w kontakcie z powietrzem.

Przesunął zewłok pod skaner, ustawił obiektyw, wyregulował pokrętła. Zaczął wciskać klawisze i na małych ekranach pojawił się ciąg symboli i słów.

- I po wszystkim - oznajmił. - Koniec. Kropka.

Trup. Brak oznak życia. Dużo o nim nie wiemy, fakt, ale stwierdzić, żyje czy nie, zawsze stwierdzimy.

Ripley poczuła świerzbienie w ramieniu. - Trup? I dobrze. No to za burtę z nim.

Ash spojrzał na nią z niedowierzaniem w oczach. - Oczywiście żartujesz, Ripley. Ale śmieszne. Pokręciła głową.

- Daleka jestem od żartów, Ash.

- Ale... Ale... Przecież musimy go z sobą zabrać. Naukowiec był niemal podekscytowany. - To pierwszy kontakt ze stworzeniem tego rodzaju. W archiwach, na taśmach niczego takiego nie ma. Ten stwór nie istnieje nawet w teorii. Trzeba go dokładnie zbadać, przeprowadzić testy...

- Dobra - ucieła. - Rób swoje testy, a potem za burtę z tym świństwem.

- Nie, nie, nie o to chodzi. Takie badania wymagają odpowiedniego sprzętu, wymagają dobrze wyposażonego laboratorium. Tu mogę jedynie zarejestrować najogólniejsze dane dotyczące budowy i składu chemicznego. Tak istotne sprawy jak jego pochodzenie, ewolucja są absolutnie poza moimi możliwościami. Jednego z największych odkryć ksenologicznych ostatnich dziesięciu lat nie wyrzuca się za burtę jak zdechłej myszy! Protestuję! Tak, protestuję i jako oficer naukowy Nostromo, i jako szeregowy członek załogi. Kane postąpiłby tak samo.

- To szkaradztwo omal nie wypaliło nam dziury w statku. - Ripley skinęła głową w stronę obcego stworzenia. - Bóg jeden wie, co może nam zrobić teraz, kiedy już nie żyje.

- Nic nam nie robi - skontrolował Ash. - Nic. Ta żrąca ciecz została najpewniej wchłonięta przez warstwę martwiczną i całkowicie zneutralizowana. Ripley, on nam nie zagraża.

- Na razie.

Ash zwrócił błagalne spojrzenie na Dallasa.

- Nie ruszył się, nie drgnął, nie stawiał oporu, kiedy dźgaliśmy go gdzie popadło, nawet w oko. Wyniki badań skanera dowodzą, że nie żyje. Kapitanie, możemy chyba śmiało założyć, że to nie zombi, na Boga! Dallas, musimy go zatrzymać, musimy. To bezcenny okaz!

Dallas nie odpowiadał.

- Poza tym - mówił dalej Ash - jeśli nie uda się nam wyprowadzić Kane'a ze śpiączki, zajmą się nim lekarze specjaliści, tak? Będą musieli zbadać stworzenie, które wpędziło go w ten stan. Wyrzucić je za burtę to tak, jakby wyrzucić za burtę receptę na wyleczenie Kane'a.

- Ash, jesteś oficerem odpowiedzialnym za sprawy naukowe - rzekł w końcu Dallas. - To twój oddział, twoja decyzja.

- No to ją właśnie podjąłem. - Ash obdarzył nowy nabytek ciepłym spojrzeniem. - Zamknę go w naczyniu zastoju. To powinno wykluczyć jakąkolwiek możliwość rewitalizacji. Dam sobie radę.

- Tak prawdopodobnie myślał Kane... - mruknęła Ripley.

Dallas spojrzał na nią gniewnym wzrokiem. Odwróciła oczy.

- A więc potwór do butelki. - Wskazała głową Kane'a. - A co z nim?

Ash obrócił się do stołu zabiegowego. Obejrzał ciało oficera, zbadał dokładnie ślady na jego twarzy i włączył autodoka. Coś zaszumiało, zaburczało, monitory ożyły.

- Ma gorączkę. - Wysoką?

- Nie. Jego organizm z tym sobie poradzi. Autodok mu pomoże, zbije temperaturę. Jest wciąż nieprzytomny. - Wielkie odkrycie.

Ash zerknął na zgorzkniałą Ripley.

- Mógłby na przykład „spać”, a to zupełnie co innego. Ripley chciała zripostować, ale do rozmowy wtrącił się Dallas.

- Przestańcie się kłócić - uciął krótko.

Coraz częściej musiał występować w roli rozjemcy, jakby i bez tego mało miał zmartwień. Biorąc pod uwagę napięcie, jakie ostatnio przyszło im znosić, takich konfliktów nie mógł całkowicie wyeliminować. Ale tolerował tylko niewielkie sprzeczki, takie, które dawały niezbędny upust chwilowej złości. Za wszelką cenę pragnął uniknąć otwartych antagonizmów i trwałych podziałów wśród załogi.

Żeby Ripley przestała myśleć o Ashu i vice versa, skierował rozmowę na Kane'a.

- Więc jest nieprzytomny i ma lekką gorączkę. Co jeszcze ?

Naukowiec spojrzał na monitory.

- Nic. Wszystkie organy wewnętrzne funkcjonują normalnie.

- Jakie rokowania? Ash zawahał się.

- Nie jestem lekarzem. Nie możemy sobie pozwolić na lekarza. Nostromo jest tylko małym statkiem...

- Małym i mało ważnym, wiem. Ale ty znasz się na medycynie najlepiej z nas wszystkich. Chcę usłyszeć twoje zdanie. Nie zanotuję tego w dzienniku pokładowym i gdybyś się mylił, nie poniesiesz za to żadnej odpowiedzialności. Bo przecież nie możesz, do cholery. - Kapitan przeniósł oczy z powrotem na Kane'a, na kumpla z załogi, na przyjaciela.

- Nie chcę popadać w przesadny optymizm - zaczął wolno Ash - ale uwzględniając jego obecny stan i wyniki badań komputerowych, powiedziałbym, że z tego wyjdzie.

Dallas wyszczerzył zęby w uśmiechu i kiwnął głową. - Tylko to chciałem wiedzieć. Dzięki.

- Obyś się nie mylił, Ash - dodała Ripley. - W paru kwestiach mamy inne zdanie, ale modlę się, żeby twoja diagnoza była słuszna.

Naukowiec wzruszył ramionami.

- Chciałbym zrobić dla Kane'a coś więcej, ale, jak powiedziałem, nie jestem lekarzem. Wszystko zależy od autodoka. Pokazuje mi teraz jakieś dziwaczne odczyty, ale nie znalazł jeszcze niczego konkretnego. Możemy jedynie czekać, aż wykryje, co ten obcy symbiont Kane'owi zrobił. Wtedy postawi dokładną diagnozę i rozpocznie leczenie. Ash nagle posmutniał. - Tak, żałuję, że nie jestem lekarzem. Nie lubię obsługiwać takich maszyn.

Ripley okazała zdziwienie.

- Pierwszy raz wyrażasz się przy nas niepochwlebnie o jakiejś maszynie, Ash.

- Żadna maszyna nie jest doskonała. Powinny być bardziej elastyczne, powinny umieć lepiej dopasowywać się do sytuacji. Gdybyśmy tu mieli oddział szpitalny z kompletnym wyposażeniem, a nie to maleństwo, sprawy wyglądałyby zupełnie inaczej. Naszego autodoka nie zaprojektowano, by badał organizmy tak... obce. Ten problem może przekraczać jego możliwości. Jak każda maszyna, autodok realizuje tylko określony program, nic więcej. Szkoda, że moja wiedza medyczna jest tak mała.

- I pierwszy raz publicznie negujesz swoją wszechwiedzę - skostatowała Ripley.

- Nigdy nie twierdziłem, że wiem wszystko. Ale jeśli człowiek wie mniej, zawsze ogarnia go uczucie małości, ignorancji. To chyba normalne. - Spojrzał na Kane'a. Uczucie to dochodzi do głosu zwłaszcza wtedy, gdy wszechświat zmusza nas do konfrontacji z czymś, co wykracza poza ludzkie doświadczenie i wyobraźnię. Brak mi wiedzy, żeby sobie z tym poradzić, dlatego czuję się tak, jak się czuję.

Wziął szczypce, ujął stworzenie za dwa kościste palce i przeniósł ostrożnie do przezroczystego pojemnika. Wcisnął guzik i pojemnik został hermetycznie zamknięty. Po chwili wewnątrz naczynia wypełniła żółtawa poświata.

Ripley obserwowała poczynania Asha z napiętą uwagą. Podświadomie oczekiwała, że monstrum nagle ożyje, że bryzgnie wokół żrącą cieczą, stopi twarde szkło i przylgnie do twarzy któregoś z nich. W końcu, przekonana ostatecznie, że już jej nie zagraża, ruszyła w stronę wyjścia.

- Nie wiem jak wy - rzuciła przez ramię - ale ja mam ochotę na kubek kawy.

- Dobra myśl. - Dallas zerknął na Asha. - Poradzisz tu sobie bez nas?

- Boisz się mnie zostawić sam na sam z tym tu? - Ash wskazał kciukiem naczynie i uśmiechnął się szeroko. - Jestem naukowcem. Takie koszmaki wzbudzają moją ciekawość, nie wywołują uczucia strachu. Dam sobie radę, dzięki. Jak trafię na coś nowego albo jak stan Kane'a ulegnie zmianie, natychmiast was zawiadomię.

- Dobra. - Kapitan spojrzał na Ripley. - No to chodźmy poszukać tej kawy.

Ruszyli na mostek. Skrzydła drzwi do izby zabiegowej zwały się szczelnie. Maszyna kontrolowała stan zdrowia nieprzytomnego pacjenta. Ash kontrolował maszynę...

8.

Kawa podziałała i na żołądki, i na umysły. Nostromo funkcjonował bez zarzutu, całkowicie obojętny wobec martwego stworzenia w izbie zabiegowej. Mostek wypełniały znajome zapachy i dźwięki.

Dallas wiedział, którzy członkowie załogi owe zapaszki roztaczają. Nie denerwowały go ani nie urażały jego poczucia estetyki, nie. Ot, codzienność, na statku zwyczajna sprawa. Pociągnął kilka razy nosem i tyle. Takie fanaberie jak dezodoranty były tu nie do pomyślenia, nie na statku wielkości i klasy Nostromo. Ludzie zamknięci w metalowym pudle, lata świetlne od ciepłej Ziemi, pozbawieni świeżego powietrza, mieli na głowach rzeczy o wiele ważniejsze niż zwracanie uwagi na zapaszki unoszące się wokół kolegów.

Ripley jednak była wciąż nie w sosie.

- Co cię gryzie? Ciągłe ta sprawa z Ashem? To, że otworzył śluzę i nas wpuścił?

Głos miała spięty, zawiedziony.

- Jak mogłeś pozostawić decyzję w jego rękach? Decyzję tej wagi?

- Już ci mówiłem - tłumaczył cierpliwie. - To ja zdecydowałem, że wchodzimy z Kane'em na statek... Aha, chodzi ci o to, że pozwoliłem mu zatrzymać to paskudztwo?

Skinęła głową.

- Tak. Nie ma co kłócić się o śluzę, co było, to było. Zresztą może i się myliłam. Ale żeby trzymać to bydlę na statku po tym, co zrobiło Kane'owi?

Próbował ją udobruchać.

- Jeszcze nie wiemy, czy tak naprawdę cokolwiek Kane'owi zrobiło. Wiemy, że pozbawiło go przytomności. Autodok twierdzi, że nic mu nie jest. A jeśli chodzi o to, że zostało na statku? Ja jestem tylko pilotem, Ripley, ja tym statkiem tylko kieruję.

- Jesteś kapitanem.

- Papierowy tytuł, w pewnych sytuacjach kompletnie bez znaczenia. Parker ma nade mną władzę w kwestiach technicznych. W sprawach naukowych to przecież Ash ma ostatnie słowo.

- Jakim cudem? - W jej zgorzkniałym głosie przebijała nutka ciekawości.

- To nie cud, Ripley, to normalka: rozkazy Towarzystwa. Przeczytaj wykaz swoich praw i obowiązków.

- Od kiedy tak jest?

Dallas zaczynał tracić cierpliwość.

- Rany boskie, Ripley, Nostromo nie jest statkiem wojkowym. A skoro nie jest, to podlegasz właścicielowi, który mówi ci, że ma być tak a tak i kropka. Ogólna zasada jest taka, że przestrzega się niezależności poszczególnych działów, jak na przykład działu naukowego. Gdybym tego nie przestrzegał, długo bym tutaj nie wytrzymał.

- Co jest, Dallas? Czyżby wizja premii za wspaniałe odkrycie rozmywała się tylko dlatego, że możemy mieć na pokładzie trupa?

- Dobrze wiesz dlaczego - warknął. - Żadna premia nie zwróci Kane'owi zdrowia. Teraz już za późno. Stało się i się nie odstanie. Słuchaj, kochana, zjeżdż ze mnie, dobra? Bo kim ja jestem, do cholery? Robię na holowniku, ciułam na chleb powszedni. Gdybym chciał być prawdziwym odkrywcą i uganiać się po wszechświecie za nagrodami, nie szukałbym pracy w Korpusie Kręgu Zewnętrznego i do tej pory przeżyłbym kupę makabrycznych przygód. Chwała... Nie dziękuję, postoję. Zadowolę się drobnostką: będę szczęśliwy, jeśli Kane do nas wróci.

Tym razem Ripley nie odpowiedziała od razu. Milczała dłuższą chwilę, a kiedy się odezwała, w jej głosie nie było już ani żalu, ani urazy.

- Od dawna latasz z Kane'em?

- Od dawna. Zdążyliśmy się dobrze poznać. - Dallas mówił spokojnie, patrzył na konsolę.

- A z Ashem?

Westchnął. Przyparła go do muru. - Znowu zaczynasz? Co z Ashem?

- Mówisz, że znasz Kane'a. Asha też znasz? Latałeś z nim przedtem?

- Nie. - Tym się Dallas zupełnie nie przejmował. Lecę z nim pierwszy raz. Przed nim był tu inny facet. Zrobiłem z nim pięć kursów, długich, krótkich, z różnym ładunkiem. Na dwa dni przed startem z Thedusa odwołali go i przysłali Asha.

Spojrzała na niego znacząco.

- No to co? - warknął. - Odwołali też mojego starego sierżanta i wcisnęli mi ciebie.

- Nie ufam mu.

Czas zmienić temat, pomyślał. Jak dotąd Ash był w porządku. Może trochę za sztywny, trzymał się na uboczu. Ale kursy tego rodzaju to głównie hibernatory i stosunkowo krótkie chwile aktywności na pokładzie. Kontakty osobiste, zażyłość? Kogo to obchodzi? Jeśli facet robi, co do niego należy i robi to dobrze, do diabła z jego osobowością. Dallas nie miał żadnych powodów, żeby kwestionować kompetencje Asha.

- Zdrowe podejście do życia. To tak jak ja, bo ja nie ufam nikomu. Co oni się tak ślimaczą w tej siłowni? - zapytał.

Ripley rzuciła okiem na zegarek, coś sobie w myśli przeliczyła.

- Powinni już właściwie skończyć. Pewnie robią końcowy przegląd.

- To dlaczego nie meldowałaś?

- Coś im jeszcze na pewno zostało, bo by się odezwali. Słuchaj, o co ty mnie podejrzewasz? Że osłaniam Parkera? Ja Parkera ?

- Daj spokój. Co zostało do zrobienia? - Przebiegła palcami po klawiaturze komputera.

- Na pokładach "B" i "C" nadal nie ma podglądu. Skanery szlag trafił i trzeba je tam wymienić.

- Chrzanię pokłady "B" i "C". Nie muszę się na nie gapić, wiem, jak wyglądają. Coś jeszcze?

- System zasilania awaryjnego. Wysiadł zaraz po wylądowaniu. Pamiętasz, mieliśmy kłopoty z silnikami wspomagającymi.

- Ale główny zespół napędowy już naprawili, tak? -Skinęła głową.

- No to całe to gadanie o silnikach wspomagających o kant dupy potłuc, możemy wystartować i bez nich. Potem skok w nadprzestrzeń, nura do hibernatorów i obudzimy się w domu.

- Pewien jesteś, że to dobry pomysł? Myślę o starcie bez silników wspomagających.

- Nie wiem, może i nie. Ale chcę stąd się zabrać i to już, natychmiast, Zbadaliśmy ten cholerny sygnał S.O.S. i koniec. Nikogo tu nie ma do ratowania oprócz Kane'a. Niech sobie Towarzystwo wysyła odpowiednio wyposażoną ekspedycję i niech sobie dłubią w tym wraku. Nie za to nam płacą. Postąpiliśmy zgodnie z regulaminem czy nie? Mam dosyć. Do roboty, Ripley. Startujemy.

Siedzieli przy swoich stanowiskach na mostku. Nie myśleli o Kane, nie myśleli o martwym stworze w pojemniku, nie myśleli o niczym, tylko o procedurze startowej. Znów tworzyli zespół. Osobiste animozje, różnice zdań? Nic nie było tak ważne jak chęć oderwania się od planетки i powrót do czystej, otwartej przestrzeni.

- Jest napęd główny - zameldował Ash, który porzucił na czas startu izbę zabiegową i siedział na swoim zwykłym miejscu.

- Jest główny - potwierdziła Lambert.

- Silniki wspomagające nadal nie działają, kapitanie. - Ripley zmarszczyła czoło widząc napis jarzący się purpurą na monitorze.

- Wiem, wiem. Nawigator, wszystko gotowe? Lambert przebiegła wzrokiem swoją konsolę.

- Kurs ponownego wejścia na orbitę wyliczony. Zgrywam go z pozycją rafinerii. Namiary będą za sekundę... Już są. - Wcisnęła kilka przycisków.

Na ekranie monitora zawieszonego nad głową Dallasa ukazał się rząd liczb.

- Dobra. Ewentualne poprawki naniesiemy na orbicie. Przygotować się do startu.

Otoczony wściekłymi tumanami pyłu kadłub Nostromo zaczął wibrować. Ponad wyciem rozszalałej burzy przetoczył się monstrualny grzmot. Odbił się echem o skalne pagórki i strzaskał sześciokątne kolumny z bazaltu.

- Gotowi do startu - zameldowała Ripley. Dallas rzucił okiem na Asha.

- Jak to wygląda, Ash? Niczego jeszcze szlag nie trafił?

Naukowiec zbadał oczyma wskaźniki.

- Nie, wszystkie systemy pracują normalnie. Jak długo wytrzymają, nie mam pojęcia.

- Tak długo, aż znajdziemy się na orbicie. - Dallas trzasnął przełącznikiem interkomu. - Parker, jak sytuacja w siłowni? Damy radę bez ciągu nadprzestrzennego?

Gdyby nie zdołali pokonać siły ciężenia na silnikach głównych, byłoby zmuszeni włączyć ciąg nadprzestrzenny. Ale sekunda, dwie sekundy ciągu nadprzestrzennego i skoczyliby całe miliony kilometrów w kosmos. Oznaczałoby to ponowne namierzanie systemu słonecznego, lokalizowanie planetoidy i stratę aktywnego czasu pokładowego na cumowanie do rafinerii. Aktywny czas pokładowy - czas pracy, czas działania - był niezwykle cenny, gdyż oznaczał powietrze. Minuty przeliczało się na litry. Nostromo mógł nie nadażyć z uzdatnianiem szczupłych zapasów powietrza, a kiedy stałoby się niezdadne do oddychania, musieliby wracać do hibernatorów i na wieki zapomnieć o rafinerii.

Dallas pomyślał o gigantycznej fabryce dryfującej majestatycznie po kosmicznym oceanie i wyobraził sobie, ile lat musieliby ją spłacać z tych nędznych zarobków...

Odpowiedź Parkera nie była zbyt optymistyczna, choć napawała otuchą.

- Powinniśmy. Ale pamiętaj, nie mieliśmy doku, nie mieliśmy odpowiedniego sprzętu. To tylko prowizorka.

- Kadłub wytrzyma?

- Wytrzyma. Chyba, że trafimy na silne prądy wstępujące. Wtedy może być krucho z ogniwami. Jak znów się przepalą, koniec, nie naprawimy ich.

- Dlatego z czuciem, panowie, z czuciem - dodał Brett ze swego miejsca.

- Zrozumiałem. Będziemy ostrożni. Musimy tylko wyjść na grawitację zerową. Potem damy nadprzestrzenny, a wtedy pies drapał te cholerne ogniwa. Niech sobie strzelają jak prażona kukurydza. Ale do tego czasu chuchajcie na nie jak na pupkę niemowlaka. Gołymi rękami je przytrzymajcie, jeśli zaczną się ruszać.

- Zrobimy, co się da - mruknął Parker.

- No to na razie. - Dallas spojrział na Ripley, która dublowała niezdolnego do pracy Kane'a. - Sto metrów w górę i schowaj wsporniki - rozkazał. Wrócił oczyma do swoich monitorów. - Postaram się go jakoś utrzymać w ryzach...

- Tak jest, sto metrów w górę - powtórzyła Ripley i sięgnęła do konsoly.

Grzmot huczący na zewnątrz wzmógł się. Nostromo drgnął, dźwignął się ciężko z gładkiej, spieczonej ogniem skały i zawisł sto metrów nad nią, w kłębach oszałamiającego pyłu. Masywne owadzie łapy, na których dotychczas stał, złożyły się i zniknęły w jego brzuchu.

Astronauta usłyszeli przytłumiony stukot potwierdzający dane z komputerów.

- Łapy schowane - meldowała Ripley. - Zamykam osłony.

Spomiędzy blach poszycia wysunęły się metalowe klapy, które zamknęły gniazda wsporników, odcinając je szczelnie od cząsteczek pyłu i obcej atmosfery.

- U mnie wszystko w porządku - rzucił Ash. - Statek gotowy do startu.

- Dobra. Ripley, Kane'a tu nie ma. Ty prowadzisz. Ruszaj, kochana.

Ripley pchnęła podwójną dźwignię na konsoli pierwszego oficera. Na zewnątrz ryk stał się nie do wytrzymania, chociaż na planetoidzie nie było nikogo, kto mógłby podziwiać genialność ludzkiego umysłu. Lekkim skokiem do przodu Nostromo poszybował w górę.

- Uwaga, przeciążenie... - Ripley wcisnęła trzy dodatkowe klawisze. - No i jedziemy.

Nostromo zadarł dziób, gwałtownie przyspieszył i skoczył w niebo jak spięty ostrogą. Wichura smagająca twarde, zbrojny pancerz statku nie wpływała ani na kurs, ani na szybkość lotu.

Lambert skupiała całą swoją uwagę tylko na jednym, za to niezmiernie ważnym wskaźniku.

- Jeden kilometr - meldowała. - Na kursie. Wejście na orbitę za pięć koma trzydzieści dwie setne minuty. Jeśli to pudło tak długo wytrzyma, dodała w myśli.

- Brzmi nieźle... - mruknął Dallas, obserwując dwie linie na ekranie monitora. Splatały się jak należy. - Włączyć sztuczną grawitację.

Lambert pstryknęła przełącznikiem. Nostromo jakby się o coś potknął. Niewielka siła przyciągania :znikającej w dole planetoidy przestała działać. Zamiast niej poczuł brutalne szarpnięcie i mocny uścisk w pełni ziemskiej grawitacji. Żołądek Dallasa ostro zaprotestował.

Lambert odczekała, aż jej wnętrzości znajdą sobie nowe miejsce i zameldowała:

- Jest sztuczna grawitacja.

Oczy Ripley wędrowały od wskaźnika do wskaźnika. Spozobegła niewielki niedobór mocy i pospieszyła go wyrównać.

Brak zgrania na ciągu. Zmieniam wektor.

Musnęła potencjometr i z zadowoleniem ujrzała, jak ciekłokrystaliczna igła powraca na miejsce.

Ciąg wyrównany. Silniki chodzą jak trzeba.

Dallas zaczął już wierzyć, że wejdą na orbitę bez żadnych kłopotów, kiedy nagle mostkiem wstrząsnął potężny dreszcz. Rozpętało się piekło chaotycznych myśli, rozpadał deszcz drobnych, nie przymocowanych do konsol przedmiotów. Wstrząs trwał ledwie sekundę i już się nie powtórzył.

- Co to do diabła było? - rzucił zdenerwowany Dallas.

Odpowiedział mu brzęczyk interkomu. - To ty, Parker?

-Ja. Mieliśmy kłopoty.

- Poważne?

- Sam osądź, czy poważne. Przegrzany dukt na prawej burcie. Wszystkie przewody.

- Dacie radę coś z tym zrobić? - Żartujesz? Odcinam moc.

- Znów brak zgrania na ciągu. Zmieniam wektor - meldowała z namaszczeniem Ripley.

- Parker, niedługo wyjdziemy na pełną nieważkość - rzucił do mikrofonu Dallas. - Spróbujcie jakoś wytrzymać.

- A jak myślisz, co my tu robimy? Nic, tylko próbujemy. - W głośniku trzasnęło, Parker zamilkł.

Usłyszeli lekką zmianę w pracy silników. Nikt nie patrzył na sąsiada w obawie, że w jego oczach ujrzy własny strach.

Nostromo leciał teraz nieco wolniej, lecz nadal bez widocznego wysiłku. Wciąż przedzierał się przez kłęby czarnych chmur, wciąż utrzymywał kurs, by trafić na orbitę i znaleźć dryfującą rafinerię.

W przeciwieństwie do mostku, gdzie panował względny spokój, siłownię ogarnęło istne szaleństwo. Brett znów tkwił w dukcie, klęcząc, spływając potem, mając chęć uciec stamtąd gdzie pieprz rośnie.

- Połapałeś się wreszcie czy nie? - spytał niecierpliwie Parker czuwający na zewnątrz.

- Chyba tak. Znowu nałapaliśmy pyłu. Wloty zatkane. Dwójka grzeje jak cholera.

- Byczo! Myślałem, żeśmy ją wyłączyli!

- Ja też. Oslonę szlag trafił. Te pieprzone silniki są za delikatne.

- Nie zaprojektowali ich do latania w strugach piasku - przypomniał mu Parker.

- Wiesz co, popluj na nie przez dwie minuty i sprawa załatwiona. Za dwie minuty wejdziemy na orbitę.

Mostkiem targnął drugi wstrząs. Nikt nie odrywał wzroku od konsol. Dallas sięgnął do przełącznika interkomu, ale zrezygnował. Gdyby Parker chciał im o czymś zameldować, sam by się odezwał.

No, dalej, dalej, mój ty orle blaszany, poganiał w duchu statek. W górę, w górę, jeszcze trochę... Obiecał sobie, że jeśli Parker i Brett zdołają utrzymać główny ciąg przez dwie minuty, przyzna im premie, o które się tak bezustannie dopominali. Wskaźnik na konsolce mówił, że siła ciężenia gwałtownie spada. Jeszcze sześćdziesiąt sekund, błagał, nieświadomie głaszcząc przyległą ścianę. Jeszcze tylko jedna parszywa minuta.

Dziób Nostromo przebił warstwę chmur i statek wystrzelił w otwartą przestrzeń. Minutę i pięćdziesiąt sekund później wskazówka na mierniku grawitacyjnym Dallasa opadła na zero.

Na mostku rozległy się może nie za bardzo regulaminowe, ale z serca płynące okrzyki radości.

- Udało się! - Ripley opadła głębiej w miękki fotel. Do diaska, udało się!

- Kiedy rąbnęło nas pierwszy raz i straciliśmy szybkość, myślałem, że nie wyrobimy - wyznał ochryple Dallas. - Już widziałem, jak spadamy w kawałkach na tamte wzgórza. Gdybyśmy musieli iść w nadprzestrzeń i stracić rafinerię, rany boskie, moglibyśmy nie wracać do domu.

- No i co z tego? - skonstatowała poważnie Lambert. - Wylądowalibyśmy i zaczęli nadawać S.O.S. N a s z e S.O.S. , z Nostromo. Potem do hibernatorów, a inni szczęściarze, na jakimś innym statku, musieliby się budzić i spieszyć nam na ratunek. Proste.

Ani słowa o premii, powtarzał sobie Dallas, ani słowa, nie teraz. Zaskoczysz ich, kiedy wejdziemy na orbitę wokół Ziemi.

Ale teraz inżynierowie z siłowni zasługiwali przynajmniej na ustną pochwałę. Włączył interkom.

- Dobra robota, panowie. Jak maszyny? - Wyszliśmy z piachu i pracują jak złoto.

W głośniku rozległ się jakiś dziwny, suchy trzask. Dallas zmarszczył czoło, nie umiając go sobie z niczym skojarzyć. Po sekundzie zrozumiał, że to piwo, że to puszka z piwem, że Parker nie zachował zwykłej sobie ostrożności i otworzył ją zbyt blisko mikrofonu.

- Spacer, kapitanie, mały spacer - chępił się główny inżynier. - Jak ja i Brett coś naprawimy, to trzyma, nie ma siły, żeby puściło. - W głośniku coś zabulgotało, jak gdyby Parker zanurzył się nagle pod wodę.

- Jasne, Parker, dobra robota - pochwalił go Dallas. - Odpocznijcie sobie. Zasłużyliście na chwilę oddechu. Aha, Parker, jeszcze jedno:

- Taa?

- Kiedy już dotrzemy do Ziemi i nawiążesz łączność z nadzorem kontroli technicznej, trzymaj piwo z dala od mikrofonu, dobra?

Bulgotanie rozmyło się w tle.

Zadowolony z siebie Dallas wyłączył interkom.

- Zabieramy szmal i wracamy do domu - rzucił do wszystkich i do nikogo w szczególności. - Lambert, do garażu z nią.

Dziób Nostromo łagodnie opadł; już nie szli w górę tak ostro. Kilkanaście minut później namiernik wmontowany w konsolę nawigatora zaczął jednostajnie popiskiwać.

- Jest - zameldowała Lambert. - Tam, gdzie ją zostawiliśmy.

- Dobra. - Dallas włączył urządzenia cumownicze. Wyrównujemy kurs. Przygotować się do cumowania. Aparatura na mostku zamruczała. Nostromo dostosował kurs do dryfującej góry stali i plastiku. Ripley trzasnęła przełącznikiem i statek obrócił się rufą do cielska rafinerii.

- Na pozycji.

- Garażujemy - rozkazał Dallas z oczyma utkwionymi we wskaźniki, z palcami nad rzędem czerwonych przycisków.

- Ruszyliśmy. Wolno, wolno... - Ripley obserwowała dwa ekrany jednocześnie.

- Odległość coraz mniejsza, mniejsza... Dwadzieścia,... Piętnaście... Teraz. - Pchnęła dźwignię.

Dallas wcisnął czerwone guziczki.

- Silniki stop. Pełna stabilność bezwładnościowa. Włączyć zamek.

- Jest włączyć zamek - powtórzyła Ripley. - Zamek włączony.

Kiedy uruchomią ciąg nadprzestrzenny, Nostromo wytworzy wokół siebie pole, które obejmie również rafinerię. Latająca przetwórnica ruszy z nimi w bezkresną drogę, spowita ową tajemniczą aurą nierzeczywistości, która umożliwia ludziom podróżowanie z prędkością większą niż prędkość światła.

- Lambert, kurs na Ziemię - rzucił sucho Dallas. Ripley, daj pełny ciąg. Świetlna plus cztery.

- Z przyjemnością, kapitanie.

- Kurs obliczony i wprowadzony - zameldowała chwilę później Lambert. - Czas wracać do domu. - I dodała w duchu: nóżki wy moje, zabierzcie mnie stąd, zabierzcie...

Ripley wcisnęła przełącznik główny.

Małeńki świat z uwięzionym nań wrakiem obcego statku zniknął, jak gdyby nigdy nie istniał. Nostromo najpierw osiągnął, potem przekroczył prędkość światła. Wokół jego kadłuba i wokół masywu rafinerii wykwitła otoczka wyładowań

koronowych. Gwiazdy widoczne przed nimi zmieniły kolor na niebieski, a te za nimi na czerwony.

Sześciu członków załogi Nostromo pędziło z ulgą do ziemskiego domu. Sześciu członków załogi i coś, co ich zdaniem nazywało się... Kane.

Siedzieli w mesie. Pili kawę, herbatę albo inne ciepłe płyny, według gustu i smaku. Pozy, w jakich odpoczywali, odzwierciedlały stan ich umysłów. Nerwy, jeszcze nie tak dawno temu napięte jak postronki, teraz puściły, więc siedzieli luźno, z nogami wystawionymi niedbale przed siebie, z plecami opartymi o poduszki.

Lambert była wciąż na mostku. Sprawdziała kurs, nanosiła ostatnie poprawki. Za chwilę pozwoli sobie na luksus wypoczynku. Ash zszedł do izby zabiegowej, żeby czuwać przy Kane'ie. Stan zdrowia pierwszego oficera Nostromo stanowił główny temat rozmowy przy stole.

Parker wychylił filiżankę parującej herbaty, mlasnął głośno ustami i z typową dla niego pewnością siebie radził:

- Najlepiej będzie, jak wsadzimy go do hibernatora. Zamrozimy i Kane'a, i to parszywe chorobstwo.

- Nie wiadomo, czy w tym wypadku hibernacja coś da - oponował Dallas. - A jak mu się pogorszy? Środki powstrzymujące rozwój znanych nam chorób mogą tylko to świństwo uaktywnić.

- Lepiej go zahibernować niż siedzieć z założonymi rękami. - Parker machnął filiżanką jak buławą. - A nasz kochany autodok nie ma rąk i też nic nie robi. Nie jest w stanie rozgryźć tego paskudztwa. Za głupi jest i tyle, Ash ma rację. Te medyczne komputery umieją tylko leczyć chorobę grawitacyjną - jak się komuś rzygać chce, to proszę bardzo, natychmiast go wyleczą! - albo składać połamane kości, nic więcej. Na takie coś nie są przygotowane i od razu głupieją. Przecież uzgodniliśmy, że Kane'owi potrzebna jest pomoc specjalistyczna, tak?

- I sam przyznałeś że nie jesteśmy w stanie mu jej zapewnić.

- Tak jest! - Parker rozsiadł się wygodniej. - Dlatego powiadam: zamrozić go, wrócić do domu i ściągnąć do niego specja od tych pozaziemskich świństw.

- Racja. - Brett był tego samego zdania. Ripley pokręciła z politowaniem głową.

- Jak tylko on otworzy usta, ty zawsze mówisz: "racja", Brett. Zwariować można.

- Racja. - Brett uśmiechnął się szeroko. Ripley spojrzała na głównego inżyniera.

- Co o tym sądzisz, Parker? Twój podwładny łązi za tobą i gada "racja", nic tylko "racja". Jak wyuczona papuga.

Parker zerknął na Bretta.

- Racja, Brett. Co z tobą? Papuga nam tu niepotrzebna.

- Racja.

- Przestańcie, jak rany! Odbiło wam czy co? Dallasowi zrobiło się przykro. Nie chciał tego powiedzieć, ot bezmyślność. Trochę żartów, trochę luzu dobrze by im zrobiło, a on musiał się wtrącić i wszystko zepsuć. Dlaczego? Co go napadło? Relacje między członkami załogi Nostromo zawsze były nieformalne. Nie przestrzegano się tu standardowych układów typu dowódca-podwładny, pracowali razem jak równy z równym. Dlaczego więc nagle poczuł w sobie chęć odgrywania roli wszechwładnego kapitana?

Może dlatego, że znaleźli się w sytuacji do pewnego stopnia krytycznej i ktoś musiał nimi oficjalnie "dowodzić"? Odpowiedzialność go przygniatała. Parszywa robota. Wolałby teraz zamienić się miejscami z Ripley albo z Parkerem. Zwłaszcza z Parkerem. Bo Parker i Brett mogli zaszyć się w swojej siłowni i w błogości ducha kichać na wszystko, co ich bezpośrednio nie dotyczyło. Jeśli tylko układ napędowy Nostromo i silniki działały sprawnie, odpowiadali wyłącznie przed samymi sobą, przed nikim innym.

Nagle stwierdził, że w ogóle nie przepada za podejmowaniem decyzji. Może właśnie dlatego dowodził starym holownikiem, a nie wielkim liniowcem? Co więcej, uświadomił sobie, że chyba właśnie dlatego nigdy się nie żalił na niesprawiedliwy los. Jako kapitan holownika większość czasu spędzał w hibernatorze, gdzie spał i śnił o pensji i premiach. We śnie nie mógł przecież podejmować decyzji.

Już niedługo, myślał, już niedługo wrócić tam gdzie komfort, gdzie niebyć, już niedługo wrócić do swych lodowatych trumien. Poczują ukłucie igły, środek nasenny wnikać do żył, otumani mózg i lekko, łagodnie, odpłyną w piękną krainę ułud, gdzie nie trzeba podejmować decyzji, gdzie brzydkie niespodzianki wrogiego wszechświata nie mają wstępu.

Już niedługo, jak tylko dopiją kawę...

- Kane będzie musiał odbyć kwarantannę - powiedział bez związku, sącząc ciepławy płyn.

- My też, niestety.

Ripley wydawała się przerażona perspektywą kwarantanny. Koledzy ją rozumieli. Odbyć tak długą podróż, dolecieć wreszcie do Ziemi, a wszystko po to, żeby spędzić całe tygodnie w izolacji, dopóki lekarze nie stwierdzą, czy nie nabawili się przypadkiem tego samego świństwa, które rozłożyło Kane'a. Oczyma duszy widziała zieloną trawę, błękitne niebo, widziała plażę i niewielkie miasteczko na wybrzeżu Salwadoru, tak błogo, tak mocno osadzone na powierzchni ziemi. Już niedługo będzie musiała o tym zapomnieć. Bolesne uczucie...

Obrócili głowy. Do mesy i przygnębienia.

- Dobić was? - spytała. Dallas przygotowywał się gdy weszła Lambert. Zmęczona duchowo na potwierdzenie swoich domysłów. Wiedział, że Lambert została na mostku, wiedział, że coś tam sobie obliczała.

- Spróbuj.

- Uwzględniając czas stracony na ten nieprzewidziany postój, czas, jaki straciliśmy, zbaczając z wyznaczonego kursu...

- Daruj sobie szczegóły, Lambert - przerwał jej Dallas. - Wiem, że przez ten sygnał S.O.S. musieliśmy zboczyć z drogi. Konkretnie; jak długo będziemy lecieć?

Skończyła nalewać sobie kawę, opadła na krzesło i mruknęła ponuro:

Dziesięć miesięcy.

Chryste..

Ripley wbiła wzrok w dno swojej filiżanki. Jasne obłoki, trawa, plaża... Wspaniałe wizje rozmywały się z wolna, oblekały w błąd, niebieskozieloną mgłę, oddalały. To, czy spędzą w hibernatorach dziesięć miesięcy, czy trzydzieści dni nie stanowiło praktycznie żadnej różnicy, to prawda. Ale teraz myśleli kategoriami czasu realnego, prawdziwego, i Ripley wolałaby raczej usłyszeć wyrok sześć- niż dziesięciomiesięczny.

Odezwał się brzęczyk ,interkomu. Dallas pstryknął przełącznikiem.

- Co jest, Ash?

- Chodźcie zobaczyć Kane'a. Natychmiast. - Ash powiedział to tak, jakby zaszło coś nagłego i niespodziewanego, ale w jego głosie słysząc też było dziwne wahanie.

Kapitan wyprostował się w fotelu. Pozostali również.

- Co z nim? Pogorszyło mu się?

- Lepiej będzie, jak tu przyjdziecie i sami zobaczycie. Wszyscy rzucili się do korytarza. Na stole parowała zapomniana kawa.

Pędzili do izby zabiegowej. Kapitan przodem, za kapitanem reszta załogi. Głowa pękała Dallasowi od upiornych wizji. Jakie skutki wywołała u Kane'a ta choroba z obcego, wrogiego świata? Wyobraził sobie kłębowisko rozczapierzonych, gumowatych cyklopów pełzających po ścianach izby zabiegowej w poszukiwaniu nowych ofiar, wyobraził sobie ich makabryczne, szklisto wilgotne oczy. A może zastaną tam coś zupełnie innego, coś bez porównania ohydniejszego? Może zobaczą, jak nadgniłe, zjedzone trądem i rozpadające się ciało biednego Kane'a zżera jakiś koszmarny oślizły grzyb?

Ciężko dysząc z wysiłku dotarli do izby. Po ścianach nie pełzały żadne gumowate cyklopy, żaden oślizły grzyb nie zżerał ciała Kane'a. Meldunek Asha był bardzo nieprecyzyjny - umniejszał znaczenie tego, co się naprawdę stało.

Pierwszy oficer Nostromo siedział na blacie stołu zabiegowego. Oczy miał otwarte, myślące, wyraźnie współpracujące z mózgiem. Skierował je teraz na grupę nowo przybyłych, zdyszanych i zmęczonych.

- Kane? - Lambert wręcz nie mogła uwierzyć w to, co widzi. - Nic ci nie jest?

Wygląda nieźle, myślała gorączkowo, jak gdyby na tej okropnej planetoidzie nic nie zaszło.

- Podać ci coś? - wychrypiała Ripley, kiedy nie odpowiedział na pytanie Lambert.

- Zaschło mi w gardle...

Dallas uświadomił sobie nagle, kogo mu Kane w obecnym stanie przypomina: człowieka odzyskującego pamięć, człowieka wyleczonego z amnezji. Oficer był całkowicie przytomny, czujny, ale jakby czymś zaintrygowany, może zaskoczony. Wyglądało na to, że wciąż usiłuje pozbierać myśli.

- Czy mogę dostać trochę wody?

Ash skoczył do kranu, napełnił plastikowy kubeczek i podał go Kane'owi. Oficer wychylił wodę jednym haustem.

Koordinacja mięśniowa normalna, zauważył podświadomie Dallas. Podniósł kubek do ust instynktownie, bez namysłu...

Sytuacja była absurdalna. Wszyscy odczuwali nieopisaną ulgę, a przecież Kane'owi m u s i a ł o coś być.

- Jeszcze - poprosił, zachowując się jak człowiek w pełni nad sobą panujący.

Ripley znalazła większe naczynie, napełniła je po brzegi i podała Kane'owi. Wypił wszystko z łapczywością człowieka, który przez dziesięć lat błakał się po Saharze. Później opadł na miękkie wezgłowie ciężko dysząc.

- Jak się czujesz? - spytał Dallas. - Strasznie. Co się ze mną działo? - Nie pamiętasz?

A więc jednak coś w rodzaju amnezji. Trafiłem prawie w dziesiątkę, pomyślał z satysfakcją Dallas.

Kane skrzywił się lekko z bólu. Dawno nie używane mięśnie dawały o sobie znać - a później głęboko odetchnął.

- Nic nie pamiętam, kompletnie nic. Z trudem przy pomniałem sobie, jak się nazywam.

Właśnie, jak się nazywasz? - spytał Ash z zawodową czujnością. - Tak dla formalności.

W raporcie medycznym muszę uwzględnić każdy szczegół.

- Kane. Thomas Kane.

- I nie pamiętasz nic więcej?

- Na razie nic. - Przesunął wzrokiem po ich spiętych twarzach. Wolno, powoli. - To znaczy, pamiętam was wszystkich, ale wyleciały mi z głowy imiona...

- Przypomnisz sobie, wszystko sobie przypomnisz zapewniał go z przekonaniem Ash. - Pamiętasz własne nazwisko, pamiętasz twarz. To dobry początek. I znak, że amnezja nie jest całkowita.

- Boli cię coś? - Dziwne, ale to właśnie mało zazwyczaj wrażliwy Parker zadał pierwsze troskliwe pytanie:

- Wszystko. Czuję się tak, jakby ktoś tłukł mnie kijem przez sześć lat. - Usiadł, spuścił nogi ze stołu i uśmiechnął się wesoło. - Boże, głodny jestem jak wilk. Jak długo byłem nieprzytomny?

Dallas wciąż gapił się na Kane'a z niedowierzaniem w oczach. Nic mu nie jest ? Nic?! Absolutnie nic?!

- Dwa dni. Na pewno niczego sobie nie przypominasz? Kompletnie niczego?

- Kompletnie.

- A jaka jest ostatnia rzecz, którą pamiętasz? - spytała Ripley .

- Nie wiem.

- Byłeś ze mną i z Dallasem na takiej dziwnej planetoidzie, szliśmy na rekonesans. Pamiętasz, co się tam stało? Kane zmarszczył czoło. Usiłował przepchnąć oporne myśli przez mroczny parawan niepamięci, ale wspomnienia, te najistotniejsze, wciąż pozostawały poza zasięgiem umysłu. Był to bolesny, męczący i bezowocny proces.

- Pamiętam tylko jakiś koszmar... chyba sen o tym, jak się dusilem. Gdzie teraz jesteśmy? Ciągłe na tej planetoidzie?

Ripley dokręciła przecząco głową.

- Nie na szczęście już nie. Lecimy nadprzestrzenną, na Ziemię, do domu.

- Właśnie szykujemy się do snu - dodał z lubością Brett.

Podobnie jak inni, Brett też już bardzo chciał zapaść w niebyt i oddać się pod troskliwą opiekę hibernatora. Jak inni, też pragnął, żeby wraz z ich ciałami w lodowatej pustce pograżyła się ohydna zmora, która prześladowała wszystkich członków załogi Nostromo.

Chociaż widok ozdowieńca oddalał wspomnienie ohydztwa, jakie z nim trafiło na pokład Nostromo, zeszywniały stwór nadal tam był. Tkwił nieruchomo w zamkniętym, przezroczystym naczyniu i każdy mógł go sobie obejrzeć.

- Znakomity pomysł - rzekł ochoczo pierwszy oficer. - Jestem tak oszołomiony, tak zmęczony, że usnąłbym w pierwszym lepszym kącie, i to bez hibernatora. - Rozejrzał się szybko po izbie.

- Ale zdycham z głodu, naprawdę. Chciałbym coś zjeść, zanim damy w oko.

- Też jestem głodny. - Parkerowi zaburczało wymownie w brzuchu. - Jak się człowiek budzi o pustym żołądku, ciężko mu wyłazić z lodówki. Lepiej przed snem coś zjeść. Wtedy łatwiej wstawać.

Nie powiem nie - zdecydował Dallas. Zanosilo się na coś w rodzaju uroczystej kolacji na cześć Kane'a. Ponieważ nie mieli na pokładzie trunków, będzie im musiała wystarczyć skromna uczta.

Wszyscy chętnie coś zjemy dodał. - A potem spać...

9.

Obok gorącej kawy i herbaty na stole pojawiło się jedzenie serwowane według indywidualnych upodobań i gustów. Wszyscy jedli powoli, z namaszczeniem, rozkoszując się bynajmniej nie szczodrością automatycznego kucharza, a tym, że znów są razem, w komplecie.

Tylko Kane jadł inaczej. Kane pożerał wszystko jak zgłodniały wilk. Zmiotł już dwie porcje sztucznego mięsa i warzyw, właśnie napoczął trzecią i zanosilo się, że sięgnie po czwartą. Kot Jones, obojętny wobec popisów ludzkiego obżarstwa, siedział tuż obok, pośrodku stołu, i delikatnie skubał ze swojej miseczki.

Kane oderwał wzrok od talerza, machnął łyżką i z ustami pełnymi jedzenia powiedział:

- Wiecie, co zrobię, jak tylko wrócimy do domu? Natychmiast zjem coś przyzwoitego. Dość mam tych sztuczności. Niech ci z Towarzystwa mówią sobie, co chcą, ale to żarcie zalatuje szambem i chemikaliami. Tak, nawet kilogram przypraw i dodatków nie zabije tego posmaczku.

- Jadałem już gorsze żarcie - oznajmił w zamyśleniu Parker. - Ale i lepsze, to fakt.

Ręka Lambert z nabitym na widelec stekiem - nie - stekiem zamarła w połowie drogi między talerzem a ustami.

- Jak na kogoś, komu to nie smakuje, opychasz się jakbyś miał nie dożyć jutra. - Lambert posłała inżynierowi kuse spojrzenie.

- Nie, właściwie nawet mi smakuje - tłumaczył się Parker, pakując usta pełną łyżkę.

- Poważnie? - Kane nie przestał co prawda jeść, ale spojrzał na głównego inżyniera tak, jakby miał przed sobą faceta cierpiącego na ciężką chorobę umysłową.

- Poważnie, smakuje mi. - Wyglądało na to, że Parker usiłuje się bronić. - To żarcie przypomina mi coś swojskiego, coś, co kiedyś już jadłem...

- I prawidłowo - zauważył celnie Kane. - Wiesz, z czego jest zrobione?

- Wiem. I co z tego? Teraz to tylko żarcie. A ty co? Gadasz, gadasz, a sam wcinasz, aż ci się uszy trzęsą.

- Ja mam wytłumaczenie. - Kane nadział na widelec olbrzymi kawał mięsa. - Umieram z głodu.

Rozejrzał się wokół stołu. - Czy ktoś mi może powiedzieć, jaki wpływ na apetyt ma amnezja?

- Apetyt, Chryste... - Dallas dłużył widelcem w resztkach na talerzu. - Kiedy leżałeś w izbie zabiegowej, autodok podawał tylko płyny, nic więcej. Sacharoza,

dekstroza i cała reszta nie pozwalają człowiekowi zdechnąć z głodu, ale żołądek ma się wtedy pusty. Nic dziwnego, że chce ci się jeść.

- Właśnie. - Kane przełknął wielką porcję warzyw. - Czuję się prawie tak, jakbym... jakbym...

Nagle urwał i skrzywił twarz. Był lekko zmieszany, trochę przestraszony. Ripley nachyliła się ku niemu.

- Co się stało? Coś w tych warzywach?

- Nie... Chyba nie. Smakują mi, ale... - Znow urwał w połowie zdania. Miał napięty wyraz twarzy, zaczął dziwnie pochrząkiwać.

Co z tobą, Kane? - spytała zaniepokojona Lambert. - Nie wiem.

Wykrzywił twarz jak bokser, który oberwał mocno w brzuch. - Mam skurcze... Koszmarne skurcze...

Zdenerwowani patrzyli, jak pierwszy oficer skręca się z bólu. Naraz wydał z siebie głęboki, donośny jęk i chwycił za brzeg stołu. Kostki u rąk mu zbieleły, ścięgna były napięte jak struny. Dostał dreszczy, dygotał jakby z zimna, chociaż w miesie było bardzo ciepło.

- Oddychaj, głęboko oddychaj - rzucił Ash, gdy nikt inny nie pośpieszył z radą.

Kane spróbował. Głęboki wdech przerodził się w straszny krzyk.

- Boże, tak potwornie mnie boli! Boli mnie! Boli! Wstał chwiejnie z krzesła, wbijając palce w stół, bojąc się zwolnić uchwyt. - Aaaaakhhh...! - wycharczał.

- Kane! Kane! - krzyknął bezradnie Brett. - Co boli? Powiedz, co cię boli! Coś w...

Brett nie dokończył. Twarz pierwszego oficera skurczyła się jak w agonii, co podziałało na inżyniera bardziej niż najokropniejszy krzyk.

Kane upadł na stół. Spróbował wstać, ale nie mógł i znow upadł na blat. Nie kontrolował już odruchów własnego ciała. Oczy wyszły mu z orbit, wydał z siebie przeraźliwy, upiorny wrzask, który dźwięczał w każdym zakamarku mesy, który świdrował w uszach, nie oszczędzając nikogo z zebranych.

- Koszula... Jego koszula... - wyszeptała Ripley, zeszywniała jak Kane, choć z innego powodu. Wskazywała ręką pierś oficera, który osunął się właśnie na krzesło.

Na koszuli Kane'a wykwitła czerwona plama. Rozrastała się szybko. wkrótce była już nieregularnym, krwawym zaciekiem pokrywającym górną część brzucha. Usłyszeli odgłos darcia materiału, który w ciasnej mesie zabrzmiał z jakąś ohydą, isticie intymną wyrazistością. Koszula oficera pękła niczym dojrzały arbuz. Przesycona krwią, zwinęła się na obie strony, a spomiędzy strzępów wychynęła mała głowa wielkości ludzkiej pięści. Głowa skręcała się i wyginała niczym łeb węża z ostrymi jak szpilki zębami powalanymi krwią. Skórę miała białawą, obrzydliwie bładą, pokrytą teraz ciemnoczerwonym śluzem. Nie zauważyli na niej

żadnych organów zewnętrznych, nawet oczu. Mesę wypełnił mdlący odór, smród jak z dołu kloaczego, fetor nie do wytrzymania.

Do spazmatycznego wrzasku Kane'a dołączyły krzyki innych. Niedawni biesiadnicy przerażeni, ogarnięci paniką odstąpili chwiejnie od stołu. Wyprzedził ich Jones, który rzucił się instynktownie do ucieczki. Napuszony, z ogonem w górze, zasyczał wściekle i dwoma gigantycznymi susami dał drapaką z mesy.

Najeżony zębami łeb sterczący z piersi Kane'a drgnął, szarpnął się konwulsyjnie i jednym zrywem wydostał na wierzch. Łeb i szyja były przytwierdzone do zbitego, silnego ciała pokrytego skórą w tym samym, ohydnie białawym kolorze. Szponiaste łapy, albo nogi, niosły stworzenie z nieoczekiwaną szybkością. Wlokąc za sobą wnętrzości Kane'a, wylądowało z płaskiem pośród talerzy znacząc wszystko dookoła krwią zmieszaną z płynami ustrojowymi. Potworek przypominał Dallasowi zarżniętego indyka z zębami sterczącymi na kikucie szyi.

Zanim odzyskali zdolność myślenia i działania, obcy spełznął ze stołu i z szybkością i zwinnością jaszczurki zniknął w korytarzu.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie poruszył. W mesie słyhać było tylko ich ciężkie oddechy. Kane półleżał na krześle. Głowę miał odrzuconą do tyłu, usta szeroko otwarte. Dallas dziękował za to Bogu. Nikt z nich nie musiał patrzeć na jego wybałuszone oczy.

W rozszarpanej piersi oficera ziała wielka dziura o nieregularnych, wystrzępionych brzegach. Nawet z tej odległości kapitan widział, że organy wewnętrzne są praktycznie nienaruszone, że to koszmarnie monstrum rozsunęło je tylko na boki, aby zrobić dla siebie miejsce. Na stole i na podłodze leżały porzucane naczynia. Resztki nie dojedzonej kolacji pokrywała cienka warstewka lepkiej krwi.

- Nie! Nie! Nie! - powtarzała w kółko Lambert, nie odrywając od stołu obłąkanych oczu.

- Co to było? - wyszeptał ochryple Brett, wpatrując się tępo w zwłoki Kane'a. - Chryste Panie, co to było? Parkera cały czas mdliło, dlatego ani myślał szydzić z Ripley, kiedy odwróciła się i zwymiotowała.

- Rosło w nim, a on nawet o tym nie wiedział...

- Skorzystał z Kane'a jak z inkubatora - teoretyzował cicho Ash. - Podobne zachowania obserwuje się u pewnego gatunku os. Najpierw paraliżują pająka, później składają na nim jaja. Kiedy wylęgną się Larwy, zaczynają pożerać...

- Zamknij gębę! Na miłość boską, zamknij gębę! wrzasnęła Lambert, otrząsając się z transu.

Ash był dotknięty.

- Chciałem tylko... - Pochwycił spojrzenie Dallasa, skinął niedostrzegalnie głową i zmienił temat. - To oczywiście, co się stało.

- Ta ciemna plama na soczewce skanera... - Kapitan też nie czuł się najlepiej. Miał tylko nadzieję, że nie drży i nie dygocze jak reszta załogi. - To nie była plama, ono tkwiło w nim przez cały czas. Dlaczego skaner przekłamał?

- Nie istniał żaden powód, najmniejszy powód, żeby coś takiego podejrzewać - tłumaczył spieszenie naukowiec. - Kiedy go badaliśmy, plama była zbyt mała, żeby zwracać na nią uwagę. I wyglądała jak plamka, jak jakaś drobna wada soczewki. Zresztą to naprawdę mogła być plama.

- Nie rozumiem.

- Jest rzeczą całkiem możliwą, że na tym etapie rozwoju stworzenie wytwarza rodzaj naturalnego pola ochronnego, które może przechwytywać i blokować promienie ze skanera. Tak, w przeciwieństwie do postaci pierwotnej, do tej palczastej "dłoni", której wnętrzu mogliśmy w miarę dokładnie zbadać. Nauka zna stworzenia zdolne do generowania takiego pola. Narzuca to możliwość istnienia struktur biologicznych, których znaczenia nie jestem w stanie odgadnąć albo systemów obronnych zdolnych do pokonania tak rozwiniętych i wyrafinowanych organizmów, że wolę o nich nawet nie myśleć.

- A w sumie, Ash - skostatowała Ripley, ocierając usta czystą serwetką - cała rzecz sprowadza się do tego, że mamy na pokładzie jeszcze jedno obce bydlę. Najprawdopodobniej usposobione wrogo jak tamto i po dwakroć bardziej niebezpieczne. - Spojrzała na niego wyzywająco, lecz tym razem naukowiec albo nie chciał się z nią sprzeczać, albo nie miał argumentów.

- Fakt. W dodatku jest na wolności, gdzieś na statku.

Dallas podszedł niechętnie do ciała pierwszego oficera. Dołączyli do niego Lambert, Ripley, Brett, Parker i Ash. Musieli dokładnie obejrzeć zwłoki, jakkolwiek nieprzyjemne to było zajęcie. Spoglądając na siebie znacząco, otoczyli Kane'a małym, zwartym kręgiem.

Nieskończony groźny wszechświat otulał szczelnie kadłub Nostromo. W korytarzach statku i w ciasnej mesie unosił się intensywny słodkawy zapach śmierci...

Parker i Brett zeszli po drabince wiodącej na pokład serwisowy i dołączyli do reszty zmęczonych i zniechęconych uczestników polowania.

- Są jakieś ślady? - spytał zebranych Dallas. - Jakież obce zapachy, krew... - Zawahał się. - Szczątki Kane'a?

- Nie ma żadnych śladów - odparła Lambert.

- Żadnych - zawtórował jej jawnie rozczarowany Ash. Parker otrzepał ramiona z kurzu.

- Ni cholery, kapitanie - mruknął. - Niczego nie zauważyłem. Ten jaszczur wie, jak się chować.

- Ja też go nie widziałem - zameldował Brett. - Nie mam pojęcia, gdzie się ukrył. Z drugiej strony jest tu sporo zakamarków, w które my się nie wciśniemy. Ale nie wyobrażam sobie, żeby w tych gorących duktach cokolwiek mogło przeżyć.

- Nie zapominaj, że jego... - Dallas spojrzał na Asha. - Jak nazwałbyś tę pierwszą postać, te skórzaste jaja? - Postać przed larwalna. To tylko nazwa. Nie wiem, jakie stadia rozwoju to stworzenie przechodzi.

No właśnie. Więc nie zapominajmy, w jakich warunkach żyła ta postać przed larwalna. Wiemy, że stwór jest silny, odporny na warunki klimatyczne i umie się błyskawicznie adaptować do nowego środowiska. Nie zdziwiłbym się, gdyby uwił sobie gniazdko na szczycie reaktora.

- Jak tam wlaźł, to w życiu go nie wydostaniemy zauważył Parker.

- Miejmy nadzieję, że uciekł gdzieś indziej. Gdzieś, gdzie go można schwytać.

- Musimy znaleźć tego parszywca. - Na twarzy Ripley malował się wyraz głębokiego zmartwienia.

- A dlaczego byśmy nie mieli pójść spać? - zaproponował Brett. - Wleziemy do hibernatorów, wypompujemy powietrze do zbiorników i udusimy to szkaradztwo.

- Po pierwsze, nie wiemy, jak długo może wytrzymać bez oddychania - argumentowała z pasją Ripley. - A jak on wcale nie musi oddychać, to co? Widzieliśmy tylko jego pysk, nozdrzy nie było.

- Każde stworzenie musi oddychać. Jakoś i czymś. Brett wciąż się opierał, ale stracił werwę.

Puściła do niego oko. - Dasz za to głowę? Brett nie odpowiedział.

- Poza tym jak wypompujemy powietrze, on się znów przystosuje do nowych warunków i niewykluczone, że będzie czerpał niezbędne mu gazy z... pożywienia. Znajdzie nas w hibernatorach i potraktuje jak zamrożone konserwy! Pamiętajcie, z jaką łatwością to palczaste bydlę przeżarło osłonę hełmu Kane'a? kto zagwarantuje, że jaszczur nie zrobi tego samego z hibernatorami? - Pokręciła głową. - Nie, kochani, nie pójde spać, dopóki go nie znajdziemy i nie zabijemy.

- Ale przecież nie jesteśmy w stanie go zabić! - Lambert kopnęła z wściekłością pobliską ścianę. - Budowę wewnętrzną gna pewnie taką samą jak ten pierwszy z okiem. Jeśli tak, to laser nic tu nie poradzi, bo to paskudztwo zacznie sikać dookoła kwasem. Jaszczur jest o wiele większy, prawda? Jeżeli jego ciele krąży ta sama ciecz, wypali nam taką dziurę, że za Boga jej nie załatamy. A dobrze wiecie, że w nadświatłnej szczelność kadłuba jest cholernie ważna. Nie wspominając już o znaczeniu przewodów biegnących w jego wnętrzu.

- A to skurwysyn... - mruknął Brett. - Więc jeśli nie możemy go zabić, to co wtedy? Co z nim zrobimy, jak go już złapiemy?

- Trzeba go w jakiś sposób wytropić, schwytąć i usunąć ze statku. - Spojrzała na kapitana, szukając wsparcia dla swego planu.

Dallas myślał chwilę.

- Nie widzę innego wyjścia. Musimy spróbować.

- Pogadamy jeszcze trochę i nasze decyzje wezmą w łeb - przypomniał im Ash.

- Zapasy mamy ściśle wyliczone, dostosowane do czasu, jaki spędzamy poza hibernatorami. Usilnie nalegam, żebyśmy natychmiast podjęli zorganizowane poszukiwania.

- Słusznie - zgodziła się bez wahania Ripley. - Najpierw musimy go znaleźć.- Nie - powstrzymał ich Dallas dziwnie zdławionym głosem.

Spojrzeni na niego pytająco.

- Najpierw musimy zrobić coś innego... - Spojrzał w głąb korytarza. Przez otwarte drzwi mesy zobaczyli zwłoki Kane'a.

Przeszukali magazyn i pośród najrozmaitszych zapasów znaleźli akurat tyle materiału, że starczyło na sporządzenie prymitywnego całunu, który Parker, z braku nici, zszył promieniem lasera. Całun był nie wykończony, źle skrojony i kiedy wracali ze służby na mostek, bardzo ich to dręczyło. Pocieszali się tylko tym, że dali z siebie wszystko, że nic więcej zrobić nie byli w stanie.

Bo owszem, mogli zamrozić ciało, żeby pochować je z pełnym ceremoniałem na Ziemi, ale ponieważ wieka hibernatorów były przezroczyste, zaraz po przebudzeniu ujrzeliby rozszarpane zwłoki przyjaciela. Nie, lepiej załatwić to tu i teraz, szybko i czysto, lepiej o wszystkim jak najprędzej zapomnieć.

Na mostku zajęli miejsca przy swoich stanowiskach. Przygnębienie wisiało w powietrzu niczym gęsta mgła. Dallas zerknął na wskaźniki i rzucił pośpiechu:

- Wewnętrzna gródź zaizolowana. - Ripley potwierdziła skinieniem głowy.

- Pompujesz służbę?

I znów nieme przytaknięcie. Dallas zawahał się i omiótł wzrokiem ich smutne twarze. Nikt nie odwzajemnił spojrzenia.

- Ktoś chce coś powiedzieć?

Cóż można było powiedzieć... Nic. Kane'a nie ma. Żył, a teraz nie żyje. Nikt z załogi Nostromo nie startował w konkursach krasomówczych.

Tylko Lambert zabrała głos.

- Skończmy z tym - szepnęła.

Dallas pomyślał, że "Skończmy z tym" to niezbyt udane epitafium, ale sam nie był w stanie sklecić niczego rozsądniejszego, gdyż siedział jak na szpilkach - tracili cenny czas! Dał znak czuwającej Ripley.

Ripley pchnęła dźwignię. Zewnętrzne drzwi śluzy odskoczyły z cichym trzaskiem. Różnica ciśnień wyrzuciła ciało Kane'a w pustkę kosmosu i złożyła do grobu nicości.

Litościwie szybki był to pogrzeb (Dallas odegnał nieprzyjemne skojarzenia; w identyczny sposób usuwali ze statku niektóre odpadki). Kane miał w sumie przyzwoitszy pochówek niż śmierć. Jego ostatni, i dręczony krzyk wciąż rozbrzmiewał w uszach kapitana niczym bolesne, nie kończące się echo.

Znów zebrali się w mesie. Tu łatwiej było rozmawiać, bo tutaj mogli sobie patrzeć w oczy. I jeszcze coś: zebranie w mesie stanowiło dla kapitana doskonały pretekst, żeby załoga pomogła mu w uprzątnięciu straszliwego bałaganu, jaki tutaj panował.

- Sprawdziłam zapasy - zameldowała Ripley. - Jeśli naszpikujemy się środkami pobudzającymi, wystarczą na tydzień. Najwyżej na dzień dłużej.

- A co potem? - Brett podrapał się w brodę.

- Potem skończy się żarcie i tlen. Bez żarcia damy sobie radę, bez tlenu nie. Tu powstaje bardzo ciekawy problem: czy zdołamy przeżyć na nie przerobionych biologicznie odpadkach czy nie?

Lambert skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Cholernie apetyczna perspektywa. Wielkie dzięki, wolę już raczej zdechnąć.

- A więc mamy tydzień. Bardzo pracowity tydzień. To dużo czasu. Aż za dużo, żeby znaleźć jedną małą jaszczurkę i ją zatłuc - powiedział Dallas, siląc się na maksymalny spokój i pewność siebie.

Brett wbił wzrok w podłogę.

- A ja nadal twierdzę, że powinniśmy wypompować ze statku powietrze. To ją może zabić. Według mnie taki sposób jest najbezpieczniejszy. Unikniemy konieczności bezpośredniego kontaktu z tym szkaradztwem. Nie wiemy, do czego jest zdolne, czym nas może zaskoczyć.

- Już to przerabialiśmy, nie pamiętasz? - przypomniała mu Ripley.

- Ale w tamtej wersji mieliśmy się zamknąć w hibernatorach. A gdybyśmy tak nałożyli skafandry i wypompowali ze statku powietrze? Przecież wtedy to bydlę nas nie zaskoczy, co nie?

- Bomba, kapitalny pomysł - powiedziała grobowym ; głosem Lambert.

- I to ci się nie podoba? Dlaczego?

- Powietrza w skafandrach wystarczy na czterdzieści osiem godzin, a w domu znajdziemy się za dziesięć miesięcy, prawda? - wyjaśnił Ash. - Jeśli to stworzenie wytrzyma czterdzieści osiem godzin bez powietrza, wrócimy do punktu, wyjścia i pozbędziemy się przy okazji dwudniowego zapasu tlenu w skafandrach.

- A poza tym to naprawdę bomba - sztychała Lambert. - No dalej, Parker, rusz głową! Brett, ty też.

Inżynierowie nie zamierzali tak łatwo zrezygnować ze swego planu.

- A może by tak podłączyć skafandry do zbiorników głównych? - zaproponował Parker. - Długimi przewodami, co? Niezły z nas mechanicy, damy radę. Najtrudniejsza sprawa to zawory, ale dla chcącego nie ma nic trudnego.

Ostatecznie to dzięki nam wystartowaliście, nie?

- Zawsze był z ciebie skromny facet, Parker. - Sarkazm w głosie Ripley ciął jak brzytwa.

- Takie rozwiązanie nie jest zbyt praktyczne, panowie - tłumaczył Ash współczując inżynierom. - Istnieje realne prawdopodobieństwo, że to stworzenie jest w stanie, egzystować bez powietrza. Ale problem jest o wiele bardziej złożony. Nie możemy przecież uwiązać się do zbiorników głównych i jednocześnie ścigać tego jaszczura, jak go nazywacie. Nawet gdyby wasz pomysł wypalił, zużyjemy tyle powietrza, że nie starczy go do końca podróży. Hibernatory otworzą się, a wokół będzie... próżnia.

- A gdybyśmy uprzedzili Ziemię, że nie mamy powietrza? - dywagował Parker.

- Mogliby napełnić nam zbiorniki, jak tylko zacumujemy.

- Zbyt ryzykowne - powątpiewał naukowiec. - Po pierwsze, nasza wiadomość dotarłaby do nich na minutę, dwie, przed *Nostramo*. Grupa ratunkowa musiałaby nas spotkać w chwili wyjścia statku z nadprzestrzeni. Musieliby przycumować, wpompować powietrze bez naruszenia integralności kadłuba... Nie, raczej niewykonalne. Ale zakładając nawet, że, takie rozwiązanie jest do przyjęcia, w jednej kwestii absolutnie zgadzam się z Ripley. Nie możemy ryzykować i zamykać się w hibernatorach, nim tego stworzenia nie złapiemy. Albo nie zabijemy. A nie będziemy wiedzieć, czy zdechło, jeśli najpierw spędzimy dwa dni w skafandrach, a później na złamanie karku pognamy do hibernatorów.

- Nadal utrzymuję, że to niezły pomysł - prychnął Parker.

- Przejdźmy do rzeczy najważniejszej - ucięła niecierpliwie Ripley. - Jak tego jaszczura znajdziemy? Możemy go zabić na kilka sposobów, przynajmniej spróbować go zabić, ale najpierw musimy wiedzieć, gdzie u diabła jest. Nie zapominajcie, że kamery na pokładach "B" i "C" nie działają.

- Musimy go wypłoszyć. - Dallas był zdziwiony, jak łatwo przyszło mu podjąć tę straszną, lecz jedyną decyzję. Kiedy już ją podjął, doświadczył swego rodzaju ulgi, ulgi przesyczonej rezygnacją.

- Brzmi rozsądnie - przyznał naukowiec. - Ale zawsze łatwiej powiedzieć niż zrobić. Masz jakiś plan?

Nie chcieli, by ujął w słowa to, czego się domyślali, co było nieuniknione; widział to po ich twarzach. Lecz inny sposób po prostu nie istniał.

- Pójście na łatwiznę nic nam nie da. Jest tylko jeden sposób, żeby obcy nam się nie wymknął. Będziemy musieli przeszukać pomieszczenie po pomieszczeniu,

korytarz po korytarzu. To nam zapewni najbardziej racjonalne wykorzystanie zapasów powietrza.

- A może zbudujemy naprędce jakieś przenośne urządzenie zamrażające? - rzuciła bez przekonania Ripley. Zamrozimy zdalnie wszystkie korytarze, wszystkie... urwała widząc, jak Dallas pokręcił smutno głową. Odwróciła wzrok. - Nie, nie boję się, próbuję tylko podsunąć jakieś praktyczne rozwiązanie. Podobnie jak Parker myślę, że dobrze by było starać się unikać otwartej konfrontacji... .

- Daj spokój, Ripley - przerwał jej Dallas dźgając się kciukiem w pierś. - Sam tak się boję, że w portki mało nie narobię. Wszyscy się boimy. Nie mamy czasu pieprzyć się z czymś tak skomplikowanym jak urządzenie zamrażające. Dość czasu straciliśmy pozwalając na to, żeby Kane'em zajmowała się maszyna. Pora zająć się samymi sobą, innego wyjścia nie ma. Taka jest nasza rola na tym statku. Kiedy maszyny zawała sprawę, do działania wkraczają ludzie. Poza tym chcę wreszcie zapędzić tego małego potwora do śluzy, chcę mu dać kopa w dupę i zobaczyć, jak za burtą próżnia rozrywa go na strzępy.

Nie było to przemówienie zbyt inspirujące. Inspirującego przemówienia Dallas nie chciał zresztą wygłaszać, bynajmniej. Ale miało zupełnie nieoczekiwany efekt, ożywczy, stymulujący. Zamiast wbijać wzrok w podłogę, zamiast rozglądać się bezradnie po ścianach, znów mogli spojrzeć sobie w oczy. Tu i ówdzie słychać było groźne pomruki pełne determinacji.

- Zgoda - rzekła Lambert. - Wypłoszymy go z kryjówki, zapędzimy do śluzy i wywalimy za burtę. Chciałabym wiedzieć jedno: jak to zrobimy?

- Może zastawić na niego jakąś pułapkę...? - Ripley rozważała w duchu najprzeróżniejsze warianty. Fakt, że obcy mógł w każdej chwili trysnąć żrącym kwasem, powodował, że wszystkie były kompletnie do niczego.

- Niewykluczone, że są substancje niemetaliczne, których ten stwór nie jest w stanie tak szybko zniszczyć - myślał głośno Brett pokazując, że śledził tor rozumowania Ripley. - Na przykład trylon, sznur trylonowy. Gdybyśmy zrobili z niego sieć, może udałoby się nam to szkaradztwo schwytać. No i cienka sieć to co innego niż metalowa krata, nie? Ten sukinsyn nie czułby się tak bardzo zagrożony. Popatrzył po twarzach kolegów. - Mógłbym coś takiego sklecić, zespawać, i to w miarę szybko.

- On myśli, że idziemy łapać motylki! Chryste... - dopiekła mu Lambert.

- Jak chcesz go zapędzić do sieci? - zapytał spokojnie Dallas.

Brett zastanawiał się przez chwilę.

- Musielibyśmy użyć czegoś, co go nie zrani, to jasne. Noże, rylce, ostro zakończone sondy i tak dalej odpadają. Pistolety też. Mógłbym przygotować kilka długich rurek z akumulatorami w środku. Rurek i akumulatorów mamy od groma, gdzieś w magazynie. Parę godzin i będą gotowe.

Dasz radę zrobić i sieć, i te pręty? W parę godzin?

- Jasne. To nic skomplikowanego.

Lambert nie wytrzymała.

- Rany boskie, ludzie! Najpierw chciał polować na motylki, teraz chce, żebyśmy dźgali tego jaszczura kijami! Jak krowę na pastwisku! Po jaką cholere tego wszystkiego wysłuchujemy?

Dallas analizował pomysł Bretta, wyobrażając sobie jego poszczególne fazy. Obcy stwór w pułapce. Szczerzy groźnie kły, pokazuje pazury. Z lewej - seria wstrząsów elektrycznych silnych na tyle, by go tylko podrażnić, w żadnym wypadku zranić. Z prawej - trylonowa sieć. Dwoje z nich zapędza obcego do sieci, skupia na sobie jego uwagę, podczas gdy reszta wlecze go do śluz. Jaszczur albo sieć zniszczy, albo i nie. Na wszelki wypadek muszą mieć pod ręką dwie zapasowe. Później monstrum ląduje w śluzie, hermetyzują luk wewnętrzny i czym prędzej otwierają zewnętrzny. I żegnaj, wynaturzony bydlaku! Leć sobie na najbliższą gwiazdę i niech cię diabli tam wezmą! Żegnaj, koszmarna zmozo! Koniec z paranoją! Witaj, Ziemi...

Przypomniiał mu się ostatni niepoehlebny komentarz Lambert.

- Zrobimy, jak mówi Brett - powiedział do wszystkich i do nikogo w szczególności. - Bo tym razem nasz inżynier może mieć rację...

Nostramo, obojętny na szaleńcze wysiłki jednych i pełne rezygnacji nieróbstwo innych, pędził w kierunku Ziemi z prędkością wielokrotnie przekraczającą prędkość światła. Na wykonanie sieci i prętów Brett dostał kilka godzin, tymczasem pracowali z Parkerem tak, jakby mieli na to ledwie kilka minut. Parker zaczynał żałować, że robota nie jest bardziej skomplikowana. Nie byłoby wtedy czasu na nerwowe oglądanie się za siebie, na zerkanie w ciemne zakamarki, szafy i korytarze.

Reszta załogi usiłowała tymczasem zająć jakoś myśli. Czekali, aż inżynierowie skończą. Początkowo zadawali sobie pytanie, gdzie ukrył się ten ohydny jaszczur. Z upływem minut w umysłach niektórych astronautów zaczęło kiełkować pytanie inne, o wiele straszniejsze: Co ten ohydny stwór teraz robi?

Tylko jeden członek załogi *Nostramo* myślał o czymś innym. Rozważał pewną kwestię z taką intensywnością, że problem ów rozrósł się do krytycznych zaiste rozmiarów. Miał wybór: mógł przedyskutować sprawę z całą załogą albo rozstrzygnąć go w samotności. Gdyby zdecydował się z nimi rozmawiać i gdyby udowodnili mu, że nie ma racji - a gorąco tego pragnął - w sposób nieodwracalny ucierpiałoby morale całej załogi. Nie wspominając już o tym, że kapitan wytoczyłby mu z pewnością proces.

Jeśli rozumował poprawnie, tamci wcześniej czy później na to wpadną.

Ash siedział przy konsolce w izbie zabiegowej. Wystukiwał na klawiaturze pytanie za pytaniem, od czasu do czasu otrzymywał w miarę użyteczną odpowiedź. Oderwał wzrok od monitora, uśmiechnął się do wchodzącego Dallasa i wrócił do pracy.

Kapitan stanął obok konsoli. Spoglądał to na chwilami kompletnie dla niego niezrozumiałe rzędy liczb, to na naukowca. Jednak liczby i symbole migoczące na ekranie łatwiej mu było rozgryźć niż tego człowieka.

- Pracujesz, czy to dla rozrywki?

- Nie ma czasu na rozrywkę - odparł z całą powagą Ash.

Musnął klawisz i komputer wyświetlił długą listę łańcuszków hipotetycznego kwasu molekularnego. Musnął inny i pogmatwane spirale zaczęły się wolno obracać w trzech płaszczyznach.

- Zeskrobałem próbkę z tej pierwszej dziury. - Wskazał gestem maleńki otwór koło stołu, na którym niedawno leżał Kane. - Prawie nic tam nie zostało, ale sądzę, że na próbkę wystarczy. Analizuję teraz jej skład chemiczny. Jeśli zdołam wgryźć się w strukturę wewnętrzną tego kwasu, nie wykluczone, że Matka poda mi wzór na odczynnik neutralizujący. A wtedy nasz nowy gość może sobie sikać tym paskudztwem, ile dusza zapragnie. Zneutralizujemy je i po krzyku.

- Brzmi jak bajka - przyznał Dallas obserwując uważnie Asha. - Jeśli to w ogóle wykonalne, z całej załogi tylko ty możesz to zrobić.

Naukowiec wzruszył obojętnie ramionami.

- To moja praca.

Minęło kilka minut. Milczeli. Ash nie widział powodu do wszczynania rozmowy. Dallas wpatrywał się w ekran, wreszcie powiedział:

- Chcę z tobą pogadać.

- Jak na coś trafię, natychmiast dam ci znać - zapewnił go naukowiec.

- Nie, nie o tym chcę gadać, Ash.

Naukowiec oderwał wzrok od monitora, spojrzał na niego ciekawie, a kiedy na dwóch małych ekranach zamigotały nowe liczby, wrócił oczyma do konsoli.

- Myślę, że zbadanie struktury tego kwasu jest w tej chwili kwestią najważniejszą, najżywotniejszą dla nas wszystkich. Sądzę, że ty też jesteś tego samego zdania. Pogadamy później. Teraz jestem bardzo zajęty.

Dallas odczekał chwilę, a później powiedział cicho, lecz zdecydowanie:

- Nie szkodzi. Chcę pogadać teraz, Ash.

Ash pstryknął przełącznikiem, zerknął na zamierające ekrany i podniósł oczy na kapitana.

- Dallas, właśnie próbuję ocalić nasze głowy, twoją też. Ale jeśli to takie ważne, mów.

- Dlaczego dopuściłeś do tego, że ten obcy organizm zakorzenił się w ciele Kane'a?

Ash spojrzał na niego spode łba.

- Chyba cię nie rozumiem. Nikt do tego nie "dopuścił". Tak się po prostu stało.

- Gówno prawda.

- Trudno to uznać za racjonalne określenie zaistniałej sytuacji, kapitanie - odparł sucho nieporuszony Ash.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Autodok zajmował się ciałem Kane'a, tak? A kto zajmował się autodokiem? Ty. I prawidłowo, bo ty, Ash, masz do tego kwalifikacje. Musiałeś wiedzieć, co się dzieje i musiałeś się czegoś domyślać.

- Posłuchaj, widziałeś tę plamę na ekranie monitora tak samo jak ja, zobaczyliśmy ją równocześnie, w tym samym momencie.

- Mam uwierzyć, że skaner nie zdołał się przez to przebić? Że nie starczyło mocy?

- To nie kwestia mocy, to kwestia długości fal. Ten stwór zekranizował fale wysyłane przez skaner. Tłumaczyłem ci już, jak i dlaczego tak się mogło stać.

- Zgoda, nasz gość wytworzył pole ochronne, które zekranizowało wiązkę ze skanera. Zakładając, że w to wierzę, a wcale tego nie powiedziałem, Matka znalazłaby przecież inne symptomy wskazujące na to, że coś jest nie tak, że coś się z Kane'em dzieje. Zanim ten potwór go zabił, a nie skarżył się na wilczy głód. I rzeczywiście był głodny, udowodnił to w mesie. Czyż przyczyna tego apetytu nie jest dla ciebie oczywista?

- A powinna?

- Tak, powinna. To, co się w środku Kane'a wylęgło, wysysało z niego białko, składniki odżywcze i tłuszcz niezbędny do wzrostu własnego ciała. Nie urosłoby tak, żywiąc się powietrzem.

- Zgadzam się z tym, to oczywiste.

- Tego rodzaju aktywność metaboliczna znalazłaby odbicie na ekranach autodoka. Komputer wykazałby spadek wagi ciała i tak dalej.

- Jeśli chodzi o spadek wagi ciała - odrzekł spokojnie Ash - komputer niczego nie mógł wykazać. Waga ciała Kane'a nie uległa zmianie, została tylko rozłożona na dwie części składowe: na Kane'a i na obcy organizm. Ogólna waga całości pozostała nie zmieniona i skaner autodoka zarejestrował wszystko jako jedno ciało, ciało człowieka. Co znaczy to twoje "i tak dalej"?

Dallas próbował nie okazywać zdenerwowania. Z trudem mu to przyszło.

- Nie wiem, nie znam się na tym. Jestem pilotem. Badania i analizy medyczne to nie moja działka.

- Fakt - wtrącił znacząco Ash - Moja.

- Ale też nie jestem kompletnym idiotą - warknął Dallas. - Może nie umiem tego poprawnie określić, ale nie jestem ślepy. Widzę, co się tu dzieje.

Ash skrzyżował ramiona, odepchnął się nogą od konsoli i spojrzał twardo na kapitana.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcesz zachować przy życiu to obce bydło - oświadczył prosto z mostu Dallas. - Pozwoliłeś, żeby zabiło Kane'a. Domyślam się, że masz ku temu jakieś powody. Mało cię znam, Ash, ale jak dotąd nie zrobiłeś niczego bez powodu. Dlaczego miałbyś nagle zacząć postępować inaczej?

- Twierdzisz, że mam, czy miałem, powody, żeby rozpętać na statku to szaleństwo. Czy dobrze cię zrozumiałem? Jeśli tak, wymień choćby jeden.

Dallas postanowił zmienić taktykę. Skoro oskarżenia nie odnosiły skutku, spróbował zagrać na poczuciu męskiej solidarności. Poza tym bał się wypaść w oczach naukowca na paranoika - łatwiej można było zwalić wszystko na kogoś, z kim mógł sobie poradzić, jak choćby z Ashem, niż upolować prawdziwego sprawcę ich nieszczęść. Zgoda, Ash to dziwny facet, ale przecież nie zachowywał się jak zwyrodniały morderca.

- Słuchaj Ash, obaj pracujemy dla tego samego Towarzystwa, prawda? Chcę, tylko wiedzieć, co jest grane - powiedział prosząco.

Naukowiec położył ręce na kolanach i zerknął na konsolę.

- Nie mam pojęcia, o czym u diabła mówisz. I gdzieś mam te wszystkie insynuacje. To obce stworzenie jest niebezpieczne dla człowieka. Fakt, pod wieloma względami jest godne podziwu. Zgoda, nie przeczę, fascynuje mnie jako naukowca, ale po tym, co zrobiło Kane'owi, chcę się go pozbyć tak samo jak wy.

- Na pewno?

- Na pewno. Gdyby się to wszystko na ciebie nie zważyło, gdyby nie stres, myślałbyś rozsądniej. Zapomnijmy o tym. Ja już zapomniałem.

- Taaa... - Dallas odwrócił się na pięcie, wyszedł z izby i ruszył korytarzem na mostek.

Pochłonięty własnymi myślami Ash patrzył za nim przez kilka chwil. Później skupił uwagę na aparaturze, cierpliwszej i łatwiejszej do rozgryzienia niż człowiek.

Za dużo mam na łbie, za dużo pracuję... zastanawiał się kapitan z głową pękającą od stłoczonych myśli. Ash ma pewnie rację, stres. Martwię się o wszystkich, cholera, nie tylko o tego pieprzonego jaszczura...

Jak długo wytrzyma? Jak długo musi próbować? Kiedy się załamie pod ciężarem trosk? Przecież był tylko pilotem... Kane bardziej by się do tego nadawał, myślał. On podchodził do takich spraw z większym dystansem, nie wnikał w nie tak głęboko. Ale Kane'a już nie było. Kane nie mógł mu pomóc.

W korytarzu pstryknął przełącznikiem interkomu.

- Siłownia. - Parker odpowiedział natychmiast. - Mówi Dallas. Jak wam idzie?
- Jakoś idzie - rzekł wymijająco główny inżynier. - Języka w gębie zapomniałeś? Melduj, do ciężkiej cholery!
- Hej, spokojnie, kapitanie, spokojnie. Pracujemy na pełnych obrotach, tak szybko, jak tylko Brett wyrabia się z cewkami i uzwojeniem. Chcesz to paskudztwo udupić zwykłym kijem czy paroma setkami woltów?
- Przepraszam. - Naprawdę było mu przykro. Zróbcie, co się da.
- Harujemy dla naszego wspólnego dobra, kapitanie. Siłownia out. - Głośnik zamilkł.

To było zupełnie niepotrzebne, myślał wściekły. Zupełnie. I żenujące. Jeśli sam nie weźmie się w garść, jak może tego oczekiwać od innych?

Nie chciał teraz nikogo widzieć, nie po tej bezproduktywnej i denerwującej rozmowie z Ashem. Wciąż jeszcze nie był pewien, czy ma rację co do naukowca, że jest kompletnym idiotą. Biorąc pod uwagę brak motywów skłaniał się ze złością ku temu ostatniemu. Bo jeśli Ash kłamał, kłamał po mistrzowsku. Dallas nigdy nie spotkał człowieka tak opanowanego.

Było na statku takie miejsce, gdzie kapitan mógł od czasu do czasu uciec w samotność i gdzie czuł się zarazem względnie bezpiecznie. Taka namiastka matczynego łona. Skręcił w korytarz "B". Rozmyślenia nie pochłonęły go na tyle, by nie badał oczyma ciemnych zakamarków, by nie wypatrywał w nich małego, oślizłego potworka. Ale nie, niczego nie zauważył.

Dotarł w końcu do miejsca, gdzie w kadłubie *Nostromo* widniało lekkie wybrzuszenie z klapą po środku. Wcisnął przycisk i odczekał, aż skrzydła luku znikną w ścianie. Luk wewnętrzny promu ratowniczego był otwarty. Z braku miejsca słuzy w nim nie zamontowano. Dallas wszedł do środka. Sięgnął ręką do czerwonego przycisku na pulpicie sterowniczym, ale w ostatniej chwili ją cofnął. Na mostku już pewnie zauważyli, że luk jest otwarty. To jeszcze nie powód do alarmu, lecz gdyby klapę zamknął, ktoś mógłby się bardzo zdenerwować. Więc zostawił ją otwartą i siedział tam, w odprężającej samotności, poza statkiem, poza zasięgiem wszystkich niepewności i wahań. Poza zasięgiem koszmaru, jaki się tam zalał...

10.

Po raz ostatni sprawdzał zapasy tlenu, mając nadzieję, że nastąpi jakiś cud i na bezlitosnym wskaźniku pojawi się dodatkowe zero. W chwili gdy obserwował, jak miernik kończy obliczenia, ostatnia cyferka odczytu mrugnęła i z dziewiątki zmieniła się w ósemkę. Od drzwi dobiegł odgłos ciężkiego stąpania. Błyskawicznie obrócił głowę. Parker i Brett. Co za ulga...

Parker rzucił na podłogę naręcze metalowych rurek; każda była mniej więcej na dwa kciuki gruba. Potoczyły się z pustym, metalicznym brzękiem i nie sprawiały wrażenia broni skutecznej i pewnej. Brett wyplątał się ze zwojów sieci.

- Jest sprzęt bojowy - oznajmił z widocznym zadowoleniem. - Sprawdzony i gotowy do walki.

Dallas skinął głową. - Wezwę pozostałych.

Nadał sygnał wzywający wszystkich na mostek i czekając na przybycie załogi oglądał niepewnie ich nową broń. Ash przyszedł ostatni, bo miał najdalej.

- I tym mamy złapać tego potwora!? - Lambert wskazywała na kruche z pozoru rurki, a ton jej głosu nie pozostawiał żadnych wątpliwości, co o nich sądzi.

- Spokojnie, Lambert, trzeba je wypróbować - łagodził Dallas. - No, załoga do broni.

Ustawili się w kolejkę, a Brett wręczył każdemu po rurce. Miały po półtora metra długości każda. Jeden koniec wybrzuszał się nieco, tworząc prymitywną rękojeść wypełnioną po brzegi obwodami elektronicznymi. Dallas zakręcił prętem młynka jak szablą, wyczuwając dziwną broń. Nie była ciężka, z czego się cieszył. Chciał mieć w ręku coś, czym można sprawnie i szybko władać, czym dałoby się błyskawicznie dźgnąć przebrzydłego jaszczura i uciec przed jego kwasem albo przed jeszcze czymś, czego nie umiał sobie na razie wyobrazić. Choć to nielogiczne i w sumie prymitywne, każda pałka, każda maczuga daje człowiekowi poczucie pewności siebie.

- Zamontowałem w nich akumulatorki wzór zero trzydzieści trzy - wyjaśniał Brett. - Są w stanie wytworzyć dość silny impuls elektryczny, innymi słowy nieźle kopią. Nie wymagają doładowywania, chyba że wciśnięcie guzik i za długa go przytrzymanie. I jeśli mówię "za długo", mam na myśli naprawdę bardzo długi czas. - Wskazał gestem rękojeść swojej rurki. - Dlatego nie bójcie się i używajcie ile dusza zapagnie. Uchwyt i część pręta są dobrze izolowane. Jeśli dotknięcie niechący gołego metalu, a przycisk będzie wciśnięty, kopnie was jak złoto i tyle, wyżyjecie. Ale w środku, w rurce, jest druga rurka wypełniona krioprzewodnikiem. Tamtędy pobiegnie ładunek główny. Dotrze na przeciwległy koniec pręta prawie

bez strat mocy uwolnionej przełącznikiem na uchwycie. Dlatego cholernie uważajcie i broń Boże nie dotknijcie ręką tamtej skuwki.

- Może zademonstrujesz, jak to działa? - poprosiła Ripley.

- Jasne, w czym problem.

Inżynier przytknął skuwkę do kanału z przewodami biegnącego wzdłuż ściany. Między skuwką a metalem przeskoczyła błękitna iskra, usłyszeli względnie donośny trzask i poczuli zapach ozonu.

Brett uśmiechnął się.

- Wasze też przetestowaliśmy. Wszystkie działają. Macie w tych prętach niełichą moc.

- A napięcie? Da się regulować? - zapytał Dallas. Parker pokręcił głową.

- Próbowaliśmy wypośredkować skuteczność działania ładunku. Nie zabije, ale zdrowo porazi. Przecież nic nie wiemy o naszej poczwarze, nie wiemy, jak silny ładunek znieśie, a poza tym nie mieliśmy czasu na instalowanie jakichś zabawek, jakichś modulatorów napięcia. Każdy akumulator wytwarza pojedynczy ładunek o niezmiennej mocy. Nie jesteśmy cudotwórcami, na Boga.

- Pierwszy raz się do tego głośno przyznajesz - skonstatowała Ripley.

Parker posłał jej krzywe spojrzenie.

- Nasze rurki nie zabiją tego małego sukinsyna, chyba że jego układ nerwowy jest znacznie wrażliwszy od naszego - wyjaśnił Brett. - Tego jesteśmy pewni na sto procent. Jego mamuska, albo tatuś, była mniejsza i diabelnie silna, pamiętacie? - Zważył w dłoni broń niczym gladiator przed wyjściem na arenę. - To go tylko nauczy moresu. Oczywiście, gdyby nasz kochaś usmażył się przypadkiem jak na krześle elektrycznym, serce by mi nie pękło.

- Może nam się uda... Oby - mruknęła Lambert. Teoretycznie mamy więc rozwiązanie problemu numer jeden. Co robimy z problemem numer dwa? Jak tę poczwarę znajdziemy?

- Już się tym zająłem.

Zdziwieni, odwrócili się i ujrzeni Asha, który trzymał w dłoni przedmiot wielkości walkie-talkie. Ash patrzył jednak tylko na Dallasa. Nie będąc w stanie spojrzeć mu w oczy, kapitan skupił całą uwagę na niewielkim urządzeniu. - Ponieważ trzeba koniecznie odszukać to stworzenie, i to jak najszybciej, spróbowałem trochę pomajstrować na własną rękę. Brett i Parker odwalili kawał podziwu godnej roboty i skonstruowali coś, czym okiełznamy intruza. Oto urządzenie, dzięki któremu go znajdziemy.

- Przenośny namiernik?

Ripley spoglądała z uznaniem na mały aparat. Wyglądał tak, jakby zmontowano go w fabryce, tymczasem Ash sklecił go pośpiesznie w prymitywnym laboratorium starego holownika!

Naukowiec skinął krótko głową.

- Do lokalizowania poruszających się obiektów. Nie ma zbyt dużego zasięgu, ale w określonej odległości od celu zaczyna popiskiwać, przy czym natężenie sygnału dźwiękowego rośnie w miarę zbliżania się do poszukiwanego obiektu.

Ripley wzięła namiernik z rąk Asha, obróciła go i zbadła okiem profesjonalisty.

- Jak go ustawić? Jak odróżnimy obcego od członka grupy poszukiwawczej.

- Na dwa sposoby - oznajmił z dumą Ash. - Jak wspomniałem, zasięg urządzenia jest mały. Można to uznać za wadę, ale nie w naszej sytuacji. W naszej sytuacji to rzecz korzystna, gdyż, przykładowo, dwie grupy poszukiwawcze mogą działać w niewielkiej odległości od siebie, a namiernik nie poda mylących sygnałów. Co istotniejsze, urządzenie zawiera bardzo czuły detektor gęstości powietrza, który zareaguje na ruch każdego obiektu. W dodatku odczyt powie nam, w jakim kierunku cel zmierza. Trzeba aparat skierować przed siebie i tak trzymać. Nie jest to może sprzęt wyrafinowany, ale ze względu na ograniczony czas nie zdołałem zbudować niczego lepszego.

- Znakomita robota, Ash - przyznał Dallas. Wziął namiernik z rąk Ripley. Eksperymentalny model... Lepszego nam nie trzeba. Ile sztuk zrobiłeś?

W odpowiedzi naukowiec wyjął z kieszeni identyczny aparat.

- Zatem możemy działać w dwóch grupach. Dobrze. Nie mam dla was żadnych specjalnych rozkazów. Wszyscy wiecie, co robić. Ten, kto znajdzie jaszczura pierwszy, musi go opleść siecią, zawlec jakoś do służby i wypieprzyć za burtę tak szybko, jak na to pozwolą luki. Możecie nawet zdetonować rygle zewnętrzne, wszystko jedno. Jak będzie trzeba, wyjdziemy stąd w skafandrach.

Ruszył w stronę korytarza. Nagle zatrzymał się i rozejrzał po ciasnym, wypełnionym aparaturą pomieszczeniu. Niemożliwe, żeby coś się tam niepostrzeżenie wślizgnęło, ale skoro mieli szukać dokładnie...

- Na początek upewnijmy się, czy mostek jest czysty. Parker wyciągnął przed siebie namiernik i wbijając wzrok w toporny wskaźnik zamontowany w jego obudowie, omiótł aparatem całe pomieszczenie.

- Sześć impulsów - oznajmił, kiedy zakończył eksperyment. - Pojawiały się mniej więcej wtedy, kiedy kierowałem detektor w waszą stronę. Oprócz nas nikogo tu chyba nie ma. To jest, jeśli to cacko działa...

- Działa - zapewnił go Ash bez urazy w głosie. Sam widziałeś.

Rozdzielili pozostały sprzęt.

Dallas zlustrował wzrokiem całą załogę. Czekali. - Gotowi?

Ktoś szepnął ponuro: "Nie", ktoś mu zawtórował, wszyscy się uśmiechnęli. Wizja koszarnej śmierci Kane'a ustąpiła już z ich pamięci. Tym razem byli

przygotowani do walki i - taką mieli przynajmniej nadzieję - wyposażeni w odpowiednią i skuteczną broń.

- Na wszystkich pokładach stale działa łączność. Dallas ruszył zdecydowanie do korytarza. - Będziemy w kontakcie. Ash i ja pójdziemy z Lambert. Zabierzemy jeden namiernik. Brett i Parker to druga grupa. Ripley, obejmiesz dowództwo. I weź drugi namiernik. Kiedy spostrzeżecie obcego, waszym pierwszym i naczelnym zadaniem będzie schwytać go i odstawić do służby. Nas powiadomicie dopiero później. No to do roboty...

Opuścili mostek.

Korytarze na pokładzie "A" nigdy nie były tak długie i tak mroczne jak tego dnia. Dallas znał je na wylot, jednak świadomość, że w ciemnych zakamarkach i przepastnych magazynach może czaić się coś śmiertelnie niebezpiecznego, powodowała; że kapitan stapał miękko i ostrożnie, podczas gdy w innych okolicznościach szedłby z zamkniętymi oczami, krokiem zdecydowanym i pewnym.

Pałyły się wszystkie światła, ale korytarz nadal tonął w mroku. Były to światła serwisowe, z których korzystali tylko od czasu do czasu. Bo po co marnować energię na oświetlanie każdego kąta na statku takim jak *Nostromo*? Na statku, którego załoga spędza tak mało czasu poza hibernatorami? Rozrzutność! I dlatego zapalali lampy jedynie podczas załadunku, lądowania i podczas sporadycznych przerw w locie spowodowanych sytuacją alarmową. Dallas był wdzięczny i za to czym dysponowali, za te nędzne lumeny, ale aż płakać mu się chciało, gdy pomyślał o silnych reflektorach... których nie mieli.

Lambert trzymała koniec liny rozciągającej się w poprzek korytarza. Drugi, koniec spoczywał w ręku Dallasa idącego z lewej strony. Kapitan ścisnął mocniej sznur i gwałtownie nim szarpnął. Lambert aż podskoczyła. Obróciła ku niemu rozszerzone strachem oczy. Potem skinęła głową i, już odprężona, skoncentrowała uwagę na obserwacji korytarza. Marzyła z umysłem przepełnionym straszliwymi wizjami, uległa swego rodzaju autohipnozie i kompletnie zapomniała, co tu właściwie robi. Powinna przeszukiwać *Nostromo*, a nie szperać w zakamarkach wyobraźni. Kiedy na jej twarz powrócił wyraz skupienia i koncentracji, Dallas skierował uwagę na miejsce, gdzie korytarz zakręcał.

Ash szedł tuż za nimi. Nie spuszczał wzroku ze skali namiernika, omiatał nim korytarz od ściany do ściany. Aparat milczał i odzywał się tylko wtedy, gdy naukowiec przesunął nim za bardzo w prawo lub w lewo. Wykrywszy obecność Dallasa czy Lambert, detektor popiskiwał płaczliwie i Ash musiał go uciszać.

Stanęli przy spirali schodów prowadzących w dół. Lambert wychyliła się i krzyknęła:

- Macie coś? Tutaj czysto jak w sali operacyjnej. Parker i Brett chwycili mocniej sieć, a Ripley, idąca przed nimi, oderwała wzrok od namiernika i odkrzyknęła:

- Tu też nic.

Lambert i Dallas ruszyli naprzód. Ash za nimi. Skoncentrowali się teraz wyłącznie na najbliższym zakręcie. Nie lubili zakrętów. Każdy zakręt to potencjalna kryjówka. Kiedy jakiś pokonali, by wyjść na pusty korytarz ginący w ponurym mroku, Lambert cieszyła się tak, jakby znaleźli Świętego Graala.

Namiernik zaczynał Ripley ciążyć w dłoni, gdy naraz tuż pod ekranikiem zamigotało małe czerwone światełko. Igła wskaźnikowa drgnęła. Tak, igła, nie jej ręka, tego była absolutnie pewna! Chwilę później igła drgnęła jeszcze mocniej i wychyliła się o włos nad punkt zerowy skali.

Zanim cokolwiek powiedziała, sprawdziła, czy detektor nie namierzył przypadkiem Bretta albo Parkera.

- Stójcie. Coś mam. - Zrobiła kilka kroków do przodu.

Igła skoczyła jak spięta ostrogą, czerwone światełko przestało mrugać i lśniło teraz jak krwawe oko. Ripley zastygła w bezruchu. Igła namiernika też. Tylko czerwona

lampka świeciła jak przedtem, silnym, jednostajnym światłem.

Brett i Parker wpatrywali się w korytarz, lustrując wzrokiem ściany, sufit i podłogę. Dobrze pamiętali, jak gumowata poczwara z izby zabiegowej - co z tego, że martwa? spadła na ramię Ripley. Nikt nie dawał głowy za to, że jaszczurowata, odmiana ohydneho monstrum nie umie łązić po ścianach. Dlatego nieustannie obserwowali nie tylko podłogę, ale i sufit.

- Z jakiego kierunku dochodzi? - spytał spokojnie Brett.

Ripley zmarszczyła brwi. Naraz igła namiernika znów zaczęła skakać po całej skali. Jej zachowanie nie mogło odpowiadać ruchom żadnego żywego stworzenia; chyba że stworzenie to posiadało zdolność przenikania przez metalowe ściany! Tylko czerwona dioda wciąż świeciła, jak świeciła.

- Nie wiem. Chyba namiernik się spieprzył. Igła wariuje po całej skali...

Brett kopnął wściekle sieć i zaklął.

- Szlag by to! Nie możemy sobie pozwolić na żadne nawalanki! Skręcę Ashowi...

- Czekaj... - szepnęła w napięciu. Obróciła aparat. Igła natychmiast stanęła w miejscu. - Namiernik jest w porządku. Stracił tylko orientację. A raczej ja straciłam orientację. Sygnał dochodzi z dołu, panowie.

Spojrzeli pod nogi. Pokład był cały i nic spod niego nie wychynęło, by ich zaatakować.

- Pokład "C" - burknął Parker. - Serwisówka. Ubabramy się po pachy.

- Chcesz go odpuścić?

Zerknął na nią, ale tym razem w jego spojrzeniu nie było złości.

- To wcale nie jest śmieszne.

- Masz rację, nie jest - od razu przyznała skruszonym głosem. - Idźcie przodem. Pokład "C" znacie lepiej niż ja.

Parker i Brett chwycili mocniej sieć i ruszyli w dół rzadko uczęszczanymi schodami.

Pokład "C" był kiepsko oświetlony nawet jak na skromny standard obowiązujący na *Nostromo*. U podstawy schodów stanęli. Oczy musiały przywyknąć do ciemności.

Ripley dotknęła przypadkiem ściany i cofnęła ze wstrętem rękę. Całą dłoń miała uwalaną grubą warstwą czegoś lepkiego. Stary smar... pomyślała. Gdyby inspekcja wykryła coś takiego na liniowcu, statek poszedłby w odstawkę. Ale na *Nostromo* nikt się takimi wyciekami nie przejmował. Przeszkadzały tu komuś? Cóż znaczy odrobina smaru dla członków załogi starego holownika?

Obiecała sobie, że kiedy wróci do domu, poprosi o przeniesienie na liniowiec albo zrezygnuje ze służby. Tak, obiecywała to sobie i przedtem, z dziesięć razy, ale teraz obietnicy dotrzyma. Na pewno.

Skierowała namiernik w głąb korytarza. Nic. Skierowała go w przeciwną stronę i czerwone światelko ożyło. Igła zaczęła sunąć w górę skali.

- Dobra, idziemy.

Poszła przodem, ufając wskazaniom maleńkiego aparatu, bo wiedziała, że zrobił go Ash, bo jak dotąd urządzenie działało poprawnie, bo nie miała wreszcie innego wyjścia.

- Zaraz dojdziemy do rozwidlenia... - ostrzegł ją Brett.

Minęło kilka minut. Korytarz rozwidlił się, mieli teraz przed sobą dwa niezależne korytarze. Ripley weszła w ten po prawej stronie. Czerwone światelko zbladło. Zawróciła i weszła w ten po lewej.

- To tam.

W tej części statku światło było jeszcze słabsze. Gęsty mrok napierał ze wszystkich stron, przytłaczał, dusił ich. Czuli się fatalnie, chociaż żaden z astronautów przeszkolonych w lotach dalekiego zasięgu nie cierpi na klaustrofobię. Buty stuknęły dźwięcznie po metalowym pokładzie, a kiedy brodzili w głębokich tłustych kałużach, mlaskały miękko.

- Dallas powinien zająć badania technicznego wymamrotał ze wstrętem Parker. - Zakwestionowaliby czterdzieści procent kubatury statku, a wtedy Towarzystwo musiałoby wyłożyć forsy na zlikwidowanie tego syfu.

Ripley pokręciła głową i spojrzała na niego sceptycznie. - Założymy się, że nie? Przekupią inspektora i po krzyku. Dla nich to tańsza sprawa. I łatwiejsza.

Parker z trudem ukrył rozczarowanie. Kolejny, błyskotliwy z pozoru pomysł diabli wzięli. A najgorsze w tym wszystkim było to, że sposób rozumowania Ripley trzymał się kupy. Im bardziej się na nią wściekał, tym bardziej ją podziwiał.

- Skoro mówiła o likwidowaniu usterek - mówiła dalej - co jest z tymi światłami? Nie znam tej części statku, ale jak ją mam poznać? Czubka własnego nosa tu nie widać. Myślałam, że naprawiliście moduł dwunasty. Jeśli tak, powinniśmy tu mieć lepsze światło.

- Naprawiliśmy dwunastkę! Słowo! - zaprotestował Brett.

Parker zerknął na tablicę rozdzielczą, którą mijali.

- System rozdzielczy musiał włączyć dodatkowe zabezpieczenia - stwierdził. - Przez jakiś czas niektóre obwody nie otrzymywały zwykłej dawki prądu, to dlatego. I tak cudem naprawiliśmy dwunastkę. Wszystkie przewodniki mogły się przy tym sfajczyć. Kiedy jest awaria, systemy, które jej ulegają, zaczynają ograniczać pobór mocy, żeby uniknąć przeładowania. Ale ten chyba trochę przesadził. Zaraz się temu przyjrzę...

Trzasnął przełącznikiem na tablicy rozdzielczej i przeszedł na sterowanie ręczne. Światła w korytarzu pojaśniały.

Ruszyli, lecz kilka kroków dalej Ripley powstrzymała ich ostrzegawczym gestem ręki.

- Zaczekajcie...

Parker wykonał rozkaz z taką gorliwością, że omal nie upadł. Brett zaplątał się w sieć. Nikomu jednak nie było do śmiechu. _

- Jesteśmy blisko? - spytał szeptem Parker, wytyczając oczy, usiłując przebić zgęstniały mrok przed nimi.

Ripley spojrzała na igłę i obliczyła odległość, korzystając ze skali, którą Ash zaznaczył na metalowej obudowie namiernika tuż koło podświetlonego ekranu.

- Według detektora to jakieś piętnaście metrów stąd. Parker i Brett chwycili mocniej sieć; nie musiała im o tym przypominać. Ripley ścisnęła uchwyt elektrycznego pręta i włączyła napięcie. Z prętem w prawej ręce, z namiernikiem w lewej ruszyła ostrożnie do przodu. Trudno, naprawdę trudno było wyobrazić sobie, żeby ktoś mógł poruszać się ciszej niż Ripley, Parker i Brett. Przestali niemal oddychać, chociaż przed chwilą dyszeli jak kowalskie miechy.

Pokonali pięć metrów, dziesięć... Mięsień w lewej łydce Ripley dostał jakichś oszalałych drgawek. Bolało ją, ale nie zwracała na to uwagi. Szli w ciemnościach. Odległość do celu nieuchronnie malała.

Ripley skradała się teraz na lekko ugiętych kolanach, gotowa odskoczyć w chwili, gdy zauważy w mroku jakikolwiek ruch. Namiernik - celowo wyłączyli sygnał dźwiękowy, wskazywał, że pokonali piętnaście i dwie dziesiąte metra. Zastygli w bezruchu. Światło było tu przyćmione, mimo to widzieli, że w

cuchnącym korytarzu nic się nie czał, nic nie pełza ani po suficie, ani po ścianach, ani po podłodze.

Ripley obróciła wolno namiernik, starając się obserwować i ekranik, i koniec korytarza. Igła drgnęła, zmieniła położenie. Ripley podniosła wzrok i w ścianie spostrzegła niewielką klapę. Klapa była lekko uchylona.

Parker i Brett poszli za jej spojrzeniem. Stanęli tak, żeby osłonić siecią jak największą część korytarza przed klapą. Kiedy byli gotowi, Ripley kiwnęła w milczeniu głową, usiłując strząsnąć z twarzy, kroplę potu. Wzięła głębszy oddech i położyła namiernik u swych stóp. Wolną ręką objęła uchwyt klapy. Był zimny i wręcz lepił się do jej zwilgotniałej dłoni.

Uniosła pręt, wcisnęła guzik na rękojeści, szarpnęła uchwytem klapy i dźgnęła prętem w głąb otworu.

W korytarzu rozległ się koszmarny, piskliwy wrzask. Z otworu wyskoczył niewielki stwór, monstrum z olbrzymimi, wybałuszonymi oczami. Drapiąc wściekle ostrymi szponami, wylądowało w sieci. Parker i Brett rzucili się nań jak szaleńcy, przydusili do ziemi, omotali zwojami niczym pajak muchę.

- Trzymaj go! Trzymaj! - wrzeszczał triumfalnie główny inżynier. - Trzymaj sukinsyna!

Ripley zajrzała do sieci i... doznała olbrzymiego rozczarowania. Wyłączyła elektryczną broń, podniosła namiernik. - Jasna cholera... - wymamrotała zmęczonym szeptem.

- Dajcie spokój, panowie. Spójrzcie tylko.

Parker i Brett puścili sieć. Ujrzeni swój łup i zaklęli pod nosem.

Spomiędzy zwojów wystrzelił rozwścieczony Jones. Plując i sycząc, runął pędem w głąb korytarza, zanim Ripley zdążyła zareagować.

- Nie! Łapcie go! - zawołała niepotrzebnie, gdyż było już za późno. - Nie pozwólcie mu zwać!

Rude futerko Jonesa rozmyło się w mroku.

- Masz rację - przyznał Parker. - Trzeba go było zabić. Teraz namiernik znów go może wychwycić.

Ripley spojrzała na niego ostro, ale nie potwierdziła słowa. Później zerknęła na Bretta, bo Brett nie miał tak morderczych instynktów jak Parker.

- Idź po niego. Potem pomyślimy, co z nim zrobić, ale dobrze by było jakoś go unieruchomić, wsadzić do klatki, nie wiem. Złap go, bo oszuka namiernik. I nas.

Brett skinął głową. - Racja.

Obrócił się na pięcie i potruchtał korytarzem.

Dwoje pozostałych ruszyło wolno w przeciwną stronę. Ripley niosła teraz sieć, a w drugiej ręce miała swoją nieporęczną broń oraz detektor, który próbowała jednocześnie obsługiwać.

Otwarte drzwi prowadziły do wielkiej przegrody kadłubowej, gdzie mieściła się hala remontowa. Brett rzucił jeszcze okiem w lewo, w prawo, ale na korytarzu Jonesa nie było. Zakamarki hali remontowej, luźno wypełnionej najrozmaitszym sprzętem, stanowiły idealną kryjówkę dla każdego kota. Jeśli go tam nie ma, zastanawiał się Brett, znaczy, że dołączył do Lambert, Asha i Dallasa. Mógł być teraz wszędzie, fakt, ale logicznie rzecz biorąc powinien zwać tam, do hali...

W środku paliło się światło, lecz równie kiepskie jak na korytarzu. Brett nie zwracał uwagi na sterty pakunków ze sprzętem, na brudne narzędzia i na pojemniki z zapasowymi modułami do napędu nadprzestrzennego; podświetlone tabliczki mówiły, co poszczególne skrzynie zawierają.

Przyszło mu do głowy, że Parker i Ripley są już poza zasięgiem głosu. To go lekko zdenerwowało, poczuł na karku nieprzyjemne mrowienie. Im szybciej znajdzie tego cholernego kota, tym lepiej.

- Jones... Jones, koteczku. Kici, kici, chodź tu, chodź do wujka Bretta, no chodź...

Schylił się, by zerknąć w ciemną szczelinę między wielkimi skrzyniami. Ale kota tam nie było. Brett wyprostował się i otarł z czoła pot zalewający mu oczy.

- Jones, gdzieś ty się schował do diabła?

Jakieś skrobanie. Gdzieś dalej, w głębi hali. Zaraz potem zdecydowanie kocie, acz niepewne miauknięcie. Brett odetchnął z ulgą i ruszył w kierunku, źródła płaczliwego jęku.

Ripley zatrzymała się i spojrzała z rezygnacją na ekran namiernika. Czerwone światelko zgasło, igła spoczywała na zerze, a sygnał ostrzegawczy umilkł już dawno temu. Zrobiła krok do przodu. Igła drgnęła rachitycznie i zastygła w bezruchu.

- Niczego tu nie ma - rzuciła w stronę jedyne go sieciarza, jaki jej pozostał. ~ - Jeśli w ogóle coś było oprócz nas i Jonesa. Co proponujesz, Parker?

- Wracajmy. Przynajmniej pomożemy Brettowi złapać tego 'wariowanego kocura.

- Nie czepiaj się Jonesa. - Ripley zawsze stawiała w obronie zwierzaka. - On jest tak samo przerażony jak my. Zawrócili i śmierzącym korytarzem ruszyli z powrotem. Ripley nie wyłączyła detektora. Na wszelki wypadek.

Brett przeciskał się z trudem między stertami skrzyń. Wreszcie utkwiał, dalej nie mógł już iść. Wsporniki, trzpienie wzmacniające wręgi górnej części kadłuba *Nostramo* krzyżowały się tu, tworząc skomplikowany labirynt z metalu.

Już chciał zrezygnować, gdy nagle znów usłyszał znajome miauknięcie. Obszedł stalowy słup i w mroku ujrzał płonące żółtawo ślepie. Zawahał się na moment. Jones był wielkości poczwary, która rozerwała pierś Kane'a... Jeszcze

jedno płaczliwe miauknięcie. Brettowi ulżyło. Tylko kocur, zwykły domowy kocur może wydać z siebie taki dźwięk.

Zrobił krok, następny, schylił się pod jakąś stalową belką. Rudawe futerko, wąsy - Jones.

- Chodź tutaj, chodź. Cieszę się, że ciebie widzę, ty mały sukinkocie.

Wyciągnął rękę. Jones zasyczał ostrzegawczo i wcisnął się głębiej w swoją kryjówkę.

- Daj spokój, chodź do Brett. Nie ma czasu na zabawy, Jones.

Coś niewiele cieńszego niż metalowa belka, pod którą Brett niedawno przechodził, sięgnęło błyskawicznie w dół. Opadło na inżyniera w kompletnej ciszy, opadło z niezwykłą siłą, z siłą w pełni kontrolowaną. Szpony rozczapierzyły się, zwały wokół szyi Brett i objęły ją żelaznym uściskiem. Brett krzyknął, donośnie, rozdzierająco. Jego ręce powędrowały odruchowo do twarzy, do szyi. Szarpnął za kościste szpony, ale równie dobrze mógł próbować rozerwać zespawane pręty. I poszybował w górę, uniesiony potężnym targnięciem, i zatańczył w powietrzu jak szmaciana lalka. Pod jego nogami śmignął Jones.

Kot wystrzelił z hali i przebiegł między Parkerem a Ripley, którzy właśnie nadeszli. Niewiele myśląc wpadli do środka i ujrzeli przed sobą nogi Brett młocące bezzadnie powietrze. Wytrzeszczyli oczy, zadarli głowy i w aksamitnej czerni zobaczyli jeszcze jego stopy i dolną część skręconego tułowia. Coś unosiło go w górę! Wyżej, nad sylwetką inżyniera, dostrzegli niewyraźny zarys czegoś, co przypominało kształtem człowieka, ale człowiekiem na pewno nie było, czegoś olbrzymiego, czegoś obcego i złego. Przez ułamek sekundy widzieli odbicie światła w ślepiach zbyt wielkich nawet jak na łeb iście gigantycznych rozmiarów. A potem monstrum i Brett zniknęły w mrocznych zakamarkach *Nostramo*.

- Jezus Maria... - wyszeptał Parker.

- Urosło. - Ripley spojrzała tępo na swoją broń, na elektryczną rurkę. Miała się nijak do cielska, które majaczyło przed chwilą nad nimi. - Urosło. I to jak szybko. Cały czas szukaliśmy czegoś wielkości Jonesa, a to urosło, cholera, urosło, jak diabli.

Nagle uświadomiła sobie, że stoją w zamkniętym pomieszczeniu, że jest ciemno, że wokół są wysokie sterty skrzyń, że między tymi skrzyniami jest pełno wąskich przejść, korytarzyków, że...

- Co my tu robimy!? To może zaraz wrócić! - Chwyciła mocniej broń, zdając sobie sprawę, jak niewiele by nią zwojowała.

Wypadli z hali. Ostatni rozdzierający krzyk konającego Brett dźwięczał im w uszach, paraliżował umysły. Mimo wysiłków nie mogli go usunąć z pamięci. Parker znał Brett od dawna, byli przyjaciółmi, ale ten przedśmiertny krzyk zmusił go do biegu. Uciekał tak szybko jak Ripley.

11.

Twarze astronautów zgromadzonych w mesie nie wyrażały już takiej pewności siebie jak podczas ostatniej odprawy. Nikt nie próbował ukryć strachu, najmniej Ripley i Parker. Tych dwoje widziało ich przeciwnika, widziało monstrum, z którym mieli walczyć, i straciło wiarę we własne możliwości i siły.

Dallas studiował najnowszy wydruk schematycznego planu *Nostromo*. Parker stał przy drzwiach i od czasu do czasu zerkał nerwowo w korytarz.

- Nie wiem, co to było - rzucił w ciszę - ale było wielkie jak cholera. Spadło na niego jak jakiś w dupę jebany nietoperz.

Dallas oderwał wzrok od wydruku.

- Jesteś absolutnie pewna, że powlókł Bretta w stronę kanału wentylacyjnego? - spytał.

- Zniknął w jednym z tych duktów, tak. - Ripley podrapała paznokciem wierzch dłoni. - Jestem pewna. Zresztą nigdzie indziej nie mógł go zaciągnąć.

- Nie ma wątpliwości - dodał Parker. - To bydlę łązi szybami wentylacyjnymi. Dlatego namierniki nie mogły go wytropić.

- Szyby wentylacyjne... - powtórzył wolno Dallas. Trzyma się kupy. Jones też tamtędy chodzi.

Lambert bawiła się machinalnie kubkiem kawy, mieszając palcem czarny płyn.

- Może Brett jeszcze żyje...

- Wykluczone. - Ripley nie odgrywała fatalistki kierowała się tylko logiką. - Ten stwór porwał go jak szmacianą kukłę.

- Czego on od niego chce? - zastanawiała się Lambert. - Po co go z sobą targał, zamiast zabić na miejscu? - Może chce mieć nowy inkubator? Jak tamto stworzenie, to, które zaatakowało Kane'a? - dywagował Ash. - Albo szukał żarcia - rzuciła sucho Ripley. Przeszył ją zimny dreszcz.

- Tak czy inaczej, z punktu widzenia naszego milusińskiego sytuacja jest taka: dwóch mniej, pięciu gra dalej. Parker spoglądał na elektryczną rurkę. Obracał broń w rękach, nagle cisnął nią o ścianę. Pręt zgiął się, upadł na podłogę, kilka razy trzasnął błękitną iskrą i zastygł w bezruchu.

- Mówię wam, trzeba zaryzykować i rozpierdolić tego skurwysyna laserem!

- Wiem, co czujesz, Parker. - Dallas usiłował przybrać współczujący ton głosu.

- Wszyscy lubiliśmy Bretta. Ale musimy nad sobą panować. Jeśli to stworzenie jest tak duże, jak mówisz, ma w sobie tyle kwasu, że wypali nam w kadłubie dziurę wielkości tej mesy. Nie wspominając już o tym, co by się stało z okablowaniem i obwodami zamontowanymi na pokładach. Nie mamy szans, Parker. Jeszcze nie.

- Jeszcze nie? - Parkera ogarnęła naraz taka bezradność, że cała wściekłość błyskawicznie z niego wyparowała. - Jeszcze nie? Ilu z nas musi umrzeć zanim dojdiesz do wniosku, że to jedyny sposób, Dallas?

- Ta metoda i tak by nie poskutkowała, Parker.- Inżynier obrócił się do Asha i zmarszczył brwi.

- Dlaczego?

- Bo za pierwszym strzałem musiałbyś trafić w jakiś żywotny organ. Z twego opisu wynika, że stworzenie jest teraz duże, niezwykle szybkie i silne. Sądzę, że zachowało taką samą zdolność do regeneracji jak jego forma pierwotna, ta palczasta "dłoń". Oznacza to, że musiałbyś je zabić od razu, bo inaczej nie miałbyś żadnych szans. Taki strzał jest bardzo trudny nawet wtedy, gdy strzela się do człowieka, a w wypadku tego stworzenia to rzecz praktycznie niemożliwa. Przecież nie wiemy, gdzie ten żywotny organ jest. Mało tego, nie wiemy, czy ono w ogóle ma jakiś żywotny organ. Rozumiesz? - Ash był pełen wyrozumiałości jak uprzednio Dallas. Wszyscy wiedzieli, że inżynierów łączyła wielka przyjaźń. - Czy nie umiesz sobie wyobrazić, co by się stało? Załóżmy, a rzecz to niepewna, że dwoje z nas zdołało zapędzić to stworzenie w jakieś otwarte miejsce, gdzie można oddać celny strzał z lasera. Strzelamy do niego... No, ile razy? Powiedzmy, że udaje się nam oddać sześć strzałów, a potem ten potwór rozdziera nas na strzępy. Sześć ran goi się na tyle szybko, że obcy nie zdycha, ale nie na tyle szybko, by nie zalały statku kwasem. Dziur jest tyle, że lepiej nie myśleć. Kwas przeżera obwody sterujące regeneracją powietrza, przeżera zbiorniki tlenu i kable elektryczne. Gaśnie światło, nie ma czym oddychać. Biorąc pod uwagę to, co wiemy na temat tego stworzenia, sądzę, że taki scenariusz wydarzeń jest całkiem prawdopodobny. A czym by się to skończyło? Stracilibyśmy co najmniej dwóch ludzi, a *Nostromo* byłby w stanie znacznie gorszym od tego sprzed walki.

Zmarkotniały Parker długo nie odpowiadał. W końcu rzekł:

- No to co do diabła mamy robić?

- Jedyny plan z szansą na powodzenie to ten, który mieliśmy dotychczas - odparł Dallas i postukał palcem w wydruk. - Musimy wykryć, gdzie to bydlę jest, zapędzić je do śluzy i usunąć za burtę.

- Zapędzić tego potwora?! - Parker roześmiał się tubalnie. - Toż mówię wam, że on jest OLBRZYMI! Splunął z pogardą na zniszczony pręt z akumulatorem. Tym to możemy sobie nakukać.

- On ma rację - zauważyła Lambert. - Musimy go zapędzić do śluzy, ale jak?

Ripley potoczyła wzrokiem po małej grupce astronautów.

- Chyba już pora, żeby wydział naukowy zapoznał nas bliżej z naszym gościem. Masz jakiś pomysł, Ash?

Ash myślał chwilę.

- Cóż, wydaje się, że jego organizm przystosował się do atmosfery bogatej w tlen. Niewykluczone, że w tej fazie rozwoju ma to jakiś związek z jego spektakularnymi rozmiarami, z gwałtownym przyrostem masy ciała.

- W tej fazie rozwoju? - powtórzyła niepewnie Lambert. - Chcesz powiedzieć, że on może znów się zmienić? W coś innego? Ash rozłożył ręce.

- Tak mało o nim wiemy. Powinniśmy być przygotowani na wszystko. Dotychczas, w tak niedługim czasie, odbył trzy metamorfozy: ze skórzastego jaja w szponiastą "dłoń", jak ją nazwaliśmy, z "dłoni" w coś, co wyszło z Kane'a, wreszcie to coś, co zabiło Kane'a, przekształciło się w istotę o wiele roślejszą, dwunożną. Nie ma podstaw, by sądzić, że to postać ostateczna, prawda? - Urwał i po chwili dodał: - Następna może być większa i silniejsza.

- No, to dodałeś nam otuchy - mruknęła Ripley. - Coś jeszcze?

- Przystosował się znakomicie nie tylko do atmosfery tlenowej, ale i do nowego pożywienia. Wiemy więc, że nie ma dużych wymagań, że może żyć w atmosferach o różnym składzie albo może nawet bez żadnej i to przez czas bliżej nie określony. Nie wiemy tylko, jak znosi gwałtowne wahania temperatury. Tu, na pokładzie, jest ciepło. Uwzględniając średnią temperaturę panującą na planetoidzie, gdzie go znaleźliśmy, możemy z wielkim prawdopodobieństwem stwierdzić, że kosmiczny chłód go nie zabije, chociaż zakładam, że forma pierwotna, to skórzaste jajo, mogła być pod tym względem odporniejsza. Tak zwykle w takich wypadkach bywa.

- No dobrze. Co z tą temperaturą? Co będzie, jeśli ogrzejemy statek? - spytała Ripley.

- Zastanówmy się - odparł Ash. - Nie możemy podnieść temperatury na całym statku z tego samego powodu, dla którego nie możemy opróżnić go całkowicie z powietrza. Ograniczony zapas tlenu w skafandrach, ograniczone pole manewru i tak dalej. Hibernatory? Leżąc w hibernatorach, bylibyśmy bezradni jak niemowlęta. Ale z drugiej strony większość stworzeń ucieka od ognia, to fakt. Nie musimy wcale ogrzewać całego statku.

- A może by tak w paru korytarzach rozciągnąć przewody pod napięciem? Zapędzić go tam i już. Usmaży się jak na krześle elektrycznym - zaproponowała Lambert.

- Chyba nie mamy do czynienia ze zwierzęciem, Lambert - zaproponował Ash. - A jeśli tak, wykazuje ono niebywałą inteligencję i spryt. Wie, że to korytarz, wie, że tamtędy chodzimy i nie popędzi na oślep w druty. Już nam to udowodniło, poruszając się szybami wentylacyjnymi. Poza tym niektóre stworzenia prymitywne, jak na przykład rekiny, wyczuwają obecność pola elektrycznego. Tak więc twój pomysł jest w sumie do niczego.

- Może on potrafi wykrywać pole elektryczne generowane przez ludzkie ciało? - rzuciła smętnie Ripley. - Może w ten sposób śledzi nasze ruchy?

Parker nie był tego taki pewny.

- Nie, założyłbym się, że on ma coś w tych swoich ślepiach - powiedział - że tymi ślepiami nas widzi. Jeśli to w ogóle ślepiea...

- Nie, Parker. - Ash pokręcił głową. - Stworzenie obdarzone przez naturę tak wielkimi możliwościami wykrywa ofiarę, posługując się nie jednym, a wieloma zmysłami, to pewne jak w banku.

- Zresztą pomysł z przewodami pod napięciem i tak mi się nie podoba. - Inżynier dostał wypieków jak w gorączce. - Nie lubię bawić się w głupie podchody. Chcę przy tym być, chcę wiedzieć, jak ten pieprzony małpolud wylatuje ze śluzy w kosmos. Chcę wiedzieć, jak zdycha. - Zamilkł na chwilę, a później, uspokoiwszy się nieco, dodał: - I chcę usłyszeć jego wrzask. Niech krzyczy jak Brett.

- Ile czasu zajmie ci skonstruowanie trzech, czterech miotaczy płomieni? - zapytał Dallas.

- Daj mi dwadzieścia minut. Wszystkie części są w magazynie. Trzeba je tylko umocować na odpowiednich uchwytych.

- A płomień? Musi być silny jak diabli, Parker. Potrzebujemy czegoś, co to bydlę skutecznie zastopuje. Nie chciałbym doprowadzić do sytuacji, jaką byśmy tu mieli, gdyby doszło do użycia laserów. Nie po dywagacjach Asha.

- Spokojna głowa, kapitanie, - Zimno to powiedział, lodowato. - Tak je wyreguluję, że spalą wszystko na popiół.

- Zdaje się, że to nasza jedyna szansa. - Kapitan potoczył wzrokiem po twarzach zebranych. - Ktoś ma lepszy pomysł?

Lpszego pomysłu nie miał nikt.

- Dobrze. - Dallas odsunął się z krzesłem od stołu. Kiedy Park'er zrobi swoje, zaczniemy od mesy, a później zejdziemy na pokład "C", do hali, gdzie zginął Brett. Tam poszukamy tropów. W szybach wentylacyjnych.

Parker znów miał wątpliwości.

- Już raz łąziłem z Brettem między wręgami kadłuba - powiedział niepewnie. - Jeszcze zanim ten skurwiel uciekł do kanałów wentylacyjnych. Ciężko będzie go tam ścigać jak diabli, nie jestem małpą. - Posłał Ripley ostrzegawcze spojrzenie, ale dziewczyna milczała.

- To co? Chcesz tu siedzieć i czekać, aż jeszcze bardziej urośnie i zacznie nas szukać? - spytał Dallas. - Im dłużej zdołamy utrzymać go na pozycjach obronnych, tym lepiej dla nas.

- Jest tylko jeden mały znak zapytania - wtrąciła Ripley.

- Co? Jaki znak zapytania?

- Nie wiemy, czy ten obcy w ogóle przeszedł na pozycje obronne... - rzekła wytrzymując twarde spojrzenie kapitana.

Miotacze płomieni były mniej poręczne niż pręty elektryczne skonstruowane według pomysłu Bretta i sprawiały wrażenie mniej skutecznych. Ale pręty zadziałały jak trzeba, a Parker twierdził, że miotacze też zadziałają. Tym razem nie chciał demonstrować ich działania, bo, jak wyjaśnił, zniszczyłyby podłogę.

Zresztą fakt, że sam zawierzył sprzętowi, że sam ryzykował życie, i tak był dla wszystkich wystarczającym dowodem skuteczności nowej broni. Dla wszystkich oprócz Ripley. Nie ufała już nikomu i niczemu. Zawsze miała lekkie skłonności paranoidalne, a ostatnie wydarzenia skłonności tych nie wyeliminowały, a wręcz przeciwnie. Stan własnego umysłu zaczynał martwić ją w równym stopniu jak obecność krwiożerczej bestii na pokładzie *Nostromo*.

Oczywiście, gdy tylko schwytają i zabiją monstrum, wszystkie problemy natury psychicznej znikną. Znikną...? Zwarta grupka targanych nerwami ludzi wyszła z mesy i ruszyła w stronę schodów prowadzących na pokład "B". Byli o krok od nich, kiedy oba detektory rozpisywały się jak szalone. Ash i Ripley natychmiast je wyciszyli. Parli naprzód dalej, kierując się wskazaniem igły, i zaraz potem usłyszeli inny dźwięk, dźwięk znacznie donośniejszy: odgłos dartego metalu.

- Spokojnie. - Dallas oparł miotacz na zgiętym łokciu i zniknął za rogiem.

Metaliczne zgrzytliwe odgłosy stały się teraz wyraźniejsze. Kapitan wiedział, skąd dochodzą.

- Pakamera z żarciem - szepnął przez ramię. - Jest w środku...

- Słyszycie to? - wymamrotała z przerażeniem Lambert. - Jezu, musi być wielki jak stodoła...

- Mały nie jest - potwierdził cicho Parker. - Widziałem tego skurwysyna. Silne bydlę, chwyciło Bretta jak... urwał w pół zdania. Wspomnienia zdławiły chęć dalszej rozmowy.

Dallas uniósł lufę miotacza.

- Z tyłu pakamery jest ujście szybu wentylacyjnego. Tamtędy wlaż. - Zerknął przez ramię na inżyniera. Parker, te twoje spluwy na pewno zadziałają?

- Przecież sam je zrobiłem, nie?

- Właśnie to nas niepokoi - mruknęła Ripley. Ruszyli naprzód. Metaliczne odgłosy nie ustawały. Kiedy stanęli tuż koło pakamery, kapitan dał znak Parkerowi. Inżynier ujął niechętnie ciężką klamkę. Dallas cofnął się o kilka kroków i wycelował miotacz.

- Teraz, Parker!

Parker szarpnął klamką, otworzył na oścież drzwi i czym prędzej odskoczył w bok. W tym samym momencie Dallas nacisnął spust topornej broni. Z lufy miotacza buchnął zadziwiająco szeroki, upiornie pomarańczowy strumień ognia. Płomień runął do wnętrza pakamery z taką siłą, że wszyscy musieli się cofnąć, osłaniając twarze przed gorącym podmuchem. Kapitan zrobił szybki krok do

przodu i nie zważając na bolesne pieczenie w gardle, oddał jeszcze jedną salwę w głąb pakamery. Odczekał sekundę i wypalił po raz trzeci. Stał teraz na wysokim progu i żeby ostrzelać ściany, musiał wygiąć się nieco do tyłu.

Minęło kilka nerwowych minut. Stali przed dymiącą pakamerą i czekali, aż jej wnętrze ostygnie. Czekali dość długo, a mimo to w środku było tak gorąco, że aby nie wpaść na rozpalone skrzynie z metalu albo nie oprzeć się o dyszące żarem ściany, musieli iść z niezwykłą ostrożnością.

Pakamerę należało spisać na straty. Obcy rozpoczął dzieło zniszczenia, miotacz Dallasa je dokończył. Na ścianach widniały głębokie, czarne bruzdy - dowód, że broń Parkera działała, i to skutecznie. Odór spalonej żywności mieszał się ze smrodem zwęglonych opakowań i w zamkniętej przestrzeni był nie do wytrzymania.

Chociaż broń inżyniera dokonała horrendalnego spustoszenia, nie wszystko w pakamerze uległo zniszczeniu. Dookoła wałały się liczne dowody działalności obcego, których ogień nie naruszył. Na podłodze leżały opakowania najróżniejszych rozmiarów i kształtów, a otwarto je w sposób, który zmroziłby krew w żyłach wszelkim producentom sztucznej żywności.

Metalowe "puszki" (nazywane tak ze względu na tradycję, a nie na proces metalurgiczny, w jakim je wytwarzano) zostały obdarte ze skóry niczym pomarańcze; z tego, co zauważyli, wynikało, że obcy zdażył pożreć prawie wszystko i że wśród zapasów miotacz Dallasa dokonał w sumie niewielkich spustoszeń.

Trzymając w pogotowiu namierniki i broń, przeszukiwali pogorzelisko: Gryzący dym unosił się w górę i szczypał ich w oczy.

Przekopali każdą większą „kupkę” spalonych szczątków, ale nie znaleźli tego, co mieli nadzieję znaleźć.

Ponieważ wszelka żywność w magazynach i chłodniach *Nostromo* była sztuczna i praktycznie rzecz biorąc nie różniła się składem, jedyne kości, jakie by tu ewentualnie odkryli, należałyby do obcego. Ale znaleźli tylko szczątki metalowej taśmy używanej do wzmacniania większych skrzyń. Tak, wyglądem przypominały kości, ale kośćmi przecież nie były.

Ripley i Lambert chciały oprzeć się o wciąż jeszcze gorące ściany. Oprzytomniały w ostatniej chwili.

- Uciekł - mruknęła rozczarowana Ripley. - Nie trafiliśmy go.
- Jak go nie trafiliśmy, to gdzie jest? Którędy mógł uciec? - pytała Lamberta.
- Tędy.

Obrócili, się i spojrzeli na Dallasa.

Kapitan stał w głębi pakamery, za zwałem czarnego, stopionego plastiku. Lufą miotacza wskazywał tylną ścianę. - Tędy zwiął.

Podeszli bliżej. Dallas zasłaniał sobą ujście szybu wentylacyjnego. Krata, która miała je ochraniać, leżała na ziemi rozdarta na strzępy.

Kapitan zdjął z pasa latarkę i zaświecił w głąb szybu. Nie zobaczyli nic oprócz gładkiej metalowej rury wijącej się niczym wąż i znikającej w aksamitnej otchłani.

Dallas był czymś wyraźnie podekscytowany.

- No to chyba koniec naszych zmartwień, panie i panowie - oświadczył nie z tego, ni z owego.

- O czym ty gadasz? - spytała Lambert. Obrócił głowę i spojrzał na swoją załogę.

- Nie rozumiesz? Wlaż tam, do szybu, tak? I dobrze. Ten szyb kończy się przy śluzie. Po drodze jest tylko jedno ujście, którym można zwiać. Obstawimy je i po krzyku.

A później weźmiemy miotacze, zapędzimy skurwiela do śluzy i wypieprzymy w kosmos.

- Jasne. - Ton głosu, jakim mówiła Lambert, wskazywał, że nawigator *Nostromo* nie podziela entuzjazmu kapitana. - Jasne, dla nas to drobiazg. Trzeba tylko wleźć za nim do szybu, zwijać się jak glista w tych wszystkich zakamarkach, stanąć z nim twarzą w twarz i modlić się o cud, żeby nie przepadał za ogniem z miotacza.

Dallas uśmiechnął się blado.

- Tak, ktoś tam musi wejść, a to nieco sprawę komplikuje, prawda? Ale ten plan powinien wypalić, zakładając, że obcy boi się ognia. To najlepsze rozwiązanie. Nie musimy przypierać go do muru, nie musimy drżeć ze strachu o to, żeby zdechł w płomieniach, nim zdąży wypalić w kadłubie dziurę. Będzie się cofał cały czas... wprost do otwartej śluzy.

- Znakomicie, pięknie, wspaniale! - powiedziała Lambert. - Jest tylko mały problem: kto wejdzie do szybu? Dallas omiótł wzrokiem swoich ludzi, szukając najodpowiedniejszego kandydata do śmiertelnych podchodów. Ash miał z nich wszystkich najsilniejsze nerwy, ale kapitan wciąż nie był go tak do końca pewien. Zresztą Ash pracował nad wynalezieniem odczynnika neutralizującego działanie żrącego kwasu, jaki wydzielał się z ran obcego, a to definitywnie przekreślało jego kandydaturę.

Lambert trzymała twarz, to fakt, ale pod wpływem stresu może okazać się słabsza niż pozostali. Ripley? Ripley dotrwa dzielnie do ostatniej chwili, do momentu konfrontacji, a potem... Dallas nie wiedział, czy Ripley wytrzyma, czy nie sparaliżuje jej strach. Raczej nie, ale czyż na tej kruchej podstawie mógł pchać ją w objęcia śmierci?

Parker... Parker zawsze udawał, że z niego kawał bezdusznego sukinsyna. Gderał, wiecznie narzekał, ale kiedy przyszło co do czego, umiał być twardy i

zrobić co trzeba. W dodatku robił to dobrze, choćby pręty elektryczne i miotacze ognia. No i Brett, to bydlę porwało Bretta, jego najlepszego przyjaciela. Poza tym Parker znał swoją broń na wylot, najlepiej nią władał. A więc Parker...

- No, Parker, zawsze chciałeś dostać pełny udział i premię, zgadza się?

- Niby... tak - powiedział ostrożnie inżynier. - To włącz do szybu.

- Dlaczego ja?

Dallas chciał mu przedstawić kilka powodów, ale zrezygnował i ujął rzecz najprościej jak można:

- Bo chcę zobaczyć, czy zasługujesz na udział i premię, dlatego.

Parker pokręcił głową i cofnął się o krok.

- O nie, łaskawco. Możesz sobie wziąć mój udział, możesz sobie wziąć moją premię i całą pensję. - Wskazał gestem ujście szybu. - Ale ja tam nie wejdę.

- Ja pójdę.

Ripley, Chciała zgłosić się na ochotnika wcześniej czy później. Zabawna dziewczyna... Dallas nigdy jej nie doceniał. Nikt jej chyba nie doceniał...

- Daj spokój.

- Dlaczego? - spytała zaczepnie.

- Właśnie, dlaczego? - wtrącił Parker. - Chce iść, to niech idzie.

- Bo ja tak chcę - rzucił krótko Dallas.

Zerknął na Ripley. Na jej twarzy malowała się uraza i niepewność. Nie rozumiała, dlaczego nie pozwolił jej pójść. Bez znaczenia. Może kiedyś jej to wytłumaczy. Jeśli sam zrozumie...

- Obstawisz służę, Ripley - rozkazał. - Ash, ty zostaniesz tutaj na wypadek, gdyby to cholerstwo jakimś cudem mnie przeskoczyło i chciało wiać przez pakamerę. Parker i Lambert, obstawicie boczne ujście szybu, to, o którym mówiłem.

Byli skonsternowani. Teraz nie ulegało już wątpliwości, kto wejdzie do szybu.

Ripley dobiegła do przedsionka przy służbie i ciężko dysząc spojrzała na detektor. Igła namiernika ani drgnęła. Ripley wcisnęła przycisk na ścianie. Rozległ się stłumiony szum i masywny luk służby stanął otworem. Kiedy wokół zaległa cisza, trzasnęła przełącznikiem interkomu.

- Służa gotowa.

Parker i Lambert dotarli do bocznego ujścia szybu, spojrzeli w górę i zastygli w bezruchu. Otwór na wysokości trzech czwartych ściany, na otworze krata. Wszystko wyglądało tak zwyczajnie, tak niewinnie.

- Tędy wyjdzie, jeśli Dallas go nie dopadnie... - mruknął Parker.

Lambert skinęła głową, podeszła do interkomu i zameldowała, że są na stanowisku.

Dallas nadal tkwił w pakamerze. Odebrał meldunek Ripley, teraz rozmawiał z Lambert. Zadał jej kilka pytań, wysłuchał odpowiedzi i przerwał połączenie. Ash podał mu miotacz. Kapitan wyregulował lufę i oddał kilka krótkich salw dla przetestowania broni.

- Działa. Parker nawet nie wie, jaki z niego mechanik. - Pochwycił spojrzenie Asha. - Coś nie tak?

- Jesteś kapitanem, to twoja decyzja. Nie mam prawa zabierać głosu.

- Jesteś oficerem odpowiedzialnym za sprawy naukowe, tak? Tak. No to wal śmiało. O co chodzi?

- To nie ma nic wspólnego z nauką.

- Słuchaj, nie czas na takie pierdoły. Co cię gryzie? Ash zerknął na niego z nieukrywaną ciekawością.

- Dlaczego ty? Dlaczego nie wysłałeś Ripley? Zgłosiła się na ochotnika, ma pełne kwalifikacje, dałaby sobie radę.

- Nie powinienem był ich dręczyć - odparł sprawdzając poziom płynu w zbiorniczku miotacza. - Błąd. Nikt nie może tam pójść, tylko ja. Na mnie spoczywa największa odpowiedzialność. Kazałem Kane'owi wejść do tej studni na wraku. Teraz moja kolej. Dotąd nie ryzykowałem, inni ryzykowali za mnie. Czas wyrównać rachunki.

- Jesteś kapitanem, Dallas - zaproponował Ash. - Kapitan musi być człowiekiem myślącym praktycznie, trzeźwo, nie żadnym bohaterem. Że wysłałeś do studni Kane'a? I słusznie, każdy dowódca by tak postąpił, bo tak każe regulamin. Skąd ta nagle zmiana?

Dallas wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Naukowiec nieczęsto dawał się przylapać na czymś takim.

- I ty to mówisz? Ty mi mówisz o regulaminie, Ash? Sam sobie zaprzeczasz. A kto stworzył służbę? Kto nas wpuścił na statek?

Naukowiec nie odpowiedział.

- Więc nie pouczaj mnie, co wolno, a czego nie wolno. - Jeśli zginiesz, będzie nam ciężko. Zwłaszcza teraz. - Przed chwilą powiedziałeś, że Ripley ma pełne kwalifikacje, że dałaby sobie radę. Absolutnie się z tym zgadzam. Kane'a już z nami nie ma, ona mnie zastępuje. Jeśli nie wrócę, poradzi sobie nie gorzej ode mnie.

- Chyba nie, Dallas.

Akademicka dyskusja. Przez ten czas obcy mógł uciec Bóg wie gdzie. Dallas był już zmęczony rozmową.

- Dość, Ash. To moja decyzja i mój rozkaz. Nie zmienię go. Kropka.

Postawił nogę w otworze szybu, ukucnął i pchnął przed siebie miotacz uważając, żeby broń nie obsunęła się po lekkiej pochyłości.

- Tak nic z tego nie będzie - mruknął. Zajrzał w głąb kanału. - Za mało miejsca. Muszę się czołgać... - Pochylił głowę i wcisnął się do otworu.

W środku było ciśniej, niż sądził. Parker i Ripley twierdzili, że zwierzę jest wielkie, ba, olbrzymie. Jakim więc cudem zdołało tędy uciec?! Ale to dobrze! Dallas miał nadzieję, że dalej szyb jest jeszcze węższy. Może to bydlę gdzieś tam utkwilo? Może ogarnięte strachem, paniką zakorkowało się na amen? Taki obrót sprawy byłby nader korzystny...

- No i jak? - usłyszał za sobą.

- Kiepsko. - Głos rozbrzmiewał tu jak w studni. Dallas leżał płasko na blachach poszycia. - Wygodnie jak diabli.

Włączył latarkę i pomacał niecierpliwie po szyi. Gdzie ten mikrofon? Jest.

Światło wyłowiło z mroku zarys długiego pustego korytarza opadającego w dół lekkim stalowym łukiem. Spadek będzie jeszcze większy, wiedział o tym. Musiał zejść szybem głęboko w dół, aż na następny pokład, i dopiero wtedy dotrze do śluzy, dopiero wtedy stanie twarzą w twarz z obcym.

- Ripley, Parker, Lambert. Słyszycie mnie? Jestem już w szybie. Schodzę do was.

Lambert włączyła interkom.

- Słyszemy cię dobrze. Postaram się złapać cię namiernikiem, jak tylko wejdiesz w nasz zasięg.

Obok niej Parker wbijał oczy w zakratowany otwór. W rękach ścisnął miotacz.

- Parker - instruował go kapitan - jeśli wystawi łeb i spróbuje zwiać, daj czadu i zapędź go z powrotem. Wtedy skieruję go do śluzy, jasne?

- Jasne.

- Śluza gotowa - meldowała Ripley. - Czekaj na lokatora. - Lokator zaraz tam będzie, Ripley, spokojna głowa. Ze wzrokiem utkwionym przed siebie, z palcem na spuście miotacza Dallas ruszył naprzód. Szyb miał tu nie więcej jak metr szerokości. Kapitan czuł, jak metalowe blachy ocierają mu kolana i żałował, że nie nałożył dodatkowej pary spodni. Teraz już za późno, myślał: Wszyscy są gotowi, czekają. Nie może zawrócić.

- Jak idzie? - usłyszał w głośniczku.

- W porządku, Ash. Nie martw się o mnie. Uważaj na ujście szybu. Jak go jakimś cudem tam zobaczysz, wał pełną parą.

Pokonał pierwszy zakręt. Usiłował sobie przypomnieć, jak wygląda schemat kanałów wentylacyjnych *Nostromo*. Dokładny plan wisiał w mesie, ale jego szczegóły wciąż rozmywały mu się przed oczyma. System wentylacyjny statku nie należał do systemów najważniejszych i kapitan nigdy go dokładnie nie studiował. Niestety...

Ujrzał przed sobą następne zakręty, ostrzejsze niż ten pierwszy. Zastygł w bezruchu, a później, ciężko dysząc, uniósł lufę miotacza. Nic nie wskazywało na to, że coś na niego tam czyha, ale lepiej nie ryzykować. Zbiorniczek był prawie pełny... Pokaże temu potworowi, że go ścigają, że są tuż tuż. Taki manewr nie zaszkodzi, przeciwnie. Może dzięki temu nie będzie musiał tego skurwiela oglądać...?

Musnął czerwony guziczek spustu i posłał strugę ognia w głąb krętego tunelu. Płomień ryknął, zafurkotał, Dallas poczuł na twarzy jego gorący oddech. Ruszył dalej, uważając, by nie dotykać rękami rozgrzanego metalu, po którym pełznął. Nie miał rękawiczek, parzyło go w dłonie i w kolana, ale nie czuł tego. Całą uwagę skupił na trasie, jaką musiał pokonać. Wypatrywał najmniejszych oznak ruchu, węszył jak zwierzę.

Lambert spoglądała w zamyśleniu na okratowane ujście szybu. Naraz sięgnęła do przełącznika. Cichy szum i stalowa krata powędrowała w bok. W ścianie zionął czarny, niczym nie osłonięty otwór.

- Zwariowałaś?! - Parker spojrzał na nią niepewnie. - Jeśli wylezie z głównego szybu, pójdzie tędy. Za kratą nic nie widać, ciemno. Tak jest lepiej. Nie chcę, żeby mnie zaskoczył.

Parker był innego zdania, ale milczał. Po co marnować siły na gadanie? Trzeba obserwować szyb i już. Krata, nie krata, co za różnica? Zresztą Lambert i tak przewyższała go stopniem.

Pot zalewał mu twarz, szczypał jak napastliwe mrówki. Przestał pełznąć, musiał otrzeć czoło. Sól wgryzała mu się w skórę, oczy paliły, kiepsko widział. Szyb opadał stromo w dół. Wiedział, że tak będzie, przypomniał sobie, ale kiedy stwierdził, że pamięć go nie zawiodła, odczuł miłą satysfakcję. Teraz musi uważać. Nie tylko na tunel, ale i na siebie. Nie może przecież stracić równowagi, nie może spaść na dno.

Doczołgał się do studni i posłał w głąb salwę z miotacza. Cisza. Żadnego jęku; żadnego krzyku. Pociągnął nosem. Nie, nie czuł swądu spalonego mięsa. Potwór był gdzieś tam, daleko przed nim. Ucieka? Pełza jak on? Boi się? Jest przerażony? Wściekły? Szuka rozpaczliwie wyjścia? A może czeka? Może spokojnie czeka, aż jego uparty prześladowca podejdzie bliżej, a wtedy przejdzie do obrony i zaskoczy go czymś, o czym Dallas wołał nawet nie myśleć.

W szybie było gorąco. Czuł w kościach zmęczenie. Jest jeszcze jedna możliwość, rozważał. Co będzie, jeśli ten małpolud odkrył jakieś inne wyjście z kanału? On się tu morduje, katuje, a to bydlę jest już w innej części statku. Cały wysiłek na nic. Istniał tylko jeden sposób, żeby rozwiązać wszelkie wątpliwości. Głową naprzód, z miotaczem wysuniętym przed siebie ruszył w głąb studni.

Lambert zauważyła to pierwsza: igła detektora drgnęła. Minęło kilkanaście nerwowych sekund, nim zdołała wykonać niezbędne obliczenia.

- Złapałam namiar, Dallas. Jesteś w zasięgu detektora - zameldowała.

- Dobra. - Poczuł się rażniej wiedząc, że tamci wreszcie go namierzyli. - Nie zgubcie mnie.

Następny zakręt. Nie przypominał sobie, żeby było tu ich aż tyle, łagodnych, ostrych, różnych, ale dawał głowę, że nie zboczył z trasy. Bo jakim cudem? Po drodze nie widział żadnej odnogi szerokiej na tyle, by precyzyjnie się tamtędy zwierzę większe niż Jones. Chociaż obcy udowodnił, że jest zwinny i giętki jak wąż, nie mógł przecież skurczyć się do tego stopnia, żeby wejść do rury o średnicy ledwie kilku centymetrów.

Ten zakręt był szczególnie trudny i niebezpieczny. Długa sztywna lufa , miotacza nie ułatwiała mu zadania. Z trudem łapiąc oddech leżał i myślał, co robić dalej.

- Ripley?

Drgnęła przestraszona ostrością jego głosu.

- Tak, jestem. Słyszę cię wyraźnie - rzuciła spieszenie do mikrofonu. - Coś się stało? Jesteś czymś... - zamilkła i ugryzła się w język. No pewnie, że jest zdenerwowany, pomyślała. A co? Ma tam tańczyć z radości?

- Nie, wszystko w porządku - odpowiedział. - To zmęczenie. Wyszedłem z formy. Parę tygodni w hibernatorze i mięśnie flaczeją bez względu na te wszystkie ćwiczenia, jakie ci serwuje maszyna. - Zmienił pozycję. Miał teraz lepszy widok na szyb. - Ten kanał chyba zaraz się skończy. Jest cholernie gorąco...

Należało tego oczekiwać, dodał w duchu. Efekt akumulacyjny. Kilka salw z miotacza i termostaty nie wyrabiają. - Idę dalej. Uważajcie.

Gdyby przy wyjściu z szybu czekał jakiś postronny obserwator, niechybnie zauważyłby olbrzymią ulgę na twarzy Dallasa, kiedy wychynał wreszcie z ciasnego tunelu. Tunel kończył się w jednym z głównych szybów wentylacyjnych *Nostromo*; miał dwie kondygnacje rozdzielone pomostem roboczym. Dallas wypełznął na zewnątrz, stanął i rozprostował kości. Wspaniałe uczucie.

Zlustrował dokładnie korytarz i nie odkrył niczego podejrzanego. Jedynym dźwiękiem, jaki dobiegł jego uszu, było delikatne, cierpliwe chrobotanie termostatów. Nieco dalej mieścił się obszerny węzeł naprawczo-serwisowy. Podeszedł bliżej i zbadał teren. Wielka komora była pusta.

Nic nie mogło go tu zaskoczyć, stał przecież dokładnie na środku pomieszczenia. Dobre miejsce na kilka minut odpoczynku, którego tak bardzo potrzebował. Usiadł na pomoście, rzucił okiem na niższą kondygnację i przysunął bliżej mikrofon.

- Lambert, jaki masz teraz zamiar? Jestem w węźle serwisowym, w dużej pustej komorze. Poza mną nie ma tu żywej duszy.

Lambert spojrzała na detektor i nagle zmarszczyła czoło. Zerknęła z niepokojem na Parkera i podsunęła bliżej namiernik.

- Rozumiesz coś z tego? - spytała.

Inżynier przyjrzał się igle, zobaczył czerwone światełko. - Ni cholery, nie znam się na tym. To zabawka naszego naukowca. Ale fakt, dziwne to jakieś...

- Lambert?

- Jestem, Dallas, jestem, tylko... - Potrząsnęła namiernikiem. Odczyt nie uległ zmianie. - Mam tu jakby podwójny sygnał.

- Podwójny sygnał? Zwariowałaś? Odbierasz dwa sygnały? Nie jeden?

- Właściwie to jeden, ale... podwójny.

- Może to zakłócenia, ekranowanie? Ten szyb to labirynt, każda aparatura rejestrująca zmiany gęstości powietrza dostanie tu kręcka. Pójdę dalej. Jak zacznę iść, powinnaś złapać wyraźny impuls. Pojedynczy.

Dallas wstał. Spod pomostu wysunęła się gigantyczna szponiasta łapa. Sięgnęła w stronę jego nóg. Wolno, powoli. Kapitan tego nie widział, szedł dalej. Łapa otarła się niemal o jego lewą stopę i cofnęła w mrok. Wolno, powoli, cicho...

Kapitan stanął w połowie . drogi między pomostem a tylną ścianą komory.

- Teraz lepiej, Lambert? Przeszedłem kilka metrów. Jak sygnał? Wyraźniejszy?

- Sygnał jest wyraźny, bardzo wyraźny... - odparła spiętym głosem. - Ale ten drugi nie zniknął, wciąż go odbieram, Dallas. Zresztą nie wiem, to mogą być dwa sygnały, tak, dwa wyraźne sygnały. Nie mam pojęcia, który jest który.

Dallas zrobił błyskawiczny obrót w tył. Przebiegł oczyma po ścianach, po brezentowym suficie, zlustrował wzrokiem podłogę i ujście tunelu, z którego wyszedł. Później zerknął na pomost roboczy koło stanowiska serwisowego. Siedział na nim, siedział na nim ledwie kilka minut temu!

Opuścił lufę miotacza. Byłem tam, myślał, teraz jestem tu. Jeśli jestem tu, i jeśli impuls na detektorze Lambert, ten z przodu, to ja, źródło drugiego sygnału musi być gdzieś tam... Wymacał palcem spust miotacza.

Spod pomostu wychynęła olbrzymia łapa. Zakrzywione szpony sięgnęły ku nogom kapitana.

I znów Dallas tego nie widział. Bo obcy czyhał z tyłu, z tyłu, nie z przodu. Bo to obcy był powodem drugiego, mylącego sygnału.

Ripley stała przy ujściu szybu. Nie spuszczała z niego oczu i myślała o służbie, otwartej, gotowej na przyjęcie bestii. Dobiegł ją odległy, metaliczny łoskot. Początkowo sądziła, że się przesłyszała, że to tylko jej wyobraźnia, a wyobraźnia częściowo płatała Ripley najróżniejsze figle. Ale nie, dźwięk rozległ się znowu,

tym razem z lekkim pogłosem. Dochodził chyba z głębi szybu... Zaciśnęła palce na uchwycie miotacza.

Cisza. Wbrew zdrowemu rozsądkowi podeszła bliżej otworu, kierując weń lufę.

Znów coś usłyszała, tak, wyraźnie! Krzyk! Ktoś krzyczał! I rozpoznała ten głos!

Zapominając o środkach ostrożności, nie dbając o następstwa tego co robi, ruszyła pędem do szybu.

- Dallas! Dallas!

Dallas już nie krzyczał. Ripley usłyszała tylko odgłos miękkiego, odległego człapania, które szybko ucichło. Spojrzała na detektor. Na ekraniku zamrugła pojedyncza plamka. Po chwili zniknęła. Czerwone światelko zbladło, później zgasło. Jak tamten krzyk.

- Boże, Boże... Parker! Lambert! - Rzuciła się do interkomu.

- Jestem, Ripley. - To Lambert. -- Co się stało? Przed sekundą straciłam namiar.

Ripley chciała coś powiedzieć, ale głos zamarł jej w gardle. Nagle uświadomiła sobie, kim teraz jest, jakie ciążą na niej obowiązki, jaka odpowiedzialność. Odchrząknęła i chociaż nikogo przy słuzie nie było, wyprostowała się, przybierając godniejszą postawę.

- Przed sekundą straciliśmy Dallasa...

12.

Zostało ich tylko czworo. Odprawa. Mesa już nie była zatłoczona i ciasna. Zyskała na przestronności, której nienawidzili. Odżywały tu wspomnienia, które chcieli jak najprędzej zatrzeć.

Parker trzymał w ręku dwa miotacze. Jeden z nich położył na nagim blacie stołu. Ripley spojrzała na niego ze smutkiem w oczach.

- Gdzie był?

- Na podłodze, w węźle serwisowym, obok pomostu roboczego - odparł głucho.

- Po nim ani śladu. Ani krwi, ani niczego.

- A co z tym ohydztwem?

- Też ani śladu. Nie ma go nigdzie. Została tylko dziura w ścianie kompleksu chłodzącego. Rozerwał stal na strzępy jak papier. Nie wiedziałem, że jest taki silny, cholera...

- Nikt nie wiedział. Dallas też nie. Odkąd to bydlę znalazło się na pokładzie, zawsze o krok nas wyprzedzało. To się musi zmienić. Od tej chwili zakładamy, że jest zdolne do wszystkiego, że może nawet stać się niewidzialne.

- Żadne stworzenie wykreowane przez naturę nie może być niewidzialne - stwierdził autorytatywnie Ash.

Ripley popatrzyła na niego z gniewnym błyskiem w oku. - Żadne stworzenie wykreowane przez naturę nie jest w stanie rozerwać blachy o grubości trzech centymetrów, Ash.

Naukowiec nie zabrał głosu.

- Najwyższy czas, żebyśmy zdali sobie sprawę, z czym przyszło nam walczyć.

W mesie zaległa martwa cisza.

- Ripley, w tej sytuacji obejmujesz dowództwo. - Parker spojrzał jej w twarz. - Jestem za. Rozkazuj.

- Dobra, Parker.

Mówił bez cienia sarkazmu, nie nabijał się jak dawniej. Wieczny szyderca nie, szydził. Choć raz.

No i co teraz, Ripley? pytała siebie w duchu. Co teraz? Trzy twarze wpatrywały się w nią oczekując konkretnych decyzji. Rozpaczliwie szukała jakichś rozwiązań, jakichś błyskotliwych myśli, ale w głowie czyhał tylko strach i pustka. Jej towarzysze doświadczali bez wątpienia tego samego. Zaczynała rozumieć Dallasa, lecz teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

- Zatem sprawa dowództwa ustalona - powiedziała. - Jeśli ktoś z was ma jakiś lepszy pomysł na unieszkodliwienie tej bestii, słucham. Jeśli nie, trzymamy się tego samego planu.

- Żeby skończyć w ten sam sposób? - Lambert potrząsnęła głową. - Nie, wielkie dzięki.

- Masz lepszy pomysł? To mów.

- Mam: opuścić statek. Wsiąść na prom i dać stąd nogę, byle dalej. Musimy zaryzykować i wziąć kurs na Ziemię. Kiedy dotrzemy do bardziej uczęszczanych szlaków, ktoś usłyszy nasz sygnał S.O.S, ktoś nas musi usłyszeć.

Ash podjął kwestię, której woleliby raczej nie podejmować. Lambert go do tego zmusiła.

- O czymś chyba zapominasz, nawigatorze - rzekł cicho. - Zapominasz, że Brett i Dallas mogą jeszcze żyć. Szansa jest minimalna, przyznaję, ale jest. Nie możemy opuścić *Nostromo*, dopóki się o tym ostatecznie nie przekonamy.

- Ash ma rację - zgodziła się Ripley. - Musimy spróbować jeszcze raz. Wiemy, że ten stwór porusza się kanałami wentylacyjnymi. Sprawdzimy wszystkie, pokład po pokładzie. I zespawamy laserem każdą gródź, każdy otwór, aż dopadniemy sukinsyna.

- Zgoda brzmi nieźle. - Parker zerknął na Lambert. Lambert milczała. Była kompletnie załamana.

- Jak miotacze? Starczy nam amunicji? - spytała Ripley.

Inżynier sprawdził szybko zbiorniczki i rurki doprowadzające paliwo.

- Przewody i lufy są czyste: Wszystko powinno działać bez zarzutu. - Wskazał na miotacz Dallasa. - Tamten trzeba napełnić. - Nagle posmutniał. - Zużył dużo paliwa...

- No to idź, szkoda czasu. Ash, pójdiesz z Park'erem. Inżynier spojrzał na Asha. Twarz miał bez wyrazu.

- Nie trzeba, poradzę sobie. Naukowiec skinął głową.

Parker wziął miotacz i wyszedł.

Stali smętnie wokół stołu i czekali na powrót inżyniera. Nie mogąc znieść ciszy; Ripley obróciła się do Asha i spytała:

- Masz jakieś uwagi? Świeże pomysły? Sugestie? Może Matka na coś wpadła?

Naukowiec wzruszył smutno ramionami.

- Nie, nie ma nic nowego. Matka wciąż komplikuje informacje.

Wbiła w niego wzrok.

- To nie do wiary, Ash. Chcesz powiedzieć, że wszystkie dane, które zgromadziliśmy w tych przepastnych bankach informacji, są do kitu? Że w niczym nie mogą nam pomóc?

- Na to wygląda. Nie zapominaj, że mamy do czynienia z czymś wyjątkowym, że reakcje tego stworzenia są nie do przewidzenia. Sama powiedziałaś, że jest zdolne do wszystkiego, prawda? To sprytny przeciwnik. Ma inteligencję psa, co najmniej psa, a najpewniej przewyższa rozumem szympansa. Udowodnił nam również, że potrafi się uczyć. Nie znał statku, a przecież nauczył się po nim poruszać tak, że z trudem go namierzamy. I zrobił to szybko, bardzo szybko. Jest silny, przebiegły i zwinny. To drapieżnik, z jakim się dotąd nie spotkaliśmy. Nic dziwnego, że nasze dotychczasowe wysiłki spełzły na niczym.

- Mówisz tak, jakbyś chciał się poddać.

- Nie, stwierdzam tylko fakty, suche fakty.

- Ash, *Nostromo* jest nowoczesnym, dobrze wyposażonym statkiem z napędem nadprzestrzennym. Ten statek jest zdolny do wykonywania wielu skomplikowanych zadań. Chcesz powiedzieć, że jego możliwości są zbyt małe? Że *Nostromo* nie poradzi sobie z jednym dużym zwierzęciem?

- Przykro mi, kapitanie. Oceniałem tylko sytuację. A tak ją widzę. Chciejstwo niczego tu nie zmieni. Człowiek ze sztuczerem w ręku ma szansę upolować w dżungli tygrysa. Za dnia. Nocą, w ciemności, otoczony zewsząd niewiadomym, traci nerwy, ulega prymitywnemu strachowi. Z korzyścią dla tygrysa. A my działamy w mrokach niewiedzy.

- Bardzo poetycznie powiedziane, Ash, bardzo. Tylko guzik z tego wynika.

- Przykro mi, kapitanie, naprawdę. - Naukowiec sprawiał wrażenie człowieka, któremu dalszy przebieg wydarzeń jest raczej obojętny. - Masz dla mnie jakieś rozkazy? - zapytał.

- Spróbuj wpłynąć na te "suche fakty", których jesteś taki pewny. Siądź do komputera. Pytaj Matkę tak długo, aż zacznie ci podawać, bardziej pocieszające odpowiedzi.

- Dobrze, spróbuję. Ale nie wiem, czego oczekujesz, Ripley. Matka nie potrafi ukrywać informacji. - To sformułuj inaczej pytania, człowieku! Pamiętasz ten nieszczęśliwy sygnał S.O.S? Mnie się jakoś udało, prawda? - Owszem. - Ash spojrzał na nią z nie ukrywanym szacunkiem. - Masz rację. Idę. - I poszedł.

Lambert usiadła. Ripley przysunęła sobie krzesło.

- Wytrzymaj, Lambert, wytrzymaj. Dobrze wiesz, że gdyby to spotkało nas, Dallas postąpiłby tak samo. Nie opuściłby statku, nie upewniwszy się, czy żyjemy, czy nie.

Lambert nie dawała się pocieszyć.

- Wiem jedno: każesz nam tu zostać i czekać, aż ten potwór rozszarpie nas na kawałki. Wszystkich, po kolei. - Przysięgam ci, Lambert, jeśli ten plan nie wypali, natychmiast dajemy chodu. Pierwsza wskoczę do kabiny promu, zobaczysz.

Nagle zaświtała jej w głowie pewna myśl. Myśl szczególna, dziwna, nie związana z tematem rozmowy, a jednak w jakiś niewytłumaczalny sposób na nią rzutująca. Zerknęła na koleżankę. Lambert musiałaby odpowiedzieć szczerze, inaczej nie było sensu pytać. Doszła do wniosku, że akurat w tych sprawach może jej ufać, chociaż w innych... Różnie bywało.

Rzecz jasna, taka czy inna odpowiedź niczego nie zmieni. Ot, jedno małe, niewinne, nieco może perwersyjne pytanie. Ripley wiedziała, że będzie ją teraz nurtowało, dręczyło, że nie da jej spokoju, że zdominuje jej myśli, że po prostu musi je zadać. Z ciekawości...?

- Lambert, spałaś z Ashem?

- Nie. - Odpowiedź padła natychmiast, bez chwili wahania czy namysłu. - A ty?

- Też nie.

Milczały przez jakiś czas.

- Chyba nigdy nie miał na to szczególnej ochoty wyznała sama z siebie Lambert. - Takie przynajmniej odniosłam wrażenie.

No i już, pomyślała Ripley. Lambert nic więcej na ten temat nie powie, bo co ma powiedzieć? Koniec, kropka. Ulżyło?

Nie, bo wciąż nie mogła odpędzić natrętnych myśli. Kłębiły się w jej głowie, dręczyły ją, doprowadzały do szaleństwa, a ona nie wiedziała, nie miała pojęcia dlaczego...

Parker sprawdził poziom sprężonego metanu w pierwszym zbiorniku i upewnił się, czy butla jest pełna. Była. Sprawdził drugi zbiornik, a później dźwignął oba pojemniki i ruszył po schodach w górę.

Pokład "B". Pusto, samotnie. Tak samo jak na dole. Im szybciej dołączy do tamtych, tym lepiej. Dla niego, dla własnego samopoczucia. Zaczynał żałować, że Ash mu nie towarzyszy. Kretyn z ciebie, Parker, myślał. Po jaką cholerę lazałeś tu sam?! Ta bestia tylko na to czyha. Brett i Dallas też byli sami. Chociaż przeszkadzały mu ciężkie zbiorniki, spróbował biec jeszcze prędzej.

Skręcił w boczny korytarz i wmurowało go w ziemię tak gwałtownie, że omal nie wypuścił z rąk pojemnika. Główna śluza. Nieco dalej, przed nim. Za śluzą, tuż za nią, coś się poruszyło. Poruszyło się? Wyobraźnia, przekłeta wyobraźnia... Zamrugał oczami, chcąc rozjaśnić myśli i pokonać mrok.

Już miał ruszyć dalej, gdy wtem dostrzegł tam jakiś cień, rozmazany, niewyraźny. Jezu, to musi być coś ciężkiego, wielkiego... Cień drgnął.

Parker rozejrzał się nieprzytomnie i tuż obok, na ścianie, zobaczył głośnik interkomu. Ripley i Lambert są wciąż na mostku. Na pewno tam są, są... Wcisnął kciukiem guzik.

Głośniczek interkomu wbudowany w konsolę, przy której siedziała Ripley, ożył i zaczął wydawać z siebie jakieś dziwne, dźwięki i szmery. Ripley wzięła je

początkowo za zakłócenia elektromagnetyczne, ale po chwili wyłowiła z trzasków coś, co zabrzmiało jak zrozumiałe słowo.

- Tu Ripley - rzuciła do mikrofonu.

- Cicho! - wyszeptał gorączkowo Parker.

Cień przy słuzie znieruchomiał. Jeśli to bydlę go usłyszało...

- Parker? Nie słyszę cię, powtórz. - Zaintrygowana, spojrzała na Lambert. Lambert nic z tego nie rozumiała. Ripley zniżyła głos. - Dlaczego szepciem? Co się dzieje?

- Obcy. - Parker mówił jeszcze ciszej niż przedtem. Bał się. - Jest przy słuzie... Tak! Jest tutaj! Otwórz luk. Wolno. Kiedy powiem, zamknij go i otwórz zewnętrzny. - Jesteś pewny, że...

Nie pozwolił jej dokończyć.

- Ripley, mamy tego sukinsyna! Mamy go! Rób, jak mówię. - Z trudem opanował nerwy. - Dobra. Otwórz luk. Teraz. Powoli...

Ripley zawahała się, chciała coś powiedzieć. Zerknęła na Lambert. Lambert skinęła energicznie głową! Jeśli Parker zwariował i ma halucynacje, stracą najwyżej trochę powietrza, nic więcej. Jeśli zaś inżynier jest zdrowy na umyśle... Trzasnęła przełącznikiem.

Kiedy rozległ się cichy drastyczny jęk, Parker przylgnął do ściany korytarza tak mocno, jakby chciał w nią wnikać. Drzwi wewnętrznego luku śluzy stanęły otworem. Monstrum wychynęło z cienia i podeszło bliżej. W słuzie migotały kolorowe światelka. Jedno z nich jaśniało ze szczególną intensywnością. Było zielone, szmaragdowe. Obcy spojrzał na nie z wyraźnym zaciekawieniem i znieruchomiał w progu.

No włącz! Włącz do środka, sukinsynu! - Myślał gorączkowo Parker. Spójrz tylko, masz tam takie piękne zielonkawe światelko. Nie chciałbyś dotknąć takiego pięknego, zielonkawego światelka? Chcesz, chcesz, na pewno chcesz. Wystarczy parę kroków do przodu i światelko jest twoje, twoje na wieki wieków. No, tylko kilka kroków! Chryste, dwa, trzy kroki...

Zafascynowany pulsującym rytmicznie wskaźnikiem, obcy wszedł do śluzy. Wszedł, naprawdę wszedł, był już w środku!

Teraz albo nigdy, pomyślał Parker. Bóg wie, czy się za chwilę nie znudzi, czy nie nabierze nagle jakichś podejrzeń. - Teraz, Ripley! - wychrypiał do mikrofonu. - Teraz!

Ripley sięgnęła ręką do przełącznika. Już miała go dotknąć, już za chwilę, za moment, gdy naraz na całym statku zawyły przeraźliwe syreny. Ripley zesztyniała jak sparaliżowana. Lambert również. Spojrzały po sobie. W oczach nawigatora odbijała się zaszokowana twarz Ripley. W oczach Ripley - zaszokowane oblicze nawigatora. Ripley pchnęła dźwignię.

Obcy też usłyszał syreny. Napiął mięśnie i jednym nieprawdopodobnie długim susem przeskoczył próg śluzy. Luk zamknął się na ułamek sekundy wcześniej. Jedna z kończyn ogarniętego paniką monstrum utkwiała między drzwiami a ścianą.

Z przytrzaśniętego członka trysnęła żrąca ciecz. Obcy wydał z siebie odgłos, który zabrzmiał jak ryk albo jak jęk stłumiony grubą warstwą wody. Szarpnął się i urwał okaleczoną kończynę. Została w pułapce, a on zawrócił i pognął korytarzem. Oszalały z bólu, ledwo zauważył sparaliżowanego strachem inżyniera. Podniósł go, cisnął o ścianę i zniknął za najbliższym zakrętem.

Nad skurczonym ciałem Parkera pulsował zielonkawy napis: LUK WEWNĘTRZNY ZAMKNIĘTY.

Pufff. Odskoczyła kłapa luku zewnętrznego. Powietrze uszło w próżnię nikłym obłoczkiem białej pary.

- Parker? - rzuciła do mikrofonu zaniepokojona Ripley. - Parker! - Wdusiła przycisk, wyregulowała dźwięk. - Parker, co się tam dzieje?! Jej uwagę przykuło zielonkawe światełko mrugające uporczywie na konsolocie.

- Co się stało? - Lambert wychyliła się ze swego fotela. - Mamy go?

- Nie wiem. Luk wewnętrzny jest zamknięty. Zewnętrzny otwarty...

- To go mamy. Co z Parkerem?

- Nie odpowiada. Gdyby wszystko wypaliło, szalałby z radości... - Podjęła decyzję. - Idę tam: Sprawdzę na miejscu. Siadaj za konsolą. - Wstała i ruszyła pędem do schodów wiodących na pokład "B."

Po drodze kilka razy omal nie upadła. Nadziała się na jakieś przepierzenie, grzmotnęła w nie głową i jeszcze trochę, a straciłaby przytomność. Z trudem utrzymała równowagę i potruczała chwiejnie dalej. Nie myślała o upiornym monstrum, nie. Myślała o człowieku, o Parkerze. Bo ludzi na *Nostromo* było coraz mniej...

Zbiegła schodami na pokład "B". Ruszyła korytarzem w stronę śluzy. Korytarz był pusty. Prawie pusty - na podłodze leżało bezwładne ciało. Parker.

Pochyliła się nad nim. Oszołomiony, ledwie przytomny, poruszył wargami.

- Jezu, Parker? - spytała. - Wyglądasz koszmarnie. Czy...

Inżynier chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał. Uniósł z trudem rękę i wyciągnął ją przed siebie:

Ripley urwała, pobiegła wzrokiem w tamtym kierunku i w drzwiach śluzy ujrzała dziurę, usłyszała skwierczenie trawionego kwasem metalu. Luk zewnętrzny był wciąż otwarty. Wyrzucili obcego za burtę i nie zdążyli jeszcze zamknąć za nim drzwi. Boże! Ripley zaczęła się podnosić.

Kwas zrobił swoje, przeżarł metal na wylot. Ogłuszający huk uciekającego powietrza i znaleźli się w oku mini cyklonu. Huk przeszedł szybko w gwizdzący ryk, a w korytarzach rozbłysły czerwone napisy:

ROZHERMETYZOWANIE KADŁUBA. SYTUACJA KRYTYCZNA

Znów zawyły syreny, tym razem histerycznie, bo istotnie miały ku temu powód. System awaryjny na szczęście działał i na statku zaczęły zatrząsować się hermetyczne grodzie. Na całym statku, łącznie ze skrajnym odcinkiem pokładu "B", gdzie nastąpiło uszkodzenie poszycia. Parkerowi i Ripley nie powinno więc nic grozić, ale... Ale gródź, która miała ich oddzielić od przedsionka śluzy, zakleszczyła się na jednym z pojemników z metanem.

Huraganowy wiatr wciąż szalał. Ripley szukała wokół czegoś, czym mogłaby odklinować drzwi. Szukała czegoś, czegokolwiek, ale znalazła tylko drugi pojemnik ze sprężonym metanem. Chwyciła go i uderzyła jak młotem. Gdyby któraś z butli pękła, najmniejsza iskierka wywołana starciem metalu z metalem zapaliłaby gaz i wybuch rozsadziłby burtę. Ale jeśli nie zdoła odklinować grodzi, i to szybko, próżnia i tak ich zabije.

Zaczynała odczuwać brak powietrza. Słabła. Z nosa i z uszu płynęła jej krew. Spadek ciśnienia otworzył częściowo już zasklepione rany Parkera. On też krwawił, mocno.

Uderzyła po raz ostatni. Zakleszczony pojemnik wyskoczył spomiędzy drzwi jak śliskie jajko z zaciśniętej dłoni, gródź odcięła ich od śluzy i ryk wichury nagle ustał. Powietrze wirowało jeszcze przez chwilę wokół nich, ale wkrótce przestało.

Na konsolocie, przed którą siedziała Lambert, zaświecił złowieszczy napis: USZKODZENIE KADŁUBA. ,GRODZIE ZAMKNIĘTE

Włączyła interkom.

- Ash, weź tlen. Spotkamy się koło śluzy, przy ostatniej grodzi. - Zrozumiałem. Idę.

Ripley usiłowała wstać. Walczyła o każdy oddech, o każdą drobinę powietrza. Ale w maleńkiej komorze powietrza prawie nie było. Ruszyła chwiejnie w stronę przycisku awaryjnego otwierania drzwi; przyciski takie wmontowano w każdą gródź. Trzeba go nacisnąć, tylko nacisnąć. Drzwi się otworzą i przejdzie do sąsiedniego sektora, gdzie jest powietrze, dużo świeżego powietrza...

Już miała wcisnąć guzik, już go prawie dotykała, gdy ku swemu przerażeniu stwierdziła, że zamiast grodzi wiodącej na bezpieczny pokład "B" chce otworzyć drzwi do przedsionka śluzy. Odwróciła się, ustawiła i padła bezwładnie na przeciwległą gródź. Zanim odszukała przycisk, minęło kilkanaście sekund. W głowie miała chaos, myśli pływały w mózgu niczym krople oliwy na wodzie. Widziała jak przez mgłę, czuła wokół zapach róż i bzu.

Wreszcie wcisnęła guzik. Drzwi ani drgnęły. Wtedy zauważyła, że wciska nie ten, że trzeba nacisnąć inny, ten obok. Opierając się bezwładnie o ścianę, próbując usztywnić gumowate nogi, podeprzeć swe zwiotczałe ciało, zbierała siły przed następną próbą. W komorze nie było już praktycznie czym oddychać.

W okienku wbudowanym w drzwi ukazała się jakaś twarz. Twarz zniekształcona, rozdęta, ale jakby znajoma. Tak, chyba знаła skądś tę twarz; znała ją z dawnych; odległych czasów. To twarz dziewczyny, twarz kogoś imieniem Lambert. Ripley była już zmęczona, bardzo zmęczona. Zaczęła osuwać się wolno na podłogę.

Gródź uleciała do góry, zniknęła w suficie, Ripley uderzyła głową o podłogę. Zabrano jej ostatnie oparcie i poczuła jakąś odległą, nikłą złość. Powiew świeżego powietrza na twarzy. Powietrza niewymownie słodkiego, ożywczego. Mgła przesłaniająca oczy z wolna ustępowała. Mgła otulająca wyczerpany mózg ustąpić jeszcze nie chciała.

Kiedy Lambert i Ash dobiegli do śluzy, syrena oznajmiła przywrócenie pełnej hermetyczności wewnętrznej. Ash skoczył w stronę Parkera, który zemdlął z braku tlenu i zaczynał teraz odzyskiwać przytomność.

Ripley miała otwarte oczy, mogła nimi świadomie poruszać, ale nad resztą ciała nie umiała zapanować. Ręce i nogi nienaturalnie wygięte, rozrzucone na boki, wyglądały jak kończyny wątłej i niezbyt dobrze uszytej lalki. Oddychała ciężko, płytko z wyraźnym trudem.

Lambert ustawiła obok niej butlę z tlenem. Na nos i usta Ripley nałożyła przezroczystą maskę i odkręciła zawór. Ripley zrobiła głęboki wdech. Jej płuca wypełniły się cudownym, wonnym balsamem. Z rozkoszy zamknęła oczy i w kompletnym bezruchu pompowała w siebie litry czystego tlenu. Nie, nie dostała szoku. Jedynym szokiem, jakiego doświadczyła, była niewymowna przyjemność, absolutny błogostan.

W końcu zerwała z twarzy maskę i przez chwilę odpoczywała. Wrócił jej normalny oddech. Aha, więc jednak udało się zahermetyzować statek... pomyślała. Kiedy ciśnienie osiągnęło wartość optymalną, grodzie zniknęły w suficie.

Wiedziała, że wytworzenie nowej atmosfery kosztowało, ich bardzo dużo, że *Nostromo* musiał opróżnić swoje rezerwowe zbiorniki. Zajmiemy się tym, kiedy przydusi nas konieczność, nie teraz, zdecydowała.

- Lepiej ci? - zapytał Parkera Ash. - Co się tutaj właściwie stało?

Inżynier zdarł z górnej wargi grudkę zakrzepłej krwi i potrząsnął głową usiłując rozjaśnić myśli.

- Lepiej, nie zdechnę - mruknął. Nie odpowiedział na drugie pytanie naukowca.

- Co z nimi? Co z obcym? - naciskał Ash.

Parker znów potrząsnął głową, krzywiąc się jak na wspomnienie czegoś niemiłego i bolesnego.

- Uciekł. Zawyla syrena i wyskoczył ze śluzy. Przytrzasnęło mu ramię, nogę, nie wiem co. A on się tylko szarpnął, urwał tę nogę jak jaszczurka ogon i zwiął.

- Można się było tego spodziewać - skomentował Ash. - Natura wyposażyla go w niezwykle zdolności regeneracyjne.

- A już sukinsyna mieliśmy... - Ton głosu Parkera odzwierciedlał głębokie rozczarowanie, jakie inżynier odczuwał. - Już go mieliśmy, mieliśmy go! - Urwał, milczał chwilę. - Kiedy wyszarpnął nogę, zalał kwasem pokład. Z tej nogi, cholera, mu ciekło. Dobrze, że rany szybko mu się goją, mamy szczęście. Kwas przeżarł luk. No i wszystko szlag trafił. - Drżącą ręką wskazał gródź oddzielającą ich od przedsionka śluzy. - Możecie, tę dziurę sobie obejrzyć, jak chcecie.

- Na razie dajmy sobie z tym spokój. - Zaintrygowany popatrzył na Ripley. - Kto włączył syrenę?

Ripley wbiła w niego twarde spojrzenie.

- To ty mi powiedz kto. - O co ci chodzi?

Otarła usta. Krew. Pociągnęła nosem.

- Jasne, syrena włączyła się sama. Logiczne wytłumaczenie, co? Włączyła się i wyłączyła. Przypadkowa awaria, zbieg okoliczności, tak?

Naukowiec wstał i spojrzał na nią spod na wpół przymkniętych powiek. Zanim zaczęła mówić, sprawdziła, czy ma pod ręką pojemnik z metanem. Ale nie, Ash nie zamierzał jej napastować, przynajmniej nie fizycznie. Wciąż nie mogła go rozgryźć, nie mogła.

Jeśli coś knuł, powinien był ją wykończyć wcześniej, kiedy leżała półprzytomna, kiedy Parker nie mógł jej obronić. Jeśli jest niewinny, powinien się wściec i przejść do rękoczynów. A on nic. I tego się nie spodziewała.

Przewidziała za to pierwsze słowa, jakie wypowiedział. - Jeśli masz coś do powiedzenia, to powiedz. - Tak, Ash był zły, bardziej zły niż kiedykolwiek. - Rzygać mi się chce od tych ciągłych insynuacji, od nieustannych oskarżeń. - Nikt cię nie oskarża.

- Akurat. - Nie powiedział nic więcej i w komorze zaległa posępna cisza.

Ripley też milczała. Później wskazała gestem inżyniera i powiedziała:

- Zabierz Parkera do zabiegówki. Niech go autodok opatrzy. Wiemy, że tyle przynajmniej umie.

Ash pomógł Parkerowi wstać, zarzucił jego prawe ramię na swoje barki i poszli. Kiedy przechodzili koło Ripley, naukowiec nawet na nią nie spojrzał.

Gdy zniknęli za rogiem, Ripley wyciągnęła rękę. Lambert chwyciła ją i odchyliła się do tyłu. Ripley wstała, niepewnie, chwiejnie. Lambert obserwowała ją z niepokojem.

- Nic mi nie jest - rzuciła z uśmiechem Ripley. Zaczęła wycierać plamy na spodniach. - Ile tlenu kosztował nas ten mały epizodzik? Jakie ciśnienie na manometrach? Zrobiłaś dokładne pomiary?

Lambert nie przestawała się w nią wpatrywać. Patrzyła tak jakoś dziwnie, natarczywie.

- Co jest? Dlaczego tak na mnie patrzysz? Nie można już głośno mówić o zapasach tlenu? Ta jakaś tajemnica czy co?

- Przestań pieprzyć - rzuciła Lambert. Mówiła spokojnie, bez złości, ale z niedowierzaniem w głosie. - Oskarżyłaś go. Tak, oskarżyłaś go o to, że włączył syrenę, żeby ostrzec tego obcego. - Pokręciła w zdumieniu głową. Dlaczego?

- Bo myślę, że on kłamie. I jeśli uda mi się dostać do taśm, do zapisów, udowodnię to.

- Co udowodnisz? Jeżeli nawet udowodnisz, że to on włączył alarm, nigdy nie dowiedziesz, że nie zrobił tego przypadkowo.

- Cholernie odpowiednia pora na taki przypadek, co? - Ripley milczała chwilę, a później, już opanowana, zapytała: - Powiedz, myślisz, że się mylę, prawda?

- Nie wiem... - Lambert była zmęczona i nie miała ochoty na spekulacje. - Ja już nic nie wiem. Ale tak, chyba się jednak mylisz. Albo się mylisz, albo ci odbiło. Bo dlaczego Ash, dlaczego ktokolwiek z nas, miałby ochraniać to zwierzę? Przecież ono go zabije, zamorduje tak, jak zamordowało Dallasa i Bretta. Jeśli Dallas i Brett nie żyją.

- Dzięki. Dobrze jest wiedzieć, na kim można polegać. Ripley obróciła się na pięcie i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę schodów.

Lambert patrzyła za nią przez chwilę, wzruszyła ramionami i zaczęła ustawiać butle z metanem. Obchodziła się z nimi równie ostrożnie jak z pojemnikami z tlenem. Metan mógł się im przydać, mógł ocalić im życie...

- Ash, jesteś tam? Parker?

Nikt nie odpowiedział. Ripley weszła ostrożnie do centrum komputerowego. Przez jakiś czas miała do wyłącznej dyspozycji cały mózg *Nostramo*.

Usiadła przy głównej konsolce, włączyła, co trzeba i odcisnęła swój kciuk na plakietce identyfikacyjnej. Monitory ożyły.

Jak dotąd sprawa była prosta. Teraz zaczęły się schody. Pomyślała przez chwilę i wystukała na klawiaturze pięciocyfrowy kod. Sądziła, że dzięki niemu otrzyma odpowiedzi, których poszukiwała. Pudło. Ekrany świeciły jednostajnym blaskiem, oczekując odpowiedniego hasła. Ripley spróbowała innej - równie rzadko używanej kombinacji, ale znów nie miała szczęścia.

Zdenerwowana, zaklęła pod nosem. Jeśli będzie wystukiwała kombinacje dobierane na chybił trafił, nie wyjdzie z centrum przed dniem sądu ostatecznego. Ale biorąc pod uwagę szybkość, z jaką obce monstrum rozprawiało się z załogą, dzień ów nie był wcale taki odległy.

Przeszła na układ trójkowy, wprowadziła kod i spojrzała ze zdumieniem na ekran. Dane identyfikacyjne zniknęły. Ekran lśnił co prawda pustką, ale pustką

niezwykłą: komputer czekał, był gotowy na przyjęcie informacji, na przyjęcie pytania. Ale wyświetlić polecenia nie wyświetlił. Oznaczało to, że kod jest tylko w połowie skuteczny. No i co teraz? Co robić?

Spojrzała na klawiaturę pomocniczą. Dostęp do klawiatury pomocniczej miał każdy członek załogi, ale nie można było z jej pomocą uzyskać informacji poufnych lub związanych z systemem dowodzenia. Gdyby pamiętała kod łączący klawiaturę pomocniczą z terminalem głównym, mogłaby wreszcie zadać swoje pytanie.

Przesiadła się szybko, z nadzieją w sercu wystukała kod i wprowadziła pierwsze pytanie. Problem polegał na tym, czy kombinacja, którą pamiętała, jest jeszcze ważna, i czy Matka zaakceptuje ją bez sprzeciwu. Jeśli tak, na monitorze pojawi się jej pytanie...

Przez sekundę, dwie ekran zmieniał kolory jak kameleon i nie działo się nic szczególnego. Ale potem...

KTO URUCHOMIŁ SYSTEM OSTRZEGAWCZY PRZY ŚLUZIE NUMER 2?

Pod spodem błysnęła odpowiedź. ASH.

Ripley siedziała i chłoneła uzyskaną informację. Oczekiwała takiej odpowiedzi, tak, ale znaczenie tego faktu dotarło do niej dopiero teraz, kiedy Matka potwierdziła ostatecznie jej domysły. A więc to jednak Ash... Najważniejsze pytanie nasuwało się samo.

Wystukała: CZY ASH OCHRONIA OBCEGO?

Matka nie miała nastroju na rozwlekłe dywagacje. TAK.

Ripley też umiała się streszczać. Jej palce zatańczyły na klawiaturze. DLACZEGO?

Wbiła wzrok w ekran i czekała w napięciu. Jeśli komputer nie zechce odpowiedzieć, to koniec - nie znała kodów odblokowujących zastrzeżone informacje. Możliwe też, że Matka po prostu nie wiedziała, dlaczego Ash zachowuje się w tak niezwykły sposób.

Ale wiedziała, o tak! Wiedziała!

ROZKAZ SPECJALNY NUMER 937. INFORMACJA ZASTRZEŻONA. TYLKO DLA PERSONELU NAUKOWEGO.

Trudno, i tak sporo już wiedziała. Zresztą takie informacje też można z Matki wydusić...

Właśnie się do tego zabierała, kiedy ktoś grzmotnął w konsolę ręką. Ręka utknęła w terminalu aż po łokieć. Ripley obróciła się na fotelu i serce w niej zamarło.

Ujrzała przed sobą... Nie, nie dwunożne monstrum, nie. Ujrzała twarz człowieka, który był jej teraz tak obcy i wrogi jak ów kosmiczny potwór.

Ash uśmiechnął się lekko. Krzywym uśmiechem, bynajmniej nie radosnym.

- Wygląda na to, że nie dajesz sobie rady, Ripley, że dowodzenie statkiem cię przerasta. Choć z drugiej strony dowodzenie, błyskotliwe dowodzenie nigdy nie jest sztuką łatwą, zwłaszcza w takich okolicznościach. Chyba nie można cię za to winić.

Ripley wstała powoli, ostrożnie, zasłaniając się cały czas fotelem. Słowa Asha brzmiały pojednawczo, współczująco. Słowa tak, ale nie czyny.

- Tu nie chodzi o dowodzenie, Ash - powiedziała. Chodzi o lojalność.

Z plecami przy ścianie przesuwiała się w stronę drzwi. Ash ruszył wolno za nią. Wciąż wykrzywił usta w tym smutnym uśmiechu.

- O lojalność? Czyżby? Lojalności tu nie brakuje. - Czarujący jest, myślała, cały słodki i czarujący...

- Myślę, że wszyscy dawaliśmy z siebie wszystko mówił dalej. - Lambert popadała co prawda w lekki pesymizm, ale przecież dobrze wiemy, że ona zawsze reaguje zbyt emocjonalnie. Pani nawigator umie znakomicie wyliczyć kurs statku, gorzej z wyliczeniem kursu własnego życia.

Ripley wciąż się cofała. Siłą przywiodła na usta sztuczny uśmiech.

- Lambert mnie nie martwi, Ash. To ty mnie martwisz. Zaczęła się wolno odwracać w stronę drzwi. Czuła, jak tężeją jej mięśnie brzucha. Napięcie, napięcie i nerwy.

- Boże, znów ta paranoja, Ripley? - spytał ze smutkiem. - Potrzebujesz odpoczynku, musisz trochę odpocząć... - Zrobił krok do przodu i wyciągnął z nadzieją rękę.

Skoczyła, przemknęła tuż pod jego zaciskającymi się palcami i już pędziła korytarzem na mostek. Nie miała czasu krzyczeć o pomoc. Musiała biec, biec i oszczędzać oddech.

Na mostku nie było nikogo. Jakimś cudem znów zdołała go obejść i teraz gnała przed siebie, wciskając po drodze guziki uwalniające hermetyczne grodzie. Opadały, jak trzeba, ale zawsze o sekundę za późno, żeby ją od niego odciąć.

Wreszcie ją dopadł, w mesie. Parker i Lambert przybyli, w chwilę potem. Wskaźniki sygnalizowały awaryjne zamknięcie grodzi, pomyśleli więc, że w pobliżu mostka dzieje się coś niedobrego. Byli w drodze, kiedy spotkali uciekającą Ripley i ścigającą ją. Asha.

Chociaż nie takiego niebezpieczeństwa oczekiwali, zareagowali natychmiast. Lambert weszła do akcji pierwsza i wskoczyła Ashowi na plecy. Rozeźlony, puścił swoją ofiarę, chwycił Lambert, cisnął nią na drugą stronę mesy i na powrót zajął się tym, co robił przed chwilą: znów zaczął dusić Ripley.

Parker miał wolniejszy refleks, ale dzięki temu zdążył przemyśleć taktykę ataku. Ash doceniłby rozumowanie inżyniera, o tak, na pewno. Chwycił ciężki

wieszak stojący w kącie i zaszedł naukowca od tyłu. Ash niczego nie zauważył, bo z uporem szaleńca wciąż dusił Ripley. Inżynier wziął tęgi zamach i ze wszystkich się grzmotnął naukowca w głowę.

Aqak. Pusty, metaliczny, nieco przytłumiony dźwięk. Maczuga Parkera mknęła dalej swoją trajektorią, natomiast głowa Asha poleciała w drugą stronę.

Nie było krwi. Z kikuta szyi naukowca wypełził tylko wąż kolorowych kabli ozdobionych płytkami obwodów scalonych.

Ash zwolnił uścisk. Ripley upadła na podłogę, trzymając się za gardło. Ręce naukowca tańczyły nad ramionami makabryczny taniec - Ash szukał swojej głowy. Później jakby się potknął, cofnął w tył, odzyskał równowagę i zaczął szukać rozłupanej czaszki na podłodze...

13.

Robot... Kurwa, to zwykły robot! - wykrztusił Parker. Znieruchomiał z wieszakiem w rękę; na wieszaku nie było najmniejszych śladów krwi.

Czujniki reagujące na głos wbudowano najwidoczniej nie tylko w czaszkę Asha, ale i w jego korpus, gdyż potężna maszyna wykonała błyskawiczny zwrot i ruszyła zdecydowanie w kierunku Parkera. Inżynier podniósł wieszak, grzmotnął nim w ramię robota, ale nie osiągnął zamierzonego skutku. Uderzył ponownie, i jeszcze raz, uderzył po raz czwarty. Bez rezultatu. Masywne ramiona wymacały jego ciało, objęły je i ścisnęły uściskiem bynajmniej nie braterskim. Później dłonie Asha powędrowały wyżej, odnalazły szyję inżyniera i zacisnęły się na niej z niehumanitarną siłą.

Ripley szybko doszła do siebie i rozglądała się rozpaczliwie za jakąś bronią. Natrafiła wzrokiem na jeden z elektrycznych prętów, którymi usiłowali wypędzić ze statku obcego. Chwyciła go; wciąż był pod napięciem.

Lambert ciągnęła Asha za nogi, chcąc go przewrócić na ziemię. Robot szalał, atakował, z kikuta szyi sterczały mu nagie przewody i złącza. Ripley zanurzyła w nich dłonie. Parker śledził jej poczynania wybałuszonymi oczyma. Z jego gardła dobywały się słabe, świszczące odgłosy.

Ripley natrafiła na gruby zwój kabli, wsunęła weń pręt i zwolniła spust. Z szyi Asha buchnęły niebieskie iskry. Wtedy Ripley zadała trzeci cios. Tłumiąc krzyk i płacz poraziła robota gigantycznym ładunkiem. Krótki, urwany błysk, swąd spalonej izolacji.

Ash upadł. Parker stoczył się z jego ciała i leżał obok, dysząc jak po ciężkim biegu. Później odkaszlnął i splunął obficie na podłogę.

Zamrugła oczami. Spojrzał na znieruchomiałą maszynę. - Niech go szlag trafi - wycharczał. - Niech szlag trafi tego pieprzonego robota. I całe to zasrane Towarzystwo. Wstał i kopnął Asha w tułów. Ash nie zareagował. Leżał na wznak, niewinny i spokojny.

Lambert spoglądała niepewnie to na Parkera, to na Ripley.

- Czy ktoś mi może wreszcie powiedzieć, o co tutaj chodzi?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć - odparła Ripley. Położyła swój pręt, upewniła się, że jest, w zasięgu ręki i podeszła do robota.

- Jaki? - spytała Lambert.

Ripley spojrzała na Parkera, który masował sobie szyję. - Podłączyć mu głowę - odparła. - Uszkodziłam mu ośrodek ruchu, tu, w korpusie, ale kiedy podłączymy zasilanie, głowa, i pamięć powinny zadziałać. Od początku osłaniał tego kosmicznego bydlaka. Próbowałam to wszystkim uświadomić. - Gestem ręki

wskazała mechaniczne truchło. Trudno jej było myśleć o Ashu, o kumplu z załogi, jak o jakimś bezdusznym sprzęcie. - Wpuścił go na statek, pamiętacie? Wbrew przepisom. - Wykrzywiła twarz. Nie chciała wspominać tamtych chwil. - Twierdził, że chodziło mu o Kane'a, ale tak naprawdę Kane'a miał gdzieś. Pozwolił, żeby ten potwór wzrastał w jego ciele, dobrze wiedział, co się z Kane'em dzieje. I włączył syreny, żeby to zwierzę ostrzec.

- Ale dlaczego? Dlaczego? - Lambert wciąż nie mogła się w tym wszystkim połapać.

- Nie wiem, nie jestem pewna. Jedynym celem podstawienia robota, umieszczenia go wśród nas i zachowania wszystkiego w najściślejszej tajemnicy mogłaby być chęć posiadania -agenta, absolutnie wiernego szpiega, którego zadaniem byłoby dostarczanie wiadomości o tym, co się dzieje na *Nostromo*. - Spojrzała na Lambert. - Kto przydzielał stanowiska na statku? Kto dokonał zmian w obsadzie tuż przed startem? Kto wsadził nam Asha? Kto mógł przeszmuglować na pokład robota bez wzbudzania najmniejszych podejrzeń? Nieważne, dla jakich celów. No, kto? Lambert już wiedziała.

- Towarzystwo...

- Jasne, Towarzystwo - potwierdziła ze smutnym uśmiechem Ripley. - Ich sondy musiały odebrać sygnały z wraka na planetoidzie. *Nostromo* był pierwszym statkiem, który miał przelatywać w pobliżu tego miejsca. Wsadzili nam tu Asha, żeby wszystkiego dopilnował, żebyśmy postępowali zgodnie z czymś, co Matka nazywa Rozkazem Specjalnym numer 937. Gdyby się okazało, że te sygnały to tylko sygnały i nic więcej, Ash by im o tym doniósł, a my o niczym byśmy nie wiedzieli. Gdyby jednak za sygnałami S.O.S. kryło się coś, z czego można wyciągnąć kupę forsy, Towarzystwo nie musiałoby wysłać specjalnej ekspedycji i ponosić olbrzymich kosztów związanych ze zbadaniem wraka. Prosta sprawa, interes to interes: jak najmniejsze starty, jak największy zysk. Ich zysk, nasze straty.

- No, dobra - warknął Parker. - Jak dotąd, wszystko sobie znakomicie wykonywałaś. Teraz nam powiedz, po jaką cholere mamy tego sukinsyna składać. - Splunął na ciało Asha.

Ripley ustawiła już głowę robota na stole i podłączyła ją kablem do prądu; wetknęła przewód do wtyczki koło stanowiska automatycznego kucharza, a drugim końcem manipulowała przy nieruchomej czaszce.

- Musimy się dowiedzieć, co jeszcze przed nami ukrywają - wyjaśniła. - To jak? Zgoda?

Parker skinął niechętnie głową.

- Zgoda. - Podeszedł do stołu. - Daj, ja to zrobię. Zaczął majstrować przy drutach i obwodach sterczących spomiędzy sztucznych włosów Asha. Kiedy powieki robota drgnęły, Parker mruknął z satysfakcją i odstał od stołu.

Ripley nachyliła się nad głową naukowca. - Ash, słyszysz mnie?

Ash nie odpowiadał. Ripley zerknęła na inżyniera.

- Podłączyłem wszystko jak trzeba - powiedział. Napięcie reguluje się automatycznie. Fakt, grzmotnął łbem o podłogę. Jeśli nie uszkodził sobie jakiegoś ważnego obwodu, powinien gadać. W tych najnowszych modelach elementy generujące mowę i sterujące wzrokiem tkwią jak sardynki w puszcze. Musi gadać, nie ma co. Ripley spróbowała jeszcze raz. - Ash, słyszysz mnie?

W mesie, tuż koło nich, rozległ się znajomy głos. - Tak, słyszę cię.

Cieężko jej było mówić do urwanej głowy, do czaszki oddzielonej od ciała. Wiedziała, że to tylko mechanizm, urządzenie, jak elektryczny prąd Parkera czy wieszak, ale spędziła z Ashem zbyt wiele godzin, żeby się przełamać.

- Ash... Ash, czego dotyczy Rozkaz Specjalny numer 937?

- Nie mogę odpowiedzieć. To wbrew przepisom i programowi, w jaki mnie zaopatrzono. Dobrze wiecie, że nie mogę na to odpowiedzieć.

Ripley cofnęła się od stołu.

- No, to nie mamy o czym rozmawiać. Parker, wyłącz go.

Inżynier sięgnął do kontaktu. Głowa naukowca zareagowała błyskawicznie, co utwierdziło ich w przekonaniu, że jej obwody kognitywne są rzeczywiście nietknięte.

- Moje rozkazy można ująć następująco... Ręka Parkera zawisła groźnie nad wtyczką. - Polecono mi zmienić kurs *Nostromo* albo spowodować, że sama załoga go zmieni tak, byśmy mogli odebrać wezwanie z wraka. Miałem też przeprogramować Matkę, żeby was obudziła i wprowadziła do jej pamięci historyjkę o sygnale S.O.S. Towarzystwo wiedziało już, że to sygnał ostrzegawczy, nie prośba o pomoc.

Parker zacisnął pięści.

- U źródła sygnałów - mówił dalej Ash - mieliśmy, zbadać, formę życia, która, jak to rozszyfrowano z przekazu, jest najwyraźniej formą wroga, nieprzyjazną. Później mieliśmy ją przewieźć na Ziemię, żeby eksperci z Towarzystwa mogli ocenić jej potencjalne wartości komercyjne. Oczywiście trzeba to było zrobić dyskretnie.

- Oczywiście - nie wytrzymała Ripley, przedrzeźniając, beznamietnego robota. - To wyjaśnia, dlaczego wybrano nas, dlaczego nie wysłano tam najpierw specjalnej ekspedycji wyposażonej w kosztowny sprzęt. - Zrozumiała Asha, pojęła dobrze, co kryje się za jego słowami i czerpała z tego chłodną satysfakcję. - Na żadną z zamieszkałych planet, nie wspominając już o Ziemi, nie wolno sprowadzać form

życia groźnych dla człowieka, to proceder surowo zakazany. Towarzystwo chciało zrobić to podstępem. My, prości wyrobnicy harujący na małym stateczku, mieliśmy natrafić na tę formę przypadkiem i przypadkiem sprowadzić ją na Ziemię. Tak to miało wyglądać. Skończylibyśmy w więzieniu, ale to nie załatwiłoby jeszcze sprawy, bo coś trzeba by było zrobić z tym wściekłym stworem. Naturalnie, specjaliści z Towarzystwa ofiarowaliby natychmiast swoją wielkoduszną pomoc i uwolnili celników od konieczności zajmowania się tak niebezpiecznym ładunkiem. Parę sowitych łapówek, kilka prezentów i po transakcji. A przy odrobinie szczęścia, kiedy władze przekonałyby się już o naszej bezdennej głupocie, Towarzystwo wpłaciłoby kaucję i wyszlibyśmy na wolność. Tak, bo rzeczywiście jesteśmy bezdennymi głupcami.

- Dlaczego, Ash? - spytała Lambert. - Dlaczego nie mieliśmy prawa wiedzieć, w co się pakujemy?

- Bo byście na to nigdy nie poszli - odrzekł Ash z chłodną logiką. - Polityka Towarzystwa zakładała waszą bezwiedną współpracę. A to co Ripley powiedziała o celnikach, o waszej nieświadomości faktów, jest prawdą, tak.

- Ty i to twoje zasrane Towarzystwo - warknął Parker. - A co z nami? Co z naszym życiem, człowieku? - Nie jestem człowiekiem - poprawił go łagodnie Ash.

- Jeśli zaś chodzi o wasze życie, cóż... Towarzystwo doszło do wniosku, że nie jesteście niezastąpieni. Im szło tylko i wyłącznie o to stworzenie. Owszem, specjaliści żywili niejaką nadzieję, że uda się wam przeżyć i odebrać swoje premie, ale muszę niestety przyznać, że była to kwestia drugorzędna. Nie, Towarzystwo nie ma nic przeciwko wam. To tylko sprawa szczęścia, nic więcej.

- Bardzo pocieszające - sztychła Ripley. Myślała chwilę. - Powiedziałeś, że mieliśmy zbadać formę życia, która, jak to rozszyfrowano z przekazu, jest najwyraźniej formą wroga, nieprzyjazną. I że eksperci z Towarzystwa od początku wiedzieli, co kryje się za tym sygnałem, tak?

- Tak - potwierdził Ash. - Szyfranci i tłumacze ustalili, że na wszelką pomoc jest już za późno, że nadawcy sygnału już nie żyją. Sam zaś przekaz był przerażająco dokładny, pełen szczegółów. Statek, którego wrak znaleźliście, wylądował na planetoidzie z rutynową misją badawczą. Członkowie załogi, tak jak Kane, musieli natrafić na te skórzaste zarodniki. Przekaz nie wspominał, czy obcym badaczom udało się ustalić ich pochodzenie, dlatego nie wiadomo, skąd przybyły. A może właśnie ta planetoida jest ich ojczyzną? Zanim zostali obezwładnieni, zdolali skonstruować nadajnik wysyłający nieustanne sygnały ostrzegawcze. Sygnały te miały przestrzec innych przed lądowaniem na planecie i przed losem, jakiego przyszło im doświadczyć. Skądkolwiek te istoty przybyły, były istotami szlachetnymi. Miejmy nadzieję, że człowiek spotka je znowu, w milszych okolicznościach.

- Owszem, to istoty szlachetniejsze od paru facetów, których znam - ucięła krótko Ripley. - Ten obcy, Ash. Jest na pokładzie. Jak go zabić?

- Badacze, którzy przylecieli na planetoide, byli fizycznie więksi i chyba bardziej inteligentni niż ludzie. Nie sędzę, żeby udało się wam go zabić. Ale mnie może się udać. Jestem zbudowany ze sztucznych elementów, z elementów nieorganicznych, i to stworzenie nie dostrzega w mojej osobie żadnego niebezpieczeństwa. Ani źródła pożywienia. Poza tym jestem silniejszy od was. Stawiłbym mu czoła. Ale w obecnej chwili nie jestem w najlepszej formie. Gdybyście zechcieli...

- Świetnie to sobie obmyśliłeś, Ash - przerwała mu Ripley, kręcąc głową. - Ale nic z tego.

- Idioci! Czyż nie rozumiecie, z czym przyszło wam walczyć?! To stworzenie jest organizmem doskonałym, organizmem o niezwyklej wprost budowie. Jest przebiegłe, agresywne, jest złe, jest kwintesencją zła. Z waszymi ograniczonymi możliwościami nie macie szans z nim wygrać.

- Boże... - Lambert gapiła się tępo w gadającą głowę. - Ty to ohydztwo podziwiasz, Ash.

- A jak można nie podziwiać prostej symetrii, którą ono reprezentuje? To pasożyt, uniwersalny drapieżnik polujący na wszystko, co oddycha, bez względu na warunki klimatyczne. To istota, która potrafi przetrwać w uśpieniu tysiące lat, w najcięższym środowisku. Kieruje się tylko jednym instynktem: instynktem pomnażania swego gatunku. I rozmnaża się z niezwykłą efektywnością. Człowiek nigdy się z czymś takim nie spotkał, nigdy. Szkodniki czy pasożyty, z którymi dotychczas walczyliście, to owady członkonogie i ich podklasy. To stworzenie tak się ma do ich zaciętości, okrucieństwa i skuteczności działania jak inteligencja człowieka do inteligencji pierwszej z brzegu larwy. Nie jesteście w stanie z nim walczyć, nie jesteście w stanie nawet o tym myśleć.

Dość tego pierdolenia. - Dłoń Parkera opadła na kabel.

Ripley powstrzymała go gestem ręki. Spojrzała na głowę naukowca.

- Jesteś oficerem odpowiedzialnym za sprawy naukowe, Ash. Jesteś nie tylko narzędziem w rękach Towarzystwa, jesteś członkiem naszej załogi.

- Daliście mi mózg, daliście mi intelekt. Z intelektem przychodzi konieczność wyboru. Jestem wierny tylko prawdzie, jej odkrywaniu. Prawda naukowa domaga się piękna, harmonii i, ponad wszystko inne, prostoty. Wasz problem, to jest albo wy, albo obcy, znajdzie proste i eleganckie rozwiązanie: tylko jedna z walczących stron przetrwa.

- No to pokazałeś nam, gdzie nasze miejsce. Biedni ci ludzie, co? Powiedz mi, Ash, Towarzystwo spodziewało się, że *Nostromo* wyląduje na Ziemi tylko z tobą i z tym obcym na pokładzie, prawda?

- Nie. Towarzystwo miało szczerą nadzieję, że zdołacie przeżyć i utrzymać stworzenie w ryzach. Władze naczelne po prostu nie zdawały sobie sprawy z tego, jak niebezpieczny i jak sprawny jest nasz gość.

- Jak sądzisz, co się stanie, kiedy statek wyląduje, a na pokładzie będą same trupy i ten potwór, wolny, nieokiełznany?

- Nie umiem powiedzieć. Istnieje bardzo wysokie prawdopodobieństwo, że obcy zainfekuje tych, którzy wejdą na pokład jako pierwsi, że zdoła to zrobić, nim ludzie zrozumieją, jak wielkie niebezpieczeństwo im grozi, i zanim znajdą środki, by go zabić. A wówczas będzie już za późno. Popatrzcie tylko. Upłynęły tysiące lat, a człowiek nadal nie jest w stanie wytepić wszystkich szkodników i pasożytów. Takiego szkodnika, drapieżnika na takim stopniu rozwoju jeszcze nie spotkał. Spróbujcie wyobrazić sobie miliardy komarów, współdziałających z sobą w idealnej zgodzie, w zgodzie inteligentnej. Czy ludzkość miałaby w walce z nimi jakąkolwiek szansę? Oczywiście, jeśli będę w odpowiedniej formie, kody *Nostramo* wyląduje na Ziemi, poinformuję wszystkich o tym, czego mogą oczekiwać i doradzę, jakie środki bezpieczeństwa należy przedsięwziąć. Jeśli natomiast mnie zniszczycie, ludzkość spotka tragiczna klęska, straszliwa plaga. Wiele ryzykujecie...

W mesie zapadła cisza. Nie na długo. Parker odezwał się pierwszy.

- Wydaje się, że ludzkość, jaką reprezentuje Towarzystwo, ma nas głęboko w dupie - powiedział. - Zawalczymy z tym ohydztwem, spróbujemy. Przynajmniej wiemy jaki ono ma do nas stosunek. - Zerknął na Ripley. - Jak zdechnę, żadna plaga mnie nie tknie. Mam to gdzieś. Wyłącz go, Ripley.

- Tak - odezwała się Lambert - wyłącz go.

Ripley obeszła stół i zaczęła wyciągać wtyczkę z kontaktu.

- Ostatnie słowo - rzucił szybko Ash - coś w rodzaju testamentu, jeśli pozwolicie...

Ripley zawahała się. - No?

- Może to stworzenie jest inteligentne, naprawdę inteligentne. Może powinniście spróbować nawiązać z nim kontakt.

- Ty próbowałeś?

- Wybaczcie, tę tajemnicę zabiorę z sobą do grobu.- Ripley wyrwała wtyczkę z gniazdka.

- Żegnaj, Ash. - Spojrzała na Parkera i na Lambert. - Jak już mam wybierać między pasożytami, wolę takie, które nie łąją. Poza tym, jeśli nawet nie zdołamy utłuc tej bestii, umrzemy szczęśliwi wiedząc, że to bydlę dobieże się do skóry ekspertom z Towarzystwa.

Siedziała przed konsolą w centrum komputerowym. Byli z nią Parker i Lambert.

- Co do jednego Ash miał rację - powiedziała z przygnębieniem. - Nie mamy zbyt wielkich szans. Wskazała ręką pulsujący czerwienią wskaźnik. - Tlenu starczy nam tylko na dwanaście godzin.

- No to po imprezie, koniec. - Parker wbił wzrok w pokład. - Gdybyśmy poskładali Asha, mielibyśmy lepszą śmierć, takie szybkie samobójstwo. O tak, jestem pewien, że zająłby się obcym, bez dwóch zdań! Ale nas przy życiu by nie zostawił. O tym rozkazie od bossów Towarzystwa nie wspomniał ani słowem. Wyśpiewał nam prawie wszystko, tak? No to nie mógłby nas zachować przy życiu, bo w porcie zawiadomilibyśmy natychmiast władze o knowaniach naszego szlachetnego Towarzystwa. - Wyszczерzył zęby. - Tak, Ash był wierną maszyną, wiernym szpiegiem.

- Nie wiem jak wy, ale ze wszystkich proponowanych tutaj rodzajów śmierci ja wybieram bezbolesną i spokojną - oznajmiła bez uśmiechu Lambert.

- Spokojnie, Lambert, powoli...

Lambert trzymała w ręku niewielki kartonik z pigułkami. Ripley wiedziała, co to jest: trucizna. Rozpoznała pigułki po czerwonym kolorze i po odcisniętej na nich trupiej główce z pieszczelami.

- Powoli? A na co niby mam czekać?

Ripley obróciła się w fotelu.

- Powiedziałam: spokojnie - powtórzyła z naciskiem. - Dałaś się Ashowi przekonać. Twierdził, że tylko on może stawić czoła obcemu, a kto leży teraz w mesie? Kto stracił łeb? On, nie my. Mamy jedną szansę. Myślę, że powinniśmy wysadzić statek.

- I to ma być wyjście z sytuacji? - spytała cicho Lambert. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolę pigułki.

- Czekaj, nie o to chodzi. Pamiętasz, co przedtem proponowałaś? Opuścimy *Nostramo* i dopiero później go wysadzimy, jasne? Opróżnimy zbiorniki z resztek powietrza, wpompujemy je do butli i zabierzemy na prom. Prom ma własne zbiorniki, niezależne. Jeśli nam się poszczęści, dotrzemy do uczęszczanych szlaków i ktoś nas usłyszy. Niewykluczone, że do tego czasu będziemy oddychać stęchłym świństwem, ale szansa jest, istnieje. W ten sposób załatwimy obcego.

Zamilkli, rozważając propozycję kapitana. Parker podniósł oczy i kiwnął głową.

- Lepsze już to niż pigułki - skonstatował. - No i rozwalimy w drzazgi rafinerię naszego kochanego Towarzystwa. Tej okazji nie przepuszczę, co to, to nie. Idę po butle. Trzeba je napełnić. - Odwrócił się i wyszedł.

Inżynier zajął się przepompowaniem resztek tlenu z głównych zbiorników *Nostramo* do niewielkich, przenośnych butli, które mogli upchnąć na promie.

- To wszystko? - zapytała Ripley, gdy Parker skończył i oparł się ciężko o framugę luku.

- Tyle damy radę przenieść. - Machnął ręką na rząd butli. - Fakt, imponująco to nie wygląda, ale te kruszyny są pod takim ciśnieniem, że hej. Powinny dać nam sporo powietrza, kapitanie. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Znakomicie. Jeszcze tylko żarcie, a potem ustawimy silniki i chodu stąd. - Znieruchomiała, jakby nagle przyszło jej coś do głowy. - Jones. Gdzie jest Jones?

- Diabli wiedzą. - Było rzeczą aż nadto oczywistą, że Parker nie dba o poczynania pokładowego kota.

- Ostatni raz widziałam go w mesie - powiedziała Lambert. - Obwąchiwał ciało Asha.

- Idź go poszukać. Przecież go tu nie zostawimy. Trochę człowieczeństwa w nas jeszcze zostało, prawda? Lambert spojrzała na nią podejrzliwie.

- Nic z tego. Sama nigdzie się stąd nie ruszę. Ani kroku - odparła.

- Nigdy nie lubiłem tego, cholernego kocura - mruknął Parker. - Za bardzo zadziera nosa.

- Dobra, ja pójdę - zdecydowała Ripley. - Załadujcie jedzenie i butle.

- Nie ma sprawy - zgodziła się Lambert.

Objuczeni pojemnikami z tlenem Lambert i Parker ruszyli w stronę luku promowego. Ripley pobiegła do mesy.

Nie musiała go długo szukać. Sprawdziła w mesie - zrobiła to ostrożnie, by nie potrącić przypadkiem bezgłowego tułowia spoczywającego na podłodze - a później przeszła na mostek. Tu go znalazła, od razu. Jones leżał na konsolce Dallasa. Czyścił się i sprawiał wrażenie kota wybitnie znudzonego.

Ripley uśmiechnęła się do niego. Masz szczęście, Jones.

Jones był najwyraźniej innego zdania. Kiedy wyciągnęła do niego rękę, zeskoczył zwinnie z konsolety i nie przerywając ablucji odszedł dalej. Ripley pochyliła się i spróbowała go udobruchać, głosem i ruchami rąk.

- Chodź, kocie. Nie daj się prosić, nie teraz. Tamci nie będą na ciebie czekać.

- Ile jeszcze, jak sądzisz? - Lambert przestała ustawiać puszki i odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

- Tyle, ile zdołamy unieść. Chcesz tu wracać po następną porcję?

- Ani mi się śni. - Poprawiła stos konserw.

Z włączonego głośnika interkomu dobiegł ich głos Ripley.

- Jones, do ciężkiej cholery, no chodź tutaj. Chodź... Kici-kici-kici. Chodź do mamusi...

Ripley mówiła łagodnie, ale pod cienką warstwą pozornego spokoju Lambert wyczuła rozdrażnienie.

Parker wytoczył się z magazynu numer 2. Niósł tyle puszek że ich stos sięgał mu wysoko ponad głowę. Lambert segregowała swoje, wymieniając od czasu do

czasu to jedną, to drugą. Myśl, że będą musieli jeść wszystko na surowo, była najdelikatniej mówiąc, zniechęcająca. Na promie nie mieli autokucharza, nie starczało miejsca. Dzięki puszkom jakoś przeżyją, ale to wszystko. Dlatego chciała wybrać potrawy najsmaczniejsze. I dlatego też nie zauważyła, że na leżącym w pobliżu namierniku rozbłysło różowawe światelko...

- Mam cię!

Oburzony Jones stawiał zaciekły opór, ale Ripley złapała go mocno za kark. Usztywnił łapy, ale i to nie pomogło pani wpakowała go bez skrupułów do hermetycznej klatki podróżnej. Pstryknęła przełącznikiem.

- No, przez jakiś czas pooddychasz swoimi własnymi zapaszkami, kocie.

Przed magazynem z żywnością leżały dwa miotacze płomieni. Parker ostrożnie ukląkł i chciał podnieść swój. Pochylił się za mocno i kilka puszek spadło na pokład.

- Diabli by to...

Lambert, wciąż zajęta wybieraniem najsmakowitszych potraw, odwróciła się i spojrzała w stronę drzwi, za którymi stał inżynier.

- Co jest?

- Nic. Przesadziłem z tymi konserwami, za dużo ich wziąłem. Pośpiesz się.

- Już idę. Spokojnie, Parker.

Różowawe światelko pod ekranem namiernika zmieniło nagle kolor, rozbłysło krwistą purpurą. Jednocześnie odezwał się ostrzegawczy buczonek.

Parker rzucił puszkę, wbił wzrok w namiernik, potem chwycił miotacz.

Lambert, zwiewamy stąd! - wrzasnął w głąb magazynu.

Lambert też usłyszała sygnał.

- I to już! - zawołała.

Z tyłu dobiegł ją nagle inny dźwięk.

Odwróciła się i krzyknęła przeraźliwie. Szponiasta łapa chwyciła ją za gardło. Obcy tkwił jeszcze w szybie wentylacyjnym. Właśnie stamtąd wychynał.

Ripley usłyszała krzyk Lambert przez otwart kanał interkomu. Wciąż była na mostku mostku; zamarła z przerażenia.

Parker zajrzał do magazynu i wpadł w szal, kiedy zobaczył, co ohydny stwór wyprawia z Lambert. Nie mógł użyć miotacza, bo spaliłby dziewczynę, więc chwycił go jak maczugę i runął do środka.

- Aż ty w mordę... - Obcy puścił Lambert. Upadła bezwładnie na pokład, a wtedy Parker grzmotnął monstrum swoją pałą. Stwór chyba nawet tego nie poczuł. Inżynier mógłby równie dobrze tłuc kijem w stalową ścianę.

Chciał zrobić unik, ale nic z tego nie wyszło. Jeden cios i kręgosłup inżyniera pękł jak zapalka. Parker umarł natychmiast. Obcy zajął się Lambert.

Ripley wciąż nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Z głośnika interkomu sączył się odległy krzyk, krzyk straszliwy. Krzyczała Lambert. Na szczęście krótko. Bóg był miłosierny i zaraz przestała. Później nastała głęboka cisza.

- Parker...? Lambert...? - wykrztusiła do mikrofonu. Czekwała na odpowiedź, choć czuła, że jej nie będzie. I rzeczywiście, miała dobre przeczucia - nie odpowiedział jej nikt. Szybko zrozumiała, co to oznacza.

Została sama. Na statku przebywały teraz najpewniej trzy żywe istoty: obcy, Jones i ona. Najpewniej tak było, ale musiała to sprawdzić.

Ale bez Jonesa. Nie chciała go zostawiać, lecz kot robił za dużo hałasu; słyszał krzyki i zaczął szaleńczo miauczeć. Na pokład "B" dotarła bez przeszkód. Z miotaczem w zaciśniętych kurczowo dłoniach podeszła do magazynu numer 2. Drzwi były tuż tuż. Istniała nikła szansa, że potwór któreś z nich zostawił, ponieważ w ciasnym kanale wentylacyjnym trudno jest manewrować z dwoma ciałami. Tak więc Lambert albo Parker mogli jeszcze żyć... Zajrzała ostrożnie do środka. Resztki zwłok powiedziały jej, w jaki sposób monstrum zdołało wcisnąć do szybu oba ciała na raz.

A potem biegła. Biegła jak szalona, na ślepo, byle dalej od tego miejsca, biegła bezmyślnie, obojętna na wszystko. Wpadała na ściany, na przepierzenia, ale ani ściany, ani przepierzenia nie zdołały jej powstrzymać. Posiniaczona, z lekka otumaniona biegła aż do bólu płuc. Ból w płucach przypominał jej Kane'a, bo to obok płuc Kane'a usadowił się i wyrósł obcy. Obcy, wreszcie przypominała sobie o obcym...

Wróciła jej świadomość. Łapiąc z trudem oddech zwolniła i omiotła wzrokiem najbliższe otoczenie. Przebiegła wzdłuż całego statku. Stała teraz pośrodku pustej siłowni. Sama. Kompletnie sama.

Wtedy coś usłyszała i wstrzymała oddech. Usłyszała to znowu i westchnęła z ulgą. Znała ten dźwięk. Taki dźwięk może wydać tylko człowiek. Płacz. Ktoś z cicha popłakiwał.

Z miotaczem w ręku obeszła całe pomieszczenie, aż stwierdziła, że płacz dochodzi z dołu, spod pokładu. Spojrzała pod nogi. Stała na okrągłej metalowej klapie przykrywającej schody. Nie przestając lustrować dobrze oświetlonej siłowni uklękła i dźwignęła płytę. Wąskie schodki ginęły w mroku.

Namacala, nogami stopień i sprawdziła, czy ją utrzyma. Potem włączyła latarkę. Skład narzędzi. Niewielka pakamera, rzadko używana. Jaskrawy promień wyłowił z ciemności plastikowe skrzynki, pojemniki: I kości, ludzkie kości, niektóre

jeszcze. z kawałkami ciała. Ujrzała też kałuże zakrzepłej krwi, resztki ubrania, nadgryziony but. Ściany pokryte były jakąś ohydą wydzieliną.

W ciemności coś nagle drgnęło. Ripley obróciła głowę, uniosła miotacz i skierowała latarkę tam, gdzie wyczuła ruch. Po prawej stronie pakamery zwisał z sufitu olbrzymi kokon. Wyglądał jak hamak, jak przezroczysty hamak owinięty ze wszystkich stron delikatnym, jedwabistym materiałem. Hamak poruszył się gwałtownie.

Ripley zacisnęła palce na spuście miotacza i podeszła bliżej. Promień światła bijący z latarki przeszył ściankę kokonu. Wewnątrz było ludzkie ciało. Ciało... Dallasa. Niespodziewanie otworzył oczy. Otworzył je i spojrzał na Ripley. Wargi mu drgnęły, coś powiedział. Ripley przysunęła się bliżej. Kokon fascynował ją, a jednocześnie odpychał.

- Dobij mnie - błagał cicho Dallas.

- Co... Co on ci zrobił?

Kapitan usiłował coś wyszeptać, ale nie mógł. Zwrócił głowę w prawo. Ripley skierowała tam latarkę. Nieco wyżej wisiał drugi kokon. Od razu zauważyła, że ma inny kolor, że jest zrobiony z jakiegoś innego materiału. Był mniejszy i ciemniejszy. Jedwabista powłoka stwardniała tworząc lśniąca skorupę. Wyglądał tak - ale o tym Ripley nie mogła przecież wiedzieć - jak nadbita, pusta urna, którą Dallas znalazł na wraku.

- To był Brett.

Ripley oświetliła kapitana *Nostromo*.

- Wydostanę cię stąd, Dallas - zaszlochała. - Wydostanę cię, zobaczysz. Uruchomimy autodoka i...

Nie mogła mówić dalej. Przypomniały się jej słowa Asha, jego analogia. Osa i pająk. Małe żywią się ciałem sparaliżowanego pająka, rosną, pająk o tym wie, wszystko czuje, ale...

Z najwyższym wysiłkiem odpędziła od siebie koszarne myśli. Za takimi myślami czyhało szaleństwo.

- Co mam zrobić, Dallas? Ten sam agonalny szept: - Dobij mnie.

Spojrzała na jego twarz. Na szczęście zamknął oczy. Ale wargi zaczęły mu drgać. Drgały tak, jakby zaraz miał krzyknąć. Wiedziała, że tego nie zniesie.

Lufa miotacza skoczyła w górę. Ripley zacisnęła konwulsyjnie palce i zwolniła spust. Potężna struga ognia otuliła kokon i stworzenie, które było niegdyś Dallasem. I ono, i kokon paliły się w niemal absolutnej ciszy. Ripley przesunęła nieco lufę miotacza i znów pociągnęła za spust. Całe legowisko stanęło w płomieniach. A ona już wspinała się po schodach, czując na nogach gorący podmuch.

Wysunęła głowę. Nikogo. Wokół unosił się dym. Zakaszła. Wyszła z szybu i zasunęła za sobą klapę; pozostawiła niewielką szparę, żeby nie zadusić ognia. Później ruszyła do sterowni. Szła szybko, zdecydowanym krokiem.

W sterowni pulsowały cierpliwe wskaźniki, mrugały ekrany. Czekwały, aż człowiek powie im, co mają robić. Była tam konsola, której przyciski i przełączniki obramowano na czerwono. Bardzo szczególna konsola. Ripley omiotła ją wzrokiem. Tak, pamiętała kod, pamiętała kolejność wszystkich czynności. Zaczęła wciskać odpowiednie guziki. Jeden po drugim. Dzwignia najważniejsza tkwiła pod szczelną osłoną ze szkła. Najpierw usiłowała osłonę podważyć, potem cofnęła się i grzmotnęła w szkło kolbą miotacza. Podeszła bliżej i przerzuciła dzwignię.

Czekała. W nieskończoność. Wreszcie zawyły syreny. Z głośników popłynął czyjś głos i Ripley aż podskoczyła. Mówiła Matka.

- Uwaga. Uwaga. System chłodzenia reaktorów napędu nadprzestrzennego nie funkcjonuje. Ogniwa zabezpieczające nie funkcjonują. Krytyczne przegrzanie silników nastąpi za cztery minuty i pięćdziesiąt sekund, za cztery minuty i pięćdziesiąt sekund...

Była już w połowie korytarza na pokładzie "B", gdy przypomniała sobie o Jonesie. Klatkę znalazła tam, gdzie ją zostawiła. Kocur miauczał rozpaczliwie przez wbudowany w ściankę głośniczek, ale był zdrow i cały.

I znów biegła. Klatka obijała się jej o nogi, miotacz w lewej ręce przeszkadzał, ale biegła, biegła do promu, na pokład "B".

Ostatni zakręt. Potem tylko krótki korytarz i po wszystkim. Nagle Jones zasyczał, nastroszył na grzbiecie sierść. Ripley stanęła jak wryta i spojrzała nieprzytomnie na otwarty luk. Z wnętrza dobiegał jakiś hałas.

Obcy. Był na promie.

Zostawiwszy Jonesa w bezpiecznym miejscu na schodach wiodących na pokład "B" pognęła z powrotem do siłowni. Kot nie chciał, być sam, głośno protestował.

Biegła i słyszała cierpliwy, obojętny głos:

- Uwaga. Krytyczne przegrzanie silników nastąpi za trzy minuty i dwadzieścia sekund.

Wpadła do sterowni. Już w progu uderzyła ją fala gorąca, dym gryzł w oczy. Klimatyzatory pracowały na najwyższych obrotach, jęczały, narzekały, a ona co chwilę ocierała twarz z potu. Jakimś cudem odnalazła konsolę oznakowaną czerwonymi obwódkami, wyteżyła pamięć, przypomniała sobie kolejność poszczególnych czynności i zaczęła wyłączać urządzenia, które włączyła ledwie chwilę przedtem.

Ale syreny nie przestawały wyc.

- Uwaga. Uwaga. Krytyczne przegrzanie silników nastąpi za ,trzy minuty.

Z trudem chwytając oddech wcisnęła przycisk na rozgrzanej od pożaru ścianie.

- Przecież uruchomiłam system chłodzący! Dałam pełną moc!

- Za późno na środki zapobiegawcze - odparła beznamiętnie Matka. - Reakcja nieodwracalna. Stadium początkowe: implozja. Stadium numer dwa: nie kontrolowana reakcja łańcuchowa. Stadium numer trzy: eksplozja. Krytyczne przegrzanie silników nastąpi za dwie minuty i pięćdziesiąt pięć sekund.

Głos Matki zawsze działał na Ripley kojąco. Teraz pozbawiony był wszelkich antropomorfizmów, brzmiał bezlitośnie, tak samo jak bezlitośnie biegł czas, który komputer odmierzał.

Krztusiła się, piekło ją w gardle, a w mózgu rozbrzmiewał histeryczny chichot syren. Jednak wyszła ze sterowni, jakoś wyszła.

- Uwaga. Krytyczne przegrzanie silników nastąpi za dwie minuty - oznajmiła bezdusznie Matka przez głośniki w korytarzu.

Jones czekał na nią na schodach. Już nie miauczał, też miał pewnie wszystkiego dosyć. Ruszyła chwiejnie w stronę luku promowego, na wpół wlokąc klatkę, ledwo utrzymując w ręku miotacz. W pewniej chwili zdawało się jej, że przemknął za nią jakiś cień. Obróciła głowę, ale tym razem był to naprawdę tylko cień, tylko wyobraźnia, nic więcej.

W korytarzu przed lukiem zawahała się. Koszmarne zmęczenie rodziło brak zdecydowania. Ale głos Matki nie pozwolił jej odpocząć.

- Uwaga. Silniki eksplodują za dziewięćdziesiąt sekund.

Postawiła klatkę, ujęła miotacz w obie ręce i szarpnęła uchwytem luku.

Na promie nie było nikogo.

Obróciła się, skoczyła na korytarz i chwyciła klatkę z Jonesem. I znów obcy jej nie przeszkodził, nie wyrósł jak spod ziemi i nie chwycił za gardło.

- Uwaga. Silniki eksplodują za sześćdziesiąt sekund - powiadomiła ją spokojnie Matka.

Jones obrywał teraz za wszystkie czasy. Ripley cisnęła klatkę obok pulpitu sterowniczego, a sama opadła w fotel. Obliczanie trajektorii i kąta startu? Nie, nie teraz, nie pora na takie zabawy. Całą uwagę skoncentrowała tylko i wyłącznie na jednym przycisku. Pod przyciskiem widniał wyraźny, czerwony napis: START.

Złącza odpaliły z cichutkim, śmiesznym *piff*. Kiedy prom odpłynął od cielska statku, zagrzmiały silniki główne. Przeciężenie wepchnęło Ripley w fotel. Usiłowała zapiąć pasy wiedząc, że z chwilą gdy prom opuści pole nadprzestrzenne rozciągające się wokół *Nostramo* i ruszy w kosmos, wszystko wróci do normy.

Wcisnęła klamry pasów i pozwoliła sobie na kilka spokojnych łyków świeżego powietrza wypełniającego kabinę. Do jej zmęczonego mózgu docierały jakieś dziwne, miaukliwe odgłosy. Sięgnęła po klatkę. Pochyliła głowę i przytuliła ją czule do piersi. Z oczu zaczerwienionych od dymu popłynęły jej łzy.

Podniosła wzrok i spojrzała na monitor połączony z kamerą rejestrującą to, co działo się z tyłu, za promem. Małeńka świetlista kropeczka nagle spuchła, urosła do majestatycznych rozmiarów, zmieniała się w gigantyczną ognistą kulę, z której wystrzeliły macki rozerwanego metalu i plastiku. Kula szybko zgasła, ale w chwilę później w kosmicznej pustce wyłonił się znacznie większy obłok, i jeszcze bardziej jaskrawy. Eksplodowała rafineria. Potężnych rozmiarów fabryka i dwa miliardy ton ropy wyparowały w próżnię, rozjarzając ekran monitora i oślepiając Ripley. Później błysk wybuchu przygasł i rozmył się w bezkresnej czerni.

Rozgrzane do potwornych temperatur gazy dotarły do stateczku. Wstrząs. Turbulencje wkrótce ustały i Ripley rozpięła pasy. Przeszła na tył małej kabiny i stanęła przy iluminatorze. Jej twarz skąpała się w pomarańczowej poświacie bijącej od dogasających szczątków rafinerii.

Wreszcie odwróciła oczy od iluminatora. *Nostromo*, jej koledzy z załogi... Wszystko przestało istnieć. Byli, nie ma ich. Po prostu ich nie ma. W zacisznym, intymnym wnętrzu małego statku pełna świadomość tego, że umarli, dotarła do niej z upiorną siłą. Nie była w stanie zaakceptować ostateczności tego faktu, jego nieodwracalności, nie mogła pojąć, że ludzie ci przestali być częścią, choćby nie znaczącą, wielkiego Wszechświata. Bo nawet ich zwłoki rozplynęły się w Nicości. Po prostu przestali być.

Nie widziała szponiastej łapy wysuwającej się z głębokiego mroku. Zobaczył ją Jones. Zasyczał.

Ripley obróciła błyskawicznie głowę i stanęła oko w oko z obcym. Bo obcy był tu cały czas.

W pierwszym odruchu chciała chwycić miotacz. Ale miotacz leżał na podłodze, tuż obok przyczajonego na czworakach monstrum. Rozejrzała się rozpaczliwie za jakąś kryjówką. Niedaleko stała metalowa szafa. Jej drzwiczki były otwarte; otworzyła je fala uderzeniowa po wybuchu rafinerii. Ripley zaczęła przesuwać się wolno w tamtą stronę.

Gdy tylko drgnęła, potwór wstał na tylne łapy. Wtedy runęła w stronę szafy, chwytając ręką za klamkę. Wpadła do środka i siłą rozpędu zatrzasnęła z hukiem drzwi.

W ich górnej części znajdował się mały przeszklony otwór. Szafa była bardzo płytka i Ripley dotykała go niemal nosem. Po drugiej stronie drzwi obcy też przystawił łeb do judasza i zajrzał ciekawie do środka. Patrzył na nią tak, jakby oglądał zwierzę w klatce ogrodu zoologicznego. Ripley chciała krzyknąć, lecz nie mogła, krzyk zamarł jej w krtani. Stała więc i wytrzeszczonymi ze strachu oczyma wpatrywała się w oglądające ją monstrum.

Szafa nie była dźwiękoszczelna i Ripley usłyszała nagle donośne miauczenie. Zaintrygowany odgłosem potwór oderwał wzrok od otworu, by zbadać źródło

dziwnego dźwięku. Pochylił się i chwycił klatkę z Jonesem. Jones zamiauczał jeszcze głośniejsze.

Ripley zastukała w szkło, próbując odwrócić uwagę obcego od bezbronnego zwierzęcia. Poskutkowało. Obcy natychmiast zawrócił i znów stanął przy otworze. Ripley zastygła w bezruchu, a on wrócił do oględzin klatki Jonesa.

Zrozpaczona do nieprzytomności, Ripley rozejrzała się po ciasnym wnętrzu szafy. Znalazła tylko skafander, nic więcej. Chociaż nie umiała powstrzymać drżenia rąk, zaczęła go niezdarnie nakładać.

Po drugiej stronie drzwi obcy potrząsał ciekawie klatką. Jones miauczał jak obdzierany ze skóry. Ripley nakładała właśnie górną część kombinezonu, kiedy monstrum cisnęło klatką o pokład. Klatka odbiła się, jęknęła, ale drzwiczki nie puściły. Potwór uniósł ją i znów cisnął, tym razem o burtę. Jones odchodził od zmysłów. Obcy wetknął klatkę między dwa występy w ścianie i zaczął wbijać ją głębiej. Kot próbował uciec sycząc i plując.

Ripley nałożyła hełm i docisnęła metalową obejmę na szyi. Nie było nikogo, kto mógłby teraz sprawdzić, czy kombinezon jest w stu procentach hermetyczny. Jeśli nie, wkrótce się o tym przekona. Uruchomiła aparat oddechowy i skafander wypełnił się butelkowanym życiem.

Sapiąc z wysiłku, jeszcze raz przeszukała wnętrze szafy. Nie, nie znalazła tam niczego w rodzaju poręcznego lasera, którego w tej sytuacji i tak by nie mogła użyć. Wyszperała za to długi metalowy pręt i kiedy zdjęła zeń ochronny kapturek z gumy, stwierdziła, że pręt ma ostry czubek. Licha broń, ale zawsze broń i Ripley poczuła się trochę pewniej, co było rzeczą jeszcze ważniejszą.

Wzięła głęboki wdech, odryglowała powoli drzwi i kopnęła je ze wszystkich sił.

Monstrum odwróciło się pyskiem w stronę szafy i w tej samej chwili metalowy pręt dźgnął je w brzuch. Ripley zdążyła nabrać sporego rozpędu, wzmocniła siłę uderzenia masą swego ciała, dlatego pręt wszedł głęboko. Potwór objął go łapami, z rany trysnęła żółtawa ciecz, sycząc i buzując tam, gdzie zetknęła się z metalem.

Ripley skoczyła do tyłu, prawą ręką chwyciła się występu w burcie, a lewą pchnęła dźwignię awaryjnego otwierania luku. Kłapa luku odskoczyła z hukiem na zewnątrz i w tej samej sekundzie powietrze sprężone w kabinie do poziomu ziemskiego ciśnienia atmosferycznego uciekło w próżnię, wysysając z promu wszystko, czego nie zabezpieczono śrubami, pasami lub zatrzaskami. Potwór śmignął tuż koło niej, ale z refleksem, którym nie wykazałby się żaden człowiek, sięgnął łapą i chwycił ją za nogę tuż powyżej kostki.

Ripley wisiała teraz na wpół wysunięta z luku i rozpaczliwie wierzgając nogami usiłowała uwolnić stopę. Ale obcy trzymał mocno. Tuż obok klapy ewakuacyjnej sterczała

druga dźwignia i Ripley przesunęła ją do przodu. Luk zatrzasnął się z impetem, odcinając obcemu drogę powrotu. Został na zewnątrz, Ripley była wewnątrz.

Z fragmentu zgniecionej kończyny, która jeszcze przed chwilą trzymała ją za nogę, lał się spieniony kwas. Ripley dopadła pulpitu sterowniczego, trzasnęła przełącznikami i uruchomiła silniki wspomagające.

Za rufą promu buchnął strumień bezbarwnej energii. Spalone żywcem monstrum odpadło od statku. Kwas przestał płynąć. Nerwowo obserwowała musujący metal. Lecz proces szybko tracił na sile, w końcu ustał zupełnie. Na klawiaturze komputera wystukała pytanie i czekała bezwolnie na odczyt.

USZKODZENIE LUKU AWARYJNEGO: PYTANIE. ANALIZA: ZNISZCZENIE NIEWIELKIEJ CZĘŚCI POSZYCIA. USZKODZENIE NIEZNACZNE. KADŁUB ZAHERMETYZOWANY SPOIWEM SAMOIZOLUJĄCYM. WEWNĘTRZNE CIŚNIENIE ATMOSFERYCZNE ZACHOWANE.

UWAGI: KONTROLA TECHNICZNA NIE DOPUŚCI PROMU DO DALSZEJ EKSPLOATACJI. PO WYLĄDOWANIU KONIECZNOŚĆ NAPRAWY ZNISZCZONEGO FRAGMENTU POSZYCIA.

Wydała z siebie dziki okrzyk i spojrzała przez tylny iluminator. Za promem podążało wijące się i obracające cielsko. Co chwila odpadały z niego zwęglone fragmenty. Nieprawdopodobnie silny organizm kosmicznej bestii w końcu uległ. Różnica ciśnień rozdeła monstrum i rozsadziła je na strzępy. Wkrótce szczątki potwora, niegroźne już, nareszcie nieszkodliwe, zniknęły jej z oczu.

Nie można powiedzieć, że tryskała radością. Twarz miała pooraną zmarszczkami, w mózgu bolesną ranę, która zabijała wszelką radość. Ale była opanowana na tyle, żeby się odprężyć i usiąść wygodnie w fotelu pilota.

Dotknęła kilku przycisków i kabina znów wypełniła się powietrzem. Otworzyła klatkę z Jonesem. Obdarzony cudownym darem wszystkich kotów, Jones zdążył już zapomnieć o niedawnych przeżyciach. Kiedy tylko usiadła, zwinął się w kłębek na jej kolanach i niczym puszysta ruda kulka promieniująca samozadowoleniem, zaczął głośno mruczeć. Ripley głaskała go i mówiła do rejestratora:

- Za jakieś cztery miesiące powinnam dotrzeć do granic strefy zbadanej. Jeśli będę miała odrobinę szczęścia, sieć namierników dalekiego zasięgu wychwyci moje sygnały S.O.S. i przekaże wiadomość komu trzeba. Przygotowałam oświadczenie dla prasy i środków masowego przekazu. Kopię oświadczenia oraz kilka uwag na temat niektórych poczynań Towarzystwa umieściłam w dzienniku pokładowym. Jestem pewna, że uwagi te spotkają się z zainteresowaniem odpowiednich władz. Mówi sierżant Ripley, numer identyfikacyjny W5645022460H, ostatni żyjący członek załogi holownika *Nostromo*. Koniec zapisu.

Dotknęła wyłącznika. W kabinie było cicho i spokojnie. Pierwsze spokojne chwile od tylu dni... Pomyślała sobie, że może zdoła teraz choć trochę odpocząć. Miała tylko nadzieję, że nie będzie śnić.

Pogłaskała pieszczotliwie rude futerko. Uśmiechnęła się. - Chodź, kocie, idziemy spać...

KONIEC

